

Nędza strategii europejskiej

Pierre Conesa – (str. 3)

Model skandynawski się sypie

Jean-Pierre Sereni – (str 10-11)

LE MONDE
diplomatie

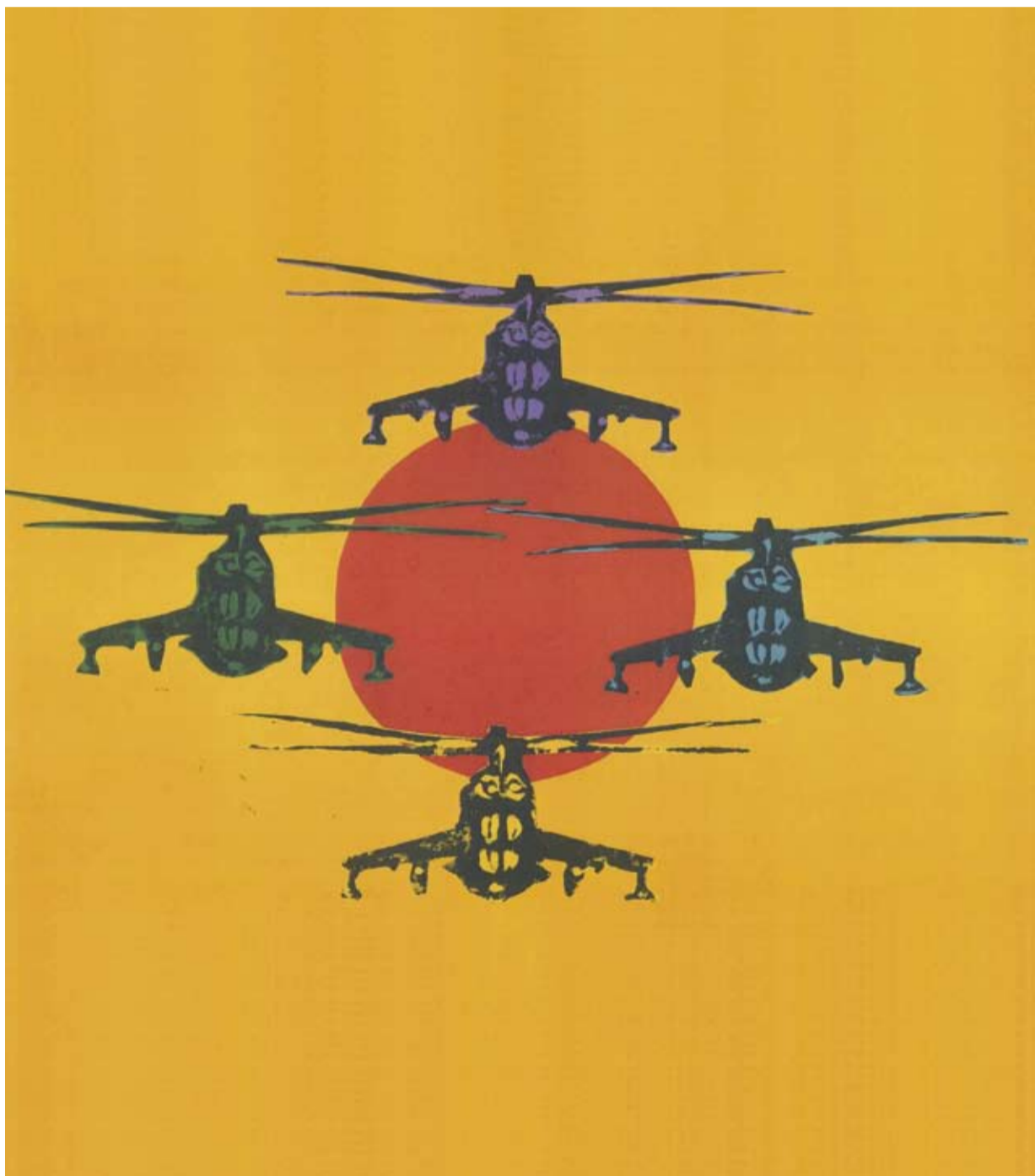
EDYCJA POLSKA

Nr 11 (45) LISTOPAD 2009

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY

WWW.MONDE-DIPLOMATIQUE.PL

CENA 7,90 ZŁ (0% VAT)



TOMASZ BOKAŁOWSKI, JEDYŃCY

CMENTARZYSKO STEREOTYPÓW

Talibowie są nowocześni

Czyżbyśmy walczyli z kosmitami? Tak przynajmniej sądzi Ralph Peters, emerytowany oficer i polemista. Boi się Afgańczyków jak jakichś dzikusów, co równie dobrze mogliby pochodzić z innej planety. Talibowie to „obcy, którzy preferują swój surowy styl życia i bezlitosne kultury”. Nasza wojna z nimi to „zderzenie czołowe cywilizacji z różnych galaktyk” [1].

PATRICK PORTER*

Peters nie obnosi się z triumfalizmem. Obawia się, że wojujący islamisci okażą się twardym przeciwnikiem. Ich „gniewny bóg” bez litości wysyła ich na wojnę, w której niepoślednią rolę odgrywają telewizyjne transmisje egzekucji, ludzkie tarcze oraz miazdząca broń XXI w., zamachowcy-samobójcy. Według Petersa wrogo nastawione media, ignoranczy przywódcy i zainfekowana liberalizmem ludność, której prócz własnego dostatku nie obchodzi, to prawdziwe kule w nogi amerykańskiego żołnierza. Można powiedzieć, że Peters przepisuje Rudyarda Kiplinga na współczesną mowę Amerykanów. Kipling przestrzegał wiktoriańskich Brytyjczyków, że ich kosztowne, przetrenowane armie zostaną zdziesiątkowane przez tanio szkolone „hordy lokalnego pochodzenia”. Afganistan natomiast okazał się miejscem, dokąd imperia udawały się na śmierć.

Wierząc, że amerykańską „siłę militarną mierzyć należy nie tylko na podstawie uzbrojenia naszych oddziałów, ale także liczbą języków, jakie opanowali, i kultur, które są w stanie zrozumieć”. Kulturalny zwrot w stronę egzotyki jako odpowiedź na wojenne komplikacje zdobywa popularność ponad politycznymi podziałami. Intelktualny szacunek zyskuje się dziś tym, że umie się pojąć odmienność. Przepowiednia niedawno zmarłego Samuela Huntingtona o „zderzeniu cywilizacji” nie jest ostatnio modna wśród studentów, ale i etnocentryzm nie ma zbyt wielu zwolenników. Przekonanie, że cudzoziemcy ostatecznie niewiele się od nas różnią, skompromitowane zostało przez wojnę w Iraku i projekt Busha, by przerobić cały świat na obraz i podobieństwo Ameryki. Balans opinii publicznej przechylił się w stronę podkreślenia różnic. Huntington, gdziekolwiek teraz nie przebywa, szczerzy zęby w uśmiechu.

Powracająca zmora zderzenia cywilizacji

Barack Obama nic na razie nie mówi o wojnie gatunków, tym niemniej podkreśla „inność” innego, jednocześnie za-

Jak twierdzi pewien generał, dzisiejsze wojny Stanów Zjednoczonych to „wojny kulturowe” toczone na „krawędziach imperium”. Armia mająca prowadzić działania na obczyźnie, czy to jako misje stabilizacyjne, czy to zbrojną „rekonstrukcję narodu”, stara się zreformować samą siebie i zaszczerpić kulturze umiłowanie broni. Jesteśmy świadkami powrotu kolonialnej antropologii w – na przykład – opracowa-

Dalszy ciąg na str. 4

W NUMERZE:

Wojny partyzanckie i rozrywkowe

Czy Afganistan to nowy Wietnam? Porównanie obydwu konfliktów dokonane przez Williama R. Polka rozwiewa wątpliwości. Także co do perspektyw zwycięstwa sił NATO w górach Hindukuszu (s. 5). Pierre Bernin śledzi dynamikę wojny domowej w Jemenie (s. 12). Położony na południowym zachodzie Półwyspu Arabskiego kraj od kilku lat stoi w obliczu implozji struktur państwowych i rozpadu, a dalszy rozwój sytuacji w tym kierunku może mieć duży wpływ na sytuację w całym regionie. Tymczasem obraz II wojny światowej przekształca się w przedmiot masowej rozrywki. Krzysztof Teodor Toeplitz śledzi ten proces na przykładzie najnowszych dzieł Quentina Tarantino i Jonathana Littella (s. 14-15).

Normalizacja okupacji

Izraelskie społeczeństwo coraz bardziej przesuwa się na prawo. Zeev Sternhell pisze o syjonistycznym grzechu pierworodnym tamtejszej lewicy, który tłumaczy jej szowinizm i akceptację kapitalizmu (s. 13). Jarosław Pietrzak pokazuje jak izraelska sztuka pod pozorem radykalizmu służy oficjalnej propagandzie – nadaje ludzką twarz nieludzkiej polityce izraelskiego państwa (s. 23).

Ideologie

Zarządzanie strachem stało się dziś ulubionym sposobem trzymania w ryzach obywateli w państwach formalnie demokratycznych. Vincent Geisser pokazuje jak ideologia strachu wykorzystuje i podsycza uprzedzenia wobec wyznawców islamu (s. 18-19). Ideologią stała się także komercjalizacja wiedzy.

O konsekwencjach naśladowania amerykańskiego modelu organizacji i finansowania nauki pisze Dominique Lecourt (s. 24). Według Katarzyny Szumlewicz i Jakuba Majmurka, twórczość filmowa Harolda Pintera jest znakomitą przykładową krytyki

ideologii społeczeństwa burżuazyjnego (s. 22).

Wyczerpanie modeli

Kryzys, który zaczął się w USA i Europie czyni największe spustoszenia w Trzecim Świecie. Anne Vigna przygląda się rozmiarom, społecznej zapaści w północnych regionach Meksyku (s. 8-9). Półwysep Bałkański wciąż nie może przezwyciężyć dziedzictwa wojen z lat 90. Jean-Arnault Derens uważa, że spora część odpowiedzialności za ten stan spada na Unię Europejską (s. 16-17).

Altermaksizm

Bez Marksa nie da się zrozumieć współczesnego społeczeństwa. Ale czy z Marksem da się wypracować właściwą strategię zmiany systemowej? Jak podkreślają Jacques Bidet i Gerard Duménil, doświadczenia historyczne nie są jednoznaczne (s. 20-21). Dlatego postulują użycie Marksowskich, marksistowskich i neomarksistowskich narzędzi teoretycznych do budowy nowej propozycji analizy stosunków społecznych, którą nazywają altermaksyzmem. Priorytetem ma tu być związek teorii i praktyki emancypacji.

INDEX 212660 ISSN 1895-4839



Beverly J. Silver
Globalny Proletariat
Ruchy pracownicze i globalizacja po 1870 r.

W Empikach i księgarniach
cena 35 zł

Książkę można też zamawiać
w wydawnictwie Książka i Prasa
ul. Twarda 60 • 00-818 Warszawa, tel. 22-624-17-27
e-mail: kip@medianet.pl, redakcja@monde-diplomatique.pl

LE MONDE *diplomatique* EDYCJA POLSKA

Wydawca i adres redakcji

Fundacja Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa
Telefon: 022 624 17 27, fax: 022 625 36 26, e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

Prezes zarządu

Andrzej-Piotr Studziński

Dyrektor publikacji

Stefan Zgliczyński

Redaktor naczelny

Przemysław Wielgosz

Zastępca redaktora naczelnego

Zbigniew Marcin Kowalewski

Zespół redakcyjny

Tomasz Bohajedyn, Karolina Breguła, Ewa Jasiewicz, Grzegorz Konat,
Michał Kozłowski, Kamil Majchrzak, Magda Qandil, Maria Żalińska

Korekta

Marta Durczyńska, Maja Prus

Łamanie komputerowe (DTP)

Dorota Stefaniak-Rudzińska

Nakład

10 000 egzemplarzy

Reklama

reklama@monde-diplomatique.pl

Kolportaż

Pol Perfect Sp. z o. o., ul. Stągiewna 2C, 03-117 Warszawa

Telefon: 022 519 39 51, fax: 022 519 39 50, e-mail: polperfect@polperfect.com.pl

Pismo można kupić w Empikach, w niektórych księgarniach, a także w redakcji.

Prenumerata

Cena rocznej prenumeraty krajowej wynosi 82 zł (12 numerów). Cena prenumeraty zagranicznej w Europie wynosi 180 zł (pocztą lotniczą). Kwotę tę należy przesłać przekazem pocztowym pod adresem wydawnictwa: Fundacja Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Twarda 60, 00-818 Warszawa lub wpłacić na konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000 KREDYT BANK SA, IV Oddział w Warszawie. Prosimy o podanie dokładnego adresu oraz zaznaczenie tytułu czasopisma i ilości zamawianych egzemplarzy.

LE MONDE *diplomatique*

Miesięcznik społeczno-polityczny ukazujący się w Paryżu od 1953 roku

Prezes zarządu i dyrektor publikacji

Serge Halimi

Redaktor naczelny

Maurice Lemoine

Zastępcy redaktora naczelnego

Martine Bulard, Philippe Rivière, Anne-Cécile Robert

Zespół redakcyjny

Alain Gresh, Pierre Rimbart, Dominique Vidal

Adres redakcji

1, avenue Stephen-Pichon, 75013 Paris, telefon: 00 33 1 53 94 96 01, fax: 00 33 1 53 94 96 26

W roku 2007 łączny nakład miesięcznika *Le Monde diplomatique* przekroczył 2,2 miliona egzemplarzy.

Umierać za Hamida Karzaja?

SERGE HALIMI

Najpierw prezydent Barack Obama przedstawił boje w Afganistanie jako „wojnę konieczną”, a następnie gen. Stanley McChrystal, którego mianował on na stanowisko dowódcy wojsk amerykańskich w tym kraju, zażądał, aby przysłać mu dodatkowo 40 tys. żołnierzy. A wojna trwa 8 lat.

W Indochinach Stany Zjednoczone wspierały plejadę skorumpowanych, nieprawowitych rządów, postrzeganych przez tamtejsze społeczeństwa jako rządy marionetkowe. Nic z tego nie wyszło. W Afganistanie ani Brytyjczykom, ani Związkowi Radzieckiemu nie udało się narzucić swojej woli mimo sił i środków, które zaangażowali. Straty wojsk amerykańskich są nadal dość umiarkowane (850 zabitych od 2001 r., podczas gdy w Wietnamie w 1968 r. wyniosły one 2,1 tys. zabitych – ale miesięcznie). Jakież jednak mogą być dziś perspektywy „zwycięstwa” armii zachodnich, które grzęzną w górach i na szlakach przemytu narkotyków [1] i które podejrzewa się, że wojują z islamem?

Francuski minister spraw zagranicznych Bernard Kouchner ma jednak nadzieję na „podbicie serc kamizelkami kuloodpornymi” [2]. Z kolei gen. McChrystal twierdzi: „Naszym celem nie jest zabicie maksymalnej liczby talibów, lecz ochrona ludności” [3]. U podstaw takich proklamacji leży wspólna myśl, że operacje wojskowe można pogodzić z rozwojem społecznym – i to na terytorium, na którym nie sposób odróżnić powstańca od cywila. W Wietnamie amerykański dziennikarz Andrew Kopkind podsumował tego rodzaju „kontrinsurekcję” w następującej, zaiste zabójczej formule: „Rano cukierki, po południu napalm”.

Waszyngton, nie mając już nadziei na to, że pewnego dnia odniesie zwycięstwo nad

bojownikami nacjonalistycznymi i religijnymi, których wojowniczość miał okazję poznać, gdy wykrwawiali armię radziecką, chciałby choćby, aby talibowie rozluźnili swoje – już i tak bardzo luźne – powiązania z aktywistami Al-Kaidy [4]. Nazajutrz po zamachach z 11 września 2001 r. wysłał do Azji Środkowej swoich żołnierzy i bezałogowe aparaty latające po to, by unicestwić tych ostatnich, a nie po to, by posłać małych Afgańczyków do szkół i bronić praw człowieka.

Jeśli nowy laureat Pokojowej Nagrody Nobla odrzuci eskalację wojskową, której żądał od niego neokonserwatyści, to będzie musiał przekonać swoją opinię publiczną, że po pierwsze nie zapewnia się narodom pomyślności bombardując je i poddając okupacji wojskowej, że po drugie w Afganistanie uczniowie Osamy ben Ladena to już tylko garstka niedobitków i że po trzecie ewentualny kompromis z talibami gotowymi utemperować swój niegdysiejszy fanatyzm nie zagraża bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych. Rosja, Chiny, Indie, Pakistan nie są zainteresowane podtrzymaniem tego ropiejącego ogniska napięć regionalnych, toteż mogłyby przyczynić się do wynegocjowania ugody. Narażanie życia dla sprawy „demokracji” na cudzej ziemi to osobliwy pomysł: czy naprawdę należy umierać za Hamida Karzaja? I to w sytuacji, gdy człowiek ten, zwany „burmistrzem Kabulu”, bo do tego sprowadza się jego faktyczna władza, i utrzymujący się na swoim stołku dzięki sfałszowanym wyborom, dokonał nie lada wyczynu. Jak wyznał sam gen. McChrystal, Karzaj sprawił, że w Afganistanie „kluczowe grupy tęsknią za bezpieczeństwem i sprawiedliwością, które zapewniało im panowanie talibów” ... [5]

Choć u boku wojskowych amerykańskich i powstańcami walczy 35 tys. żołnierzy brytyjskich, niemieckich, francuskich,

włoskich, polskich i innych, to wszystko, jak się zdaje, w ogóle nie obchodzi przywódców europejskich. W jeszcze większym stopniu niż kiedykolwiek, decyzje NATO zapadają dziś w Waszyngtonie. W Paryżu prezydent Nicolas Sarkozy zapowiedział właśnie, że na wojnę z talibami nie pośle „ani jednego żołnierza więcej”. Dodał jednak: „Czy należy pozostać w Afganistanie? Odpowiadam: tak. I to pozostać, aby wygrać” [6]. Oświadczenie to, zagubione w dwukolumnowym wywiadzie, nie spowodowało w mediach żadnego komentarza. Była to najbardziej wielkoduszna reakcja, jaką można było sobie wyobrazić...

Mimo to wtóruje mu jego socjalistyczna rywalka z ostatnich wyborów prezydenckich, Ségolène Royal: „Wojnę w Afganistanie trzeba wygrać i ją się wygra.”

tlum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] Afganistan zapewnia 93% światowej produkcji heroiny. Patrz A. Rashid, „The Afghanistan Impasse”, *The New York Review of Books*, 8 października 2009 r. Zob. też naszą mapę „L’opium, principale production afghane”, na <http://www.monde-diplomatique.fr/cartes/afghanopium2009>.

[2] Canal +, 18 października 2009 r.;

[3] *Le Figaro*, 29 września 2009 r.

[4] Patrz S. Saleem Shahzad, „Al-Qaida contre les talibans”, *Le Monde diplomatique – edycja polska*, lipiec 2007 r.

[5] Patrz raport gen. S. McChrystala, „Commander’s Initial Assessment”, 30 sierpnia 2009 r., na http://media.washingtonpost.com/wp-srv/politics/documents/Assessment_Redacted_092109.pdf

[6] *Le Figaro*, 16 października 2009 r.

Październikowi triumfatorzy

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

Ponoć we współczesnej polityce najbardziej liczy się wizerunek. Tegoroczny październik był czasem triumfu tej zasady. Najpierw sukcesy święcił stworzony jeszcze na potrzeby kampanii wyborczej wizerunek Baracka Obamy. Trudno nazwać inaczej wyróżnienie amerykańskiego prezydenta Pokojową Nagrodą Nobla. Nawet wolennicy werdyktu Komitetu Noblowskiego nie potrafili wśród osiągnięć jego prezydentury wskazać nic poza „zmianą klimatu międzynarodowego”. Piękne słowa, którymi Obama sypie od Kairu do Londynu okazały się ważniejsze niż nasilająca się wojna w Afganistanie obejmująca już także część Pakistanu. Noblowskiemu werdyktowi nie przeszkodziła podjęta przez Waszyngton w Radzie Praw Człowieka ONZ próba storpedowania raportu Richarda Goldstone’a dokumentującego zbrodnie wojenne popełnione podczas ostatniej ofensywy izraelskiej na Strefę Gazy oraz bierność administracji Obamy wobec kontynuacji nielegalnej kolonizacji Zachodniego Brzegu Jordanu. Dobry wizerunek prezydenta okazał się ważniejszy niż dwuznaczna postawa jego sekretarza stanu Hillary Clinton w kwestii zamachu stanu w Hondurasie, budowa sieci 7 nowych baz wojskowych w Kolumbii, nie mówiąc już o istnieniu obozu koncentracyjnego w Guantanamo i okupacji Iraku. Dziś prezydent USA deklaruje nowy etap w rozbrojeniu nuklearnym, jednak trudno nie zauważyć, że setki tysięcy ofiar nieograniczonej wojny prewencyjnej prowadzonej przez Waszyngton w ciągu trzech ostatnich kadencji, zginęły od broni konwencjonalnej. Trudno się też oprzeć wrażeniu, że antynuklearne zaangażowanie jest tylko środkiem do celu, jakim jest ofensywa dyplomatyczna przeciw Iranowi.

Ale nie samą wojną... Kryzys, który przez prawie dwa lata spędzał sen z powiek globalnym elitom ma się ku końcowi. Wygląda na to, że znowu będzie można wrócić do „sprawdzonych wzorców”: spekulacji, liberalizacji, prywatyzacji,

deregulacji. Nadspodziewanie wysoki wzrost PKB USA w trzecim kwartale br. i coraz lepsze prognozy dla tegorocznego PKB w Polsce pozwalają odetchnąć z ulgą – z mora poważnej korekty polityki ekonomicznej wydaje się rozwiewać. Dobrym nastrojom nie przeszkadza fakt, że większość amerykańskiego wzrostu wzięła się z konsumpcji indywidualnej pobudzonej sowitymi dopłatami z budżetu federalnego, które właśnie się skończyły. Analogicznie w Polsce nawet dramatyczne protesty załogi zagrożonych upadkiem poznańskich zakładów im. Cegielskiego nie zakłóciły powracającego na rynki optymizmu.

Afery hazardowe i wywołane nimi trzęsienie ziemi w Urzędzie Rady Ministrów bardziej zaprzętają uwagę opinii publicznej niż los tysięcy ludzi tracących źródła utrzymania. Dramat Cegielskiego, stoczni i hut ustępuje przed farsą w Alejach Ujazdowskich i właśnie o to chodzi, bo przecież jest zupełnie oczywiste, że wymiana nazwisk na tabliczkach w ministerialnych gabinetach tak naprawdę niczego nie zmienia, a zajęcie się upadającymi zakładami wymagałoby radykalnego zerwania z dotychczasowymi przyzwyczajeniami rządzących.

Ciągłość polityki ekonomicznej rządu PO-PSL konsekwentnie opiera się na uzależnieniu wszelkich decyzji od ewentualnych reakcji rynków finansowych, a co za tym idzie na ignorowaniu sytuacji społecznej w kraju. Tymczasem, podobnie jak w przypadku dyplomatycznych przewag prezydenta USA, realnych warunków ekonomicznych nie da się zastąpić deklaracjami. 52 miliardy deficytu nie wzięto się znikąd. Jakies 20% tej sumy wylądowało w kieszeniach najbogatszych Polaków dzięki wprowadzonej w tym roku obniżce podatków dla najwyższej zarabiającej [1]. Wbrew wierze, że beneficjanci obniżek wykorzystają podarowane pieniądze na stworzenie miejsc pracy, kłopotem budżetowym towarzyszy wzrost bezrobocia do wielkości dwucyfrowych, a także stagnacja płacowa. Już niebawem może to przynieść negatywne skutki dla dynamiki go-

spodarki, która w 70% zależy od popytu wewnętrznego, a zatem także od poziomu zatrudnienia i wzrostu płac [2].

Tymczasem można się jednak cieszyć wzrostami indeksów na warszawskiej giełdzie. Za ewentualne straty wywołane ekscesami spekulantów zapłaci się przecież z kieszeni pracowników. Żeby nie psuć wizerunku nazwie się to oszczędnościami. Już dziś wiadomo, że deficyty pogłębiane polityką prezentów dla najbogatszych mocno uderzą w system opieki zdrowotnej. Zamiast podwyższyć składkę zdrowotną i zapewnić dopływ pieniędzy na leczenie, w przyszłym roku rząd obetnie wydatki na szpitale (o 2 mld zł) [3] i na niektóre terapie (np. stawki na niektóre terapie kardiologiczne obniżono o 20-40% [4], a na leczenie odleżyn o 40% [5]). Jakby tego było mało wiecznie niedofinansowany NFZ dostał właśnie zgodę na dodatkowe zadłużanie się w prywatnych bankach. W ten sposób pod pozorem przeciwdziałania kryzysowi rozkręca się mechanizmy, które do niego doprowadziły. A warto pamiętać, że zwiększający się poziom zadłużenia jest jednym z najbardziej niepokojących wskaźników ekonomicznych w naszym kraju.

Niezależnie od tego czy chodzi o walkę o pokój, czy o walkę z kryzysem, za wizerunkowe sukcesy rządzących zapłacą inni. W Afganistanie, Strefie Gazy i w Kolumbii... a także w polskich fabrykach czy szpitalach.

[1] Do tego warto dodać sumy utracone w wyniku cięć w składkach rentowych.

[2] Zob. Jarosław Urbański, „Kryzys i walki społeczne w Polsce”, *Przegląd Anarchistyczny* nr 10, październik 2009.

[3] http://wyborcza.pl/1,76842,7181416.ostre_ciecie_na_zdrowiu.html

[4] tamże.

[5] http://wyborcza.pl/1,75478,7180958.kryzysowe_ostre_ciecie_na_zdrowiu.html

Tylko na naszej stronie
www.monde-diplomatique.pl

Artykuły

Paweł Jaworski

„Bezszelestne gilotyny pluralizmu”

Marcin Menkes

„Jak zamknąć Guantanamo?”

Naomi Klein

„Milczenie Obamy w kwestii rasowej”

Dokumenty

Raport ONZ na temat sytuacji
w Strefie Gazy

Komentarze i polemiki

Agata Czarnacka

„Krwawe zamieszki w łonie klasy średniej”

Czy istnieje europejska myśl strategiczna?

„Oddajemy wam najgorszą przysługę – pozbawiamy was wroga!” – ostrzegwał w 1989 r., tuż po upadku muru berlińskiego, radziecki dyplomata Alexander Arbatow. „ZSRR jako wróg posiadał wszystkie cechy „dobrego wroga”: solidny, stały, spójny. Oparty na najczystszych modelach clausewitzowskim, z pewnością niepokojącym, lecz doskonale znanym i przewidywalnym, pod względem wojskowym przypominał nas samych” [1]. Jego rozpad pogrzył politycznych strategów z zachodnich demokracji w głębokim przerażeniu. Przez jakiś czas postulowali oni, by „nie tracić czujności” ani „nie przyzwyczajając się zbyt szybko do pokoju”, nikt jednak nie brał ich słów poważnie. Dopiero 20 lat później Rosja znów stała się „poważnym zagrożeniem”.

PIERRE CONESA*

Tym samym nie ma już znaczenia fakt, że włoska zorganizowana przestępczość ma na swym koncie więcej ofiar niż jej rosyjska odpowiedniczka – to ta ostatnia bowiem budzi niepokój. Podobnie jak przeszłość Władimira Putina, który w ZSRR był prostym oficerem KGB, rodzi większe zainteresowanie i emocje niż objęcie prezydentury Stanów Zjednoczonych przez George’a H.W. Busha (1989-1993), byłego dyrektora CIA...

Jak Amerykanie wymyślają sobie wrogów

W tworzeniu obrazu wroga organy odpowiedzialne za definiowanie kierunków myśli strategicznej odgrywają rolę kluczową. Jest to nawet jedna z ich trzech racji bytu: zidentyfikować zagrażającego nam „innego”; ukierunkować system obrony poprzez ustalenie hierarchii ryzyka; uzasadnić użycie siły. Już w 1971 r. pisarz Paul Dickson mówił o „zespolu militarno-intelektualnym” [2] by opisać tę ogromną maszynę odziedziczoną po zimnej wojnie. W Stanach Zjednoczonych istnieje między 500 a 1500 *think tanków* (prywatnych lub państwowych organizacji naukowo-badawczych), z których najsłynniejsza, RAND Corporation, zatrudnia blisko 1500 osób – w 5 biurach na terytorium amerykańskim i 4 zagranicą – i dysponuje budżetem w wysokości 130 mln dolarów [3].

Podobnego zjawiska nie da się zaobserwować w żadnej innej demokracji zachodniej: Délégation aux affaires stratégiques francuskiego ministra obrony narodowej liczy zaledwie jakieś 100 osób, zaś jej budżet badawczy wynosi ok. 4 mln euro, przeznaczane na ożywienie środowiska ekspertów uniwersyteckich; szwedzki Stockholm International Peace Research Institute (Sipri) zatrudnia 50 badaczami, a brytyjski International Institute for Strategic Studies (IISS) zatrudnia 40 osób, a posiada budżet 9,2 mln euro. Zachodni dyskurs strategiczny formułuje się zatem głównie w amerykańskich kręgach myśli strategicznej, dopiero później podlega przetworzeniu przez inne ośrodki.

Zachód zwraca się przeciw Południu

Po wyzwoleniu Kuwejtu uwierzono w „zagrożenie z Południa”, które miało zastąpić to ze Wschodu. Prosta reorientacja geograficzna pozwoliła zachować identyczne ramy strategiczne i te same metody działania. Jednak Południe – zbyt heterogeniczne – nie wpisywało się zbyt dobrze w tę generalizację. Sytuację uratowała dopiero teoria mówiąca o „zderzeniu cywilizacji”, która zrodziła się pod piórem amerykańskiego profesora nauk politycznych Samuela Huntingtona [4].

Niepokój budziły również „szare strefy” i „państwa upadłe” (*failed states*), które wymykały się prawu. *Wielka szachownica* Zbigniewa Brzezińskiego [5], byłego doradcy prezydenta Jamesa Cartera, stała się biblią legitymizującą ową jednostronną wizję amerykańskich przywódców. Nie liczy się już wróg, lecz zachowanie supremacji: „Ponieważ bezprecedensowa potęga Stanów Zjednoczonych skazana jest na schyłek, priorytetem jest takie zarządzanie narodzinami nowych potęg światowych, by te nie zagrażały amerykańskiej supremacji” [6].

Przejęcie przez neokonserwatystów pieczy nad organami myśli strategicznej wyznacza kolejny ważny etap. W 1997 r. tworzą oni Project for a New American Century (PNAC), promującą tezę, że „amerykańskie przywództwo jest dobre zarazem dla Ameryki, jak i dla świata” jako podstawową prawdę XXI w. Raport „Rebuilding America’s Defenses”, przygotowany przez członków PNAC przed 11 września 2001 r., głosi zasadę prawomocności wojny prewencyjnej i dopuszczalność użycia broni atomowej z minibombami nuklearnymi.

W państwach demokratycznych strategzy zobowiązani są do pewnej przejrzystości i rozwijania dyskursu publicznego, oficjalnego lub quasi-oficjalnego. *Livre Blanc sur la défense* we Francji, w 1994 r. i w 2008 r.; *Strategic Defence Review* (SDR) z 1998 r. i *SDR New Chapter* z 2002 r. w Wielkiej Brytanii; *Towards a Grand Strategy for an Uncertain World, Renewing Transatlantic Partnership* w Stanach Zjednoczonych (2007), itp. Wszystkie te dokumenty wyjaśniały, że nie ma już

ważniejszych wrogów, ale i że należy utrzymać siły obronne. Posługiwały się przy tym nową semantyką strategiczną i zdewersyfikowanymi uzasadnieniami: „wróg”, „zagrożenia”, „zniszczenie planety” zostały zastąpione przez „wyzwania”, „niepewność”, „kryzysy”, „ryzyko”, „mutacje” i „interesy”.

Wykorzystać technologię, by zdusić nastroje antywojenne

Z powodu braku wrogów, amerykańska myśl strategiczna skupiła się na „fetyzysmie technologicznym”. „Rewolucja w sprawach wojskowych” (RMA, Revolution in Military Affairs), zainicjowana przez Office of Net Assessment Andy’ego Marshalla, faworyzuje broń określaną jako „precyzyjna” i usiłuje ukazać wojnę jako akceptowalną pod warunkiem ograniczenia skutków ubocznych i liczby ofiar. Później pojawia się temat cyberwojny, obrony antyrakietowej, podejścia C2I, następnie C3I, później C4I, obecnie zaś C5I [7], przejrzystości pola bitwy, architektury systemów itd.

Tej tendencji towarzyszyła predylekcja dla wywiadu pochodzenia technicznego z umniejszeniem roli czynnika ludzkiego – wywiadu, o którego ograniczeniach mieliśmy okazję przekonać się podczas zamachów z 11 września 2001 r. i później podczas wojen w Afganistanie i Iraku. Wynalazki technologiczne miały pokonać przeciwnika, który posługiwałby się tradycyjnymi metodami walki. Problem w tym, że takim przeciwnikiem był tylko Saddam Husajn w pierwszej części wojny w Iraku (20 marca–1 maja 2003 r.). Później walczący zaczęli unikać walki bezpośredniej.

Ataki na World Trade Center i Pentagon doprowadziły do globalizacji strachu. Prezydent George W. Bush wypowiedział wojnę... konceptem: miała to być globalna wojna przeciwko „terrorystom” i „proliferaacji broni nuklearnej”. W sposób arbitralny zdefiniował nieprzyjaciół: Iran, Irak, Korea Północna (które przecież nie miały nic wspólnego z atakami z 11 września). Zapomniał o sojusznikach prowadzących badania nad bronią nuklearną (Izrael, Pakistan, Indie) lub takich, których niektóre sektory rządowe bliskie są terroryzmowi (Arabia Saudyjska, Pakistan). Samo jednak wskazanie na ryzyko nie wystarczy, trzeba jeszcze ukazać je jako zagrożenie. Strategowie sięgnęli więc po trzy klasyczne metody: hipertrofia zagrożenia, irracjonalność przeciwnika i jego bestialstwo.

Spiskowa teoria terroryzmu

Wszystko to zaś przedstawiono w kategoriach tajemnicy i spisku („tajna wojna”, „tajne archiwa”), posłużono się diabolizacją („widmo”, „islamski mrok”, „zombie”, „fanatyczny”, „niewidzialny wróg”), odkurzone przy okazji części słownictwa z okresu zimnej wojny („Islamska Międzynarodówka”, „III totalitaryzm”, „Osie zła”). A przecież jeszcze rok przed 11 września nie mówiono o terroryzmie, a tym bardziej o islamizmie: Bruce Hoffman, amerykański ekspert z RAND ds. terroryzmu, ubolewał wręcz, że zmniejszono mu zespół badawczy.

Strategia „silnego” w stosunku do „szalonego”, ogłoszona przez François de Rose [8], pozwoliła zbudować strach wokół kwestii proliferacji nuklearnej. Niektóre państwa pragnące posiadać broń nuklearną określane są jako „szalone” (Iran, Korea Północna) – w przeciwieństwie do „przyjaciół” (Izrael, Pakistan) – i służą jako straszak pozwalający uzmysłowić zagrożenie opinii publicznej. W przypadku Iraku można mówić nawet o koźle ofiarnym – zważywszy na fakt, że fałszywe raporty wywiadu amerykańskiego i brytyjskiego, donoszące o istnieniu programów broni masowego zniszczenia, zostały użyte jako pretekst do ataku na to państwo.

W ciągu dziesięciolecia przeszliśmy drogę od globalnej stabilizacji gwarantowanej przez dwa supermocarstwa do kryzysów o zasięgu *stricte* regionalnym (Jugosławia, Somalia, Timor, Haiti). Pojawia się zatem pytanie, kto w tej nowej sytuacji dokonuje hierarchizacji kryzysów i zagrożeń. Kto w 1993 r. postanowił, że sytuację w Somalii uznać należy za kryzysową? Kto odkrył, że Irak Saddama Husajna stał się nagle ogromnym zagrożeniem? Przygotowywanie agendy przekłada się na określenie języka debaty.

Wtórna i bezradna Europa

W tym czasie Europa w większym stopniu podążała za Stanami Zjednoczonymi niż budowała swą tożsamość strategiczną. Choć Komisja Europejska angażu-



KAROLINA BRIGLIA

je się w kryzysy, nie jest państwem, nie dysponuje żadnymi służbami policyjnymi ani wywiadowczymi, ani też żadnym ministerstwem spraw zagranicznych, które mogłoby informować ją na bieżąco o rozwoju sytuacji na świecie. W kwestii analizy tej ostatniej Komisja zależy całkowicie od zewnętrznej, otwartej ekspertyzy. Czym zatem dysponuje? Instytut Unii Europejskiej Studiów nad Bezpieczeństwem, powołany do istnienia w 2002 r., liczy zaledwie ok. 10 pracowników naukowych zatrudnionych na pełny etat. Jego podejście opiera się na wizji europejskiej, ale w realizacji powierzonych mu misji da się zauważyć silne naśladownictwo amerykańskie, ponieważ zgodnie z Kartą założycielską jego powołaniem jest „łączyć naukowców, funkcjonariuszy, ekspertów i przywódców państw członkowskich, pozostałych państw europejskich, Stanów Zjednoczonych i Kanady w celu perspektywnej analizy zagadnień związanych z obronnością (...) i wzbogacenia dialogu transatlantyckiego o wszystkie kwestie bezpieczeństwa między państwami Europy, Stanami Zjednoczonymi i Kanadą w taki sposób, by polepszyć wzajemne relacje między tymi dwoma częściami świata i wzbogacić podejście do kwestii bezpieczeństwa po obu stronach Atlantyku” [9].

Europejskie środowisko wojskowo-intelektualne zarażone jest ontologią atlantycką, niezdolną do myślenia o globalizacji inaczej niż jako o projekcji własnego obrazu – amerykańskie centrum i mniej lub bardziej odległe peryferia. Europa nie mogłaby inaczej korzystać z dobroczynnego promieniowania słońca, podobnie jak w Imperium Środka, jak tylko pozostając blisko centrum [10].

Jak przezwyciężyć opcję atlantycką?

W rzeczywistości europejska perspektywa strategiczna powinna koncentrować się wokół czterech głównych kwestii: czy Stany Zjednoczone, odpowiedzialne za kryzys finansowy, strategiczny i cywilizacyjny będą mieć jutro taką samą legitymację do pełnienia roli światowego przywódcy? Nawet ci, którzy ślepo wspierali nadwyżkę okresu Busha, opowiadają się obecnie za radykalną krytyką tegoż, przeprowadzoną przez Baracka Obamę, podobnie jak niegdyś ortodoksyjni komuniści stanęli jednogłośnie za raportem Chruszczowa (radykalna denuncjacja stalinizmu), by udowodnić, że Moskwa ma zawsze rację. Twierdzenie nadal, że demokracja niesie ze sobą pokój, a konfliktogenne są jedynie dyktatury, wydaje się niewystarczające, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo międzynarodowe, zwłaszcza jeżeli popatrzeć na kryzysy afgański, iracki i pakistański.

Czy Europa, sparaliżowana przez problemy instytucjonalne, może i powinna stać się potęgą? I jeżeli tak, to na jakich zasadach? Myślenie o stosunkach międzynarodowych wyłącznie w sposób amerykański, w sytuacji, gdy europejskie instytucje powstawały na zasadzie konsensu i negocjacji, zakrawa na intelektualną hemiplegię.

Europa powinna dysponować własnymi możliwościami oceny kryzysów. Które z nich mogą jej zagrażać i jakie środki – militarne lub nie – są konieczne, by im zaradzić? Czy powinna mieć własne strategiczne założenia faworyzujące neutralizację zagrożeń raczej niż ich likwidację? Wielu europejskich strategów zastanawia się, co o danym problemie myślą Amerykanie, a nie, co powinna o nim myśleć Europa. Widać to doskonale w przypadku wzrostu potęgi Chin i w stosunku do Rosji. Ostatni szczyt NATO w czerwcu 2009 r. bynajmniej nie doprowadził do wykrystalizowania się spójnej strategii europejskiej – chyba że jest nią gwarancja przetrwania jedynej organizacji wojskowej o zasięgu planetarnym, w której Europa nie posiada środków wojskowych, by odegrać jakąkolwiek większą rolę.

tłum. Lucyna Mazur

[1] General de la Maisonneuve, *Agir*, nr 11-12, Paryż, październik 2002.

[2] Paul Dickson, *Think Tanks*, Nowy Jork, Atheneum 1971, str. 133.

[3] Dane zaczerpnięte z pracy Jean-Loup Samaana, *Contribution à une sociologie de l'expertise militaire: La RAND Corporation dans le champ américain des Études stratégiques depuis 1989*, Université de Paris 2008. Budżet RAND wydaje się jednak więcej niż skromny w porównaniu ze środkami, którymi dysponuje Aerospace (6 mld dol.), Institut for defense analyses (IDA, 8 mld dol.) czy MITRE (204 mln dol.), organizacje powiązane z armią czy instytucjami obrony narodowej.

[4] Samuel Huntington, *Zderzenie cywilizacji*, MUZA SA, Warszawa 1997.

[5] Zbigniew Brzeziński, *Wielka Szachownica. Amerykańskie przywództwo i jego geostrategiczne słuszy*, Politeja, Warszawa 1997.

[6] Cytat z Olivier Zajec, *Les secrets de la géopolitique, des clés pour comprendre*, Tempora, Paryż 2009.

[7] C5I – skrót od „Command, Control, Communications, Computers, Collaboration, and Intelligence”.

[8] François de Rose, „Pour une dissuasion du fort au faible”, *Relations internationales et stratégiques*, nr 12, IRIS, Paryż 1993, s. 101.

[9] Wspólna akcja Rady z 20 lipca 2001.

[10] Książka Edouarda Balladura, *Pour une union occidentale entre l'Europe et les Etats-Unis* (Fayard, Paryż 2007) przywołuje nieustannie „obóz demokracji”, ale ani razu nie nawiązuje do państw niezachodnich (Indie, Japonia).

* Były wysoki urzędnik państwowy, autor m.in. pracy *Les Mécaniques du chaos. Bushisme, prolifération et terrorisme*, L'Aube, Paryż 2007.

Talibowie są nowoczesni

PATRICK PORTER

Ciąg dalszy ze str. 1

nym przez Pentagon programie „Human Terrain Teams” [2] czy też w nowym polowym podręczniku przeciwdziałania ruchom powstańczym FM3-24. Renesans przeżywają klasyczne prace o „arabskim umyśle”. Historia zna takie przypadki: kryzysy w rodzaju powstania sipajów w 1857 r. stymulowały rozwój etnografii i odkrywanie na nowo obyczajów plemiennych. W 1940 r. po serii wojen z „obcymi ludami” amerykańskie Marine Corps opracowały tzw. *Small Wars Manual* na podstawie studiów nad „charakterystyką rasową” tubylców. Czyli odruch ten jest głęboko zakorzeniony.

Wpisuje się to w wewnętrzną debatę nad amerykańską strategią. Kultura ma być antidotum na technologiczne zadufanie lat 90. XX w., kiedy to wizjonerzy byli przekonani, że pociski zdalnego naprowadzania, technologia informacyjna i satelity zapewnią Amerykanom nie tylko niespotykany nigdzie indziej poziom skuteczności ostrzału, ale i panoramiczną wizję pola bitwy. Wojenna mgła zostanie rozproszona, a nieustraszeni G.I.'s staną się także niezwykłymi. Przekonanie to rozbiło się jednak o Irak i ruch talibów w Środkowej Azji. W takiej sytuacji odpowiedzią na zawiedzione fantazje okazała się „rewolucja kulturalna” i powrót do kwestii tożsamości, więzów krwi, ziemi i wiary.

Tyle że kulturalizm jest podatny na błędy w równym stopniu, co technologizm. Zakładanie podobieństwa może okazać się niebezpieczne, ale nie inaczej jest z fikcją na tym, co dziwaczne. Arabska „duma”, islamski „honor” i zapalne pod względem kulturowym efekty psów stanowiły przewodnie motywy amerykańskich tortur w więzieniu Abu Ghraib. Wiara, że dogłębnie „poznaliśmy” wroga, czy że udaje nam się wygenerować systematyczną wiedzę o kulturach, może prowadzić do fałszywego zadufania w sobie i analitycznych błędów. Jak to się stało, że puściliśmy w niepamięć owego niezwykle doświadczonego specja CIA ds. Iranu, który chwalił stabilizacyjne efekty rządów szacha na pół roku przed rewolucją?

Kocioł na granicy pakistańsko-afgańskiej, gdzie aktualnie toczona są walki pod amerykańskim dowództwem, przedstawiany jest przez obserwatorów z zewnątrz jako tkwiąca w kulturowej stagnacji siedlisko egzotycznych wrogów. Od 2001 r. powstaje na jego temat mnóstwo pełnej stereotypów literatury – ma to być istne „cmentarzisko imperiów”. „Kraina kości” zawsze odpychała intruzów z przeszłości, poczynając od morderczych rajdów Aleksandra Wielkiego, po wypady armii radzieckiej za Breżniewa. Talibowie jawili się jako zawsze poważni purytanie, wyrzucający telewizory za okno, zabijający homoseksualistów, chłoscący kobiety i wrogie nastawieni do muzyki. Kiedy Ameryka przygotowywała się do wojny w 2001 r., *Time* pisał o „jednym z najbardziej nieodgadnionych reżimów na świecie, fanatycznie lojalnym wobec najbardziej tajemniczego przywódcy na świecie”. Kraj ten doprowadził do rezygnacji „każdego z wcześniejszych zewnętrznym najeźdźców”. Komentatorzy ostrzegali, że talibów da się zrozumieć jedynie przy użyciu kategorii „obcych zachodniemu myśleniu”. Wojnę omawiano w kategoriach zderzenia kulturowego między archaiczną teokracją a bogatą, rozwiniętą technologicznie superpotęgą. Rewolucja obalonych jesienią 2001 r. talibów przyjęta została jako posunięcie z istoty kulturowe. Dla pewnego kapitana z sił specjalnych byli nieco jak „Flinstonowie walczący z Jetsonami”.

Czy Afgańczycy tkwią w kajdanach tradycji?

Łatwo jest traktować Afgańczyków jako więźniów własnych tradycji. Niektórzy twierdzą, że pasztyńskie plemiona, spośród których wywodzi się gros talibów, kierują się opartym na wieściach krwi honorowym kodeksie zemsty. *Economist* snuje: „Wystarczy jedna płama na honorze – stąd problemy Amerykanów – żeby Pusztun zmuszony był szukać zemsty” [3]. Inni malują talibów jako muzułmańskich mistyków rodem z innego świata. Kiedy talibscy żołnierze zrobili przerwę w wywiadzie, aby się pomodlić, dziennikarz przyznał, że zazdrości im



TOMASZ BODALJEWA, MOJ BÓG

„siły i czystości”, ich „transcendentalnego przecucia pokoju, świadomości własnego celu, bliskości Boga i śmierci, jakiej rzadko doświadczają się w nowoczesnym świecie Zachodu”. Powtarza się wyraźny refren: po naszej stronie leży strategia, nowoczesność, polityka, podczas gdy oni odczuwają wszystko w głębi serca, są prymitywni i jakby nie z tego świata. Nie tylko ludzie Zachodu dali się skusić radykalnym różnicowaniem. Jeden z afgańskich bojowników wypalił kiedyś: „Amerykanie kochają Pepsi-Colę, a my kochamy śmierć”.

Po tym, jak talibowie w wojnie domowej podbili 80% kraju, narzucili tamtejszej ludności smutną, drakońską formę szariatatu. Nowy porządek zakazywał alkoholu i muzyki w państwie, gdzie purytańskie gałęzie islamu rzadko zdobywały sobie popularność. Wprowadzono takie formy kar, jak amputacje i kamienowanie. Rozpętało ikonoklastyczną orgię; w kabulskim muzeum zniszczono tysiące przedislamskich artefaktów i wysadzono w powietrze zabytkowe rzeźby buddyjskie. Prowadzono czystki etniczne, zmasakrowano tysiące Hazarów z Mazar-i-Szarif. Prowadzono egzekucje homoseksualistów i politycznych dysydentów. Zamknięto dostęp do szkół publicznych przed dziewczętami. Utworzono specjalne religijne siły policyjne, które były kobiety za niedopatrzenia w stroju. Talibowie udzielili schronienia wspierającemu ich islamistycznemu ruchowi Al-Kaïda, stworzonemu, by zbrojnie atakować *thustego wroga* – Stany Zjednoczone i ich sojuszników, szerzyć wojnę domową w świecie islamu, a nawet podżęcać do wojny światowej, aby wygnać niewiernych z Bliskiego Wschodu. Planowano przywrócenie utraconego Kalifatu i doprowadzenie do apokaliptycznej bitwy między wyznawcami islamu a niewiernymi.

Przyjrzący się talibom, nie widzimy jednak obcych z innej planety w kajdanach obyczaju, ale swego rodzaju realistów, modyfikujących reguły w miarę potrzeb. Jeśli chodzi o uprawy maku, zmienili pozycję od przeciwników do boskiego nadania ku obrońcom narkopanstwa i strażników wiejskiego życia. W Musa Kali zwolnili nieco obyczajowy reżim, aby przeciągnąć ludność na swoją stronę. Odeszli od wymogu, by mężczyźni nosili brody, znieśli też zakaz muzyki i filmów. Zmienili też poglądy na samobójcze zamachy. Poprzednio zdarzało im się

mówić, że noszenie wybuchowych kamizelek to zadanie dla tchórze. Frakcja talibska zamieściła w lokalnej gazecie ogłoszenie, zapowiadające kary dla osób odpowiedzialnych za zamachy – obrazę dla islamu. Teraz sami talibowie to robią. Ich przywódcom religijnym udało się zreinterpretować *Koran* tak, by je usprawiedliwić przypominając powieści o muzułmańskiej armii z VII w., w której zdarzali się dobrowolni męczennicy.

Talibowie na wideo i kasetach z rapem

W obszarze wojny informacyjnej talibowie przystosowali się korzystać z władzy, jaką daje szeroki zasięg nadawania współczesnych mediów, wykazując obrotność daleko przewyższającą przeciwników. Prowadzą wywiady telewizyjne i skomputeryzowane sklepy z propagandą, wysyłają do Iraku przedstawicieli na szkolenia w skrzydle Al-Kaïdy zajmującym się wideoprodukcją, naśladując zachodnią praktykę zatrudniania dziennikarzy-korespondentów. Jako rząd zdelegalizowali przedstawienia postaci ludzkich uznając je za bluźnierstwo. Teraz sami łamią tabu „czynienia obrazów”, szykując bojówki skrojone na miarę ery informacji. Na ironię zakrawa fakt, że ruch, który zakazywał muzyki, teraz zatrudnia propagandowych piosenkarzy, którzy opiewają talibskie męczeństwo i potępią niewiernych, wzorując się na... amerykańskim rapie.

Deklarując lojalność wobec Afgańczyków, talibowie przygotowują alternatywny rząd czy wręcz „kontr-państwo”: „Islamski Emirat Afganistanu”. Ten gabinet cieni dubluje też system sądowy, system egzekucji prawa i kliniki. Pod Kandaharem istnieje nawet biuro ombudsmana, do którego można kierować skargi. Talibowie starają się poskromić lokalne straże ludowe, wprowadzając kodeks zakazujący najazdów na domostwa, grabieży, gwałtów i „przywar”, takich jak palenie. Konkuruje ze sobą, koalicja amerykańska i talibowie sięgają po porównywalne metody zapobiegania alienacji cywilów. Talibowie studiują opracowaną dla zachodnich armii doktrynę kontrinsurekcji, a ta kładzie szczególny nacisk na serca i umysły. Strategiczne interakcje z wrogiem okazują się równie ważne, co pielęgnowanie tradycji.

Mimo że afgańskie powstanie ma zaplecze etniczne wśród Pasztunów, nie da się go sprowadzić do wojny plemiennych. Oparty na rolnictwie tradycyjny system lojalności plemiennych został zaburzony przez pojawienie się *tanzimów* (co można przetłumaczyć mniej więcej jako „partie polityczne” czy ugrupowania) oraz systemu *qawm*, obejmującemu sieci lojalności na szczeblu niższym niż narodowy – w tym sekty religijne i praktyczne sojusze. Sami talibowie nie funkcjonują w plemionach, wśród przywódców znajdują się zarówno Durrani, jak i Ghilzai. Ruch otwiera podwoje przed członkami rywalizujących plemion, a nawet przed zmarginalizowanymi w Ghazni grupami Hazarów. Cele ruchu ściągnęły też na łono ruchu wielu kapłanów tadżyckich czy uzbeckich. Dostawy i komunikacja przebiegają terenami zamieszkałymi po większej części przez niepasztyńskie mniejszości etniczne, a trasy przejazdów rekrutacyjnych ustalane są także poza zasięgiem pasztyńskiej kontroli. Wyłaniający się właśnie ruch „neo-talibów” stara się pozyskać rekrutów spoza obszaru Pasztunów, grając na lokalnych żalach.

Stosunek talibów do nowoczesności i narzędzi, jakie ze sobą niesie, jest dwuznaczny. Tak jak nowoczesny faszyzm potępiają wszystko, co postrzegają jako jej zdegenerowane aspekty, ale jednocześnie pragną korzyści związanych z nowoczesną technologią i przedstawiają siebie samych jako szafarzy nowoczesności. Paradoksalnie, ten agresywnie antymodernistyczny ruch opiera się na nowoczesnych narzędziach. Talibowie są dziećmi globalizacji, której starają się przeciwstawiać. Aktorami kultury, którzy opiewają tradycję, ale praktykują zmiany.

Kuszące wydaje się ujmowanie Al-Kaïdy, razem z jej snem o islamskim Kalifacie i oplakiwaniem utraty Hiszpanii w 1492 r., w kategoriach dziwnego powrotu do średniowiecza. Ale można też patrzeć na jej członków jak na aktorów strategicznych, wykorzystujących siłę jako cel sam w sobie, jako świętą przemoc, dzięki której zyskują tożsamość męczenników występujących przeciwko światu chyłnemu się ku upadkowi. W takim rozumieniu działania wojenne byłyby dla nich nie tyle instrumentem politycznym, co teatrem horroru, na scenie którego mogą znaleźć wyraz ich religijno-kulturowe przekonania. Nasza oblawa na siatkę ben Ladena wygląda tu jak spotkanie dwójga radykalnych przeciwników, coś jak zetknięcie się w Ameryce Środkowej konkwistadorów ze składającymi ofiary z ludzi Aztekami.

Uczniowie Clausewitza, Mao i anarchistów

A przecież Al-Kaïda ukształtowana została przez globalny rynek idei i technologii. Może się żywić snami o średniowieczu i reakcyjną nostalgią. Jako organizacja stara się objąć kontrolę owych gwałtownych, purytańskich przybyszy, którzy doprowadzają do alienacji muzułmanów od Algierii po Irak. Ale trudno byłoby określić ten ruch jako przednowoczesny. Reprezentuje on znacznie więcej niż nihilistyczny pęd szerszenia terroru dla niego samego. W jego komunikatach zawarte są klasyczne elementy strategiczne. Kiedy Osama ben Laden wydał wojnę Stanom Zjednoczonym, uzasadniał swoją „partyzancką” taktykę wojenną nie tylko odwołaniami do świętej przemoc, ale i koniecznością obrania takiej formy działań wobec wytworzonej przez amerykańską potęgę militarną „nierównowagę sił”. Naczelny teoretyk Al-Kaïdy, Ayman Al-Zawahiri, kładzie nacisk, by przemoc przekładała się na zyski polityczne. Pisze, że sukcesy wieńczące działania przeciwko wrogom islamu zostaną zmarnowane, o ile nie przełożą się na stworzenie „muzułmańskiego narodu w centrum świata islamu”. Al-Kaïda równie daleka jest od terrorizmu jako celu samego w sobie, jak i od niespektowania wojennej tradycji Clausewitza. Porzucając kryjówkę w Tora Bora, została za sobą popodkreślana egzemplarze O wojnie.

Organizacja ta wiele pomysłów przejmując od niewiernych. Wizja Al-Kaïdy opiera się po części na idei Clausewitza o powiązaniach wojny i polityki. Obozy treningowe pełne są zachodniej literatury: zachodnich podręczników szkoleniowych, ale i lewi-

cowych rewolucjonistów. Cytuje się tam współczesną teorię „wojny czwartej generacji” i koncepcję „trój etapowej” walki partyzanckiej towarzysza Mao. Idee Al-Kaïdy to połączenie przekonania religijnego z klasyczną i współczesną myślą strategiczną. Jeśli natomiast chodzi o wyobraźnię rewolucyjną i dążenie ku nowemu światu przez mającą być założeniem bezprecedensowego rozwoju technik kontrwywiadowczych ma być zapewnienie bezpieczeństwa ludności, to poznanie obyczajów danego ludu wydaje się krokiem w dobrą stronę. Próba zrozumienia, jak wygląda świat z perspektywy innego wprowadza dobrą dyscyplinę moralną i intelektualną. Powinniśmy inwestować w naukę języka i studiować złożoną panoramę ludzką danego terenu. A jeśli nasi żołnierze dzięki jakimś szalonym projektom na wysokim szczeblu znów znajdują się w wirze wojny powstańczej, konfliktów lokalnych i załamania się aparatu państwowego, powinni być na to przygotowani. Z drugiej strony, ponieważ do kwestii kultury podchodzić można na różne, mniej lub bardziej skomplikowane sposoby, już samo to słowo powinno budzić w nas niepokój.

Kultura ma znaczenie, ale budzi niepokój

Kultura ma znaczenie. Zwrócenie uwagi na cudzoziemski świat społeczny pomogło amerykańskiej armii zreformować się, osiągnąć większą skuteczność i ludzki wizerunek. Pomogło zmniejszyć poziom przemoc w Iraku i rozprawić się z Al-Kaïdą podczas powstania w prowincji Anbar. Jeśli kluczowym założeniem bezprecedensowego rozwoju technik kontrwywiadowczych ma być zapewnienie bezpieczeństwa ludności, to poznanie obyczajów danego ludu wydaje się krokiem w dobrą stronę. Próba zrozumienia, jak wygląda świat z perspektywy innego wprowadza dobrą dyscyplinę moralną i intelektualną. Powinniśmy inwestować w naukę języka i studiować złożoną panoramę ludzką danego terenu. A jeśli nasi żołnierze dzięki jakimś szalonym projektom na wysokim szczeblu znów znajdują się w wirze wojny powstańczej, konfliktów lokalnych i załamania się aparatu państwowego, powinni być na to przygotowani. Z drugiej strony, ponieważ do kwestii kultury podchodzić można na różne, mniej lub bardziej skomplikowane sposoby, już samo to słowo powinno budzić w nas niepokój.

Wojna to coś więcej niż obrazek, w który wrysowujemy własną tożsamość. Zgodnie z pragmatycznym sformułowaniem Sun Tzu jest ona podłożem dla życia i dla śmierci, sposobem na przetrwanie i niszczenie. Dlatego tak ważne jest, by poznać kulturę, zwracając uwagę nie tylko na ciągłość, ale i na jej możliwości zmiany. Na używanie i nadużywanie idei. Na to, co kosmopolityczne, na równi z tym, co plemienne. Nie wolno też zapominać o ironii sytuacji, kiedy wrogowie codziennie uczą się od siebie nawzajem czegoś nowego. Współczesna antropologia wykazała, iż nawet społeczeństwa, które uznajemy za „proste”, są zdolne do głębokich przemian, gwałtownych zwrotów w stosunkach sił i dokonywania zapożyczeń z innych kultur. Tak dzieje się w Afganistanie. Talibowie, doświadczeni wojownicy, sami siebie wynajdują na nowo, obierając swoje ścieżki pośród chaosu. Nie stanowią nadbudowanej na lokalnej kulturze ciągłości, ale raczej zmieniają kształt, czerpią od światowych potęg i sztydzą z niewolniczego przywiązania do tradycji.

Wojenny wehikuł zmian

Być może nigdy nie pozbedziemy się z głowy zmitologizowanego obrazu Orientu. Tak jak lęk przed śmiercią i ciemnością jest zbyt potężny, by dało się go całkiem przegnać. Zawsze zostaje sylwetka na mentalnym horyzoncie. Możemy jednak podchodzić do niej z większą świadomością, ostrożnie traktować mity, godzić się z tym, że dowody i obserwacje częstokroć podważają nasze oczekiwania. Płynność i zmienność kształtu ruchu talibów czy Al-Kaïdy wskazują, że wojna przy wszystkich podziałach, jakie wprowadza, potrafi też pleść i łączyć, a nie tylko polaryzować. Czy też, jak pisał Juan Goytisolo: „Wiele się słyszy o korzeniach Półwyspu Iberyjskiego i miejsc poza nim. Wiele się słyszy o korzeniach naszych społeczeństw, korzeniach historycznych wspólnot... Ale człowiek to nie drzewo. Nie ma korzeni, tylko stopy; potrafi chodzić.”

tłum. Agata Czarnacka

[1] „Taliban from outer space: understanding Afghanistan”, *New York Post*, 3 lutego 2009.

[2] Zob.: W. O. Beeman, „L'Anthropologie, armée des militaires”, *Le Monde diplomatique*, marzec 2008.

[3] „Honour among them: the Pushtuns' tribal code”, *The Economist*, 22 grudnia 2006.

DLACZEGO NATO PRZEGRYWA?

Zapomniana lekcja z wojny wietnamskiej

Bing West, autor filmu dokumentalnego o życiu żołnierzy amerykańskich w Afganistanie [1], dał w swoim dziele wyraz popularnej w Stanach Zjednoczonych opinii: „Dowództwo powinno zwiększyć nacisk na maksymalizowanie strat po stronie wroga w walkach bezpośrednich oraz na aresztowania talibów – w ten sposób złamie się ich morale i zniszczy sieć komunikacji... musimy też zastanowić się, jak zwiększyć po ich stronie śmiertelność na polu bitwy.”

WILLIAM R. POLK*

Postawa ta, podobnie jak cała polityka Amerykanów w Afganistanie, nie bierze pod uwagę stanu kraju jako takiego. Oczywiście Afganistan to państwo o szczególnej obyczajowości i strukturze. Tradycyjni władcy wywodzą się z największej liczebnie grupy, Pasztunów. Czy Amerykanom się to podoba czy nie, talibowie stanowią ich jedynie naprawdę skuteczną skrzydło wojskowo-polityczne. Talibowie mają też wiele cech, które niekoniecznie nam się podobają, ale to ich kraj i głęboko wrośli w region charakteryzujący się niezwykle religijnością (chodzi o dość prymitywne formy islamu) i specyficznym kodeksem socjokulturowym, na południu znanym jako *Pasztunwali*, który jednak z drobnymi różnicami kieruje życiem wszystkich Afgańczyków. Walka z nimi oznacza walkę z Afganistanem, a tej nie możemy wygrać.

Imperia są niepoprawne

W 1962 r. udałem się po raz pierwszy do Afganistanu, by opracować raport nt. amerykańskiej polityki w tym kraju. Zaczęłem wtedy od wydobycia głównych cech tego obszaru: było to coś w rodzaju skalistego wzgórza poprzecinanego głębokimi żlebami, po którym porzucano jakieś 20 tys. piłeczek do ping-ponga. Piłeczki oznaczały autonomiczne wioski-państwa. Społeczności te łączyły obyczaj i religia, ale każda z nich sama zajmowała się swymi sprawami i pozostawała zasadniczo samorządna. Rosjanie odkryli potem, że choć mogli (co zresztą zrobili) roztrzaskać wiele spośród piłeczek, a ludność tysiąca innych rozpedzić na cztery wiatry, to nigdy nie udało im się doprowadzić do negocjacji nad zakończeniem wojny. Rzucenie do walki sporych i szybko porażających się sił zbrojnych – podobnych do naszych – pozwoliło im w każdym momencie wojny kontrolować do 20% kraju, ale nie ponadto. Choć wygrali większość bitew, to nie byli w stanie wygrać wojny.

Mimo 10 lat walki i utraty ok. 15 tys. żołnierzy Rosjanie zdecydowali się w 1989 r. wycofać. Można przyjąć, że wojna w Afganistanie w owym okresie w zasadzie przełożyła się na upadek Związku Radzieckiego. Nie był to skądinąd pierwszy taki przypadek. Szlak przetrzyty został przez Brytyjczyków, którzy bili się z Afgańczykami w 1842 r., w latach 1878-1880 i w 1919 r. tylko po to, by wycofać się ze stratami rządu strat radzieckich.

Rosyjski urzędnik wyższego szczebla, Zamir N. Kabulow, który w Afganistanie spędził ponad 30 lat jako ambasador ZSRR, zauważa, że Amerykanie powtórzyli wszystkie ich błędy, a teraz popełniają własne, „do których już [my, Rosjanie] nie mamy praw autorskich”.

Staramy się zgnieść talibów siłą – na co zwracał uwagę West – oraz minimalizować straty po własnej stronie. Jednocześnie staramy się skłócić między sobą talibskich przywódców i oddzielić talibów od Afgańczyków. Kluczowym elementem programu jest doprowadzenie do utworzenia lokalnego rządu po naszej myśli.

Czego nauczył nas Wietnam?

Założenia te aż proszą się o porównanie z Wietnamem. Tam również staraliśmy się – bez rezultatu – podzielić dowództwo wroga, starając się znaleźć jakieś „stronictwo umiarkowane”, z którym moglibyśmy zawrzeć umowy i które zwróciłoby się przeciwko twardegołowemu. Wyhodziliśmy również

ze skóry, by pogorszyć relacje między komunistami a resztą populacji (gromadząc ją w „osadach strategicznych” [2] itp.); staraliśmy się również obsadzić rząd wybranymi przez nas ludźmi. W Wietnamie zresztą mieliśmy znacznie więcej szans na wygraną niż w Afganistanie: ideologia komunistyczna była tam obca większości populacji, podczas gdy islam jest religią „lokalną”, podobnie jak „lokalne” są zwalczane przez nas kody kulturowe.

Przyjęliśmy taktykę, którą zdecydowaliśmy się określać jako „przeciwpowstańcza”. Zobaczmy, co na temat ma do powiedzenia najbardziej szczegółowa i wyczerpująca oficjalna relacja z tej wojny, *The Pentagon Papers* [3]: „próby przełożenia nowo opracowanej teorii przeciwdziałania powstaniom na warunki w terenie przez szereg narzędzi militarnych, społecznych, psychologicznych, ekonomicznych i politycznych... wszędzie przyniosła jednolity efekt: kompletnej porażki.”

Generał David Petraeus przyjął (lub opracował z własnej inicjatywy) zasadniczo tę samą linię postępowania, której wdrożeniem zajmuje się generał Stanley McCrystal.

W 1963 r. jako członek Policy Planning Council (Rady Planowania Polityki) przemawiałem na forum US National War College. W moim wystąpieniu przewidywałem porażkę naszej wojny w Wietnamie. Analizując sytuację, podzieliłem wyzwanie, jakie stało wówczas przed nami, na trzy części: polityczną, administracyjną i wojskową. W stylu myślenia lat 60., każdej części przypisałem pewien procenta ważności. Następnie kategorie te umieściłem w perspektywie historycznej. Ponieważ sądzę, że owo rozumowanie stosuje się również do dzisiejszego Afganistanu, pozwolę sobie je streścić: element polityczny otrzymał 80% – w Wietnamie został wygrany w późnych latach 40. przez Viet Minh. Jak zauważył prezydent Eisenhower, Ho Chi Minh mógł wygrać wolne wybory nawet na południu kraju [4].

Elementowi administracyjnemu przypisałem 15%. Pod koniec lat 50. Viet Minh zniszczył aparat administracyjny na południu, zabijając mnóstwo urzędników, policjantów, nauczycieli, a nawet lekarzy. Nie dało się zbierać podatków, przekazywać wiadomości, nie funkcjonowały usługi, i nawet żołnierze Południowego Wietnamu nie byli w stanie wykonać ruchu po zachodzie słońca. Pozostałe 5% zaangażowania zbrojnego oznaczało to, co zwojowaliśmy przez następną dekadę. Złapaliśmy za krótszy koniec dźwigni. Już w 1963 r. byłem pewien, że przegramy. Ani strategia przeciwpowstańcowa (kontrinsurekcyjna), ani nawet walki na szeroką skalę niczego tu już nie mogły zmienić.

Odnieśmy to do Afganistanu: podobnie jak Brytyjczycy czy Rosjanie nie jesteśmy w stanie wywrzeć choćby niewielkiego wpływu na polityczną czy kulturową naturę tego kraju. Afgańczycy tak wczoraj, jak i dziś bez różnicy nienawidzą obcych najeźdźców. Dlatego koncentrujemy się na administracji i działaniach wojennych.

Jeśli chodzi o administrację, udało nam się sporządzić wedle wymogów Kongresu listę naszych sukcesów. Było ich trochę, choć nie tak znów wiele. Tym niemniej okazały się efemeryczne. Kiedy tylko nasze oddziały wycofały się, talibowie, zupełnie jak Viet Minh, zniszczyły wszystko, co nam udało się stworzyć czy przynajmniej wesprzeć.

Richard Opiel Jr. pokazał to na przykładzie jednej z afgańskich prowincji: gubernator Khanashin w prowincji Helmand powiedział mi, że „nie ma ciała doradczego do pomocy w zarządzaniu rejonem, lekarzy do opieki zdrowotnej, nauczycieli ani w ogóle fachowców od czegokolwiek. Wszystko, czym – jak twierdzi – dysponuje, to krad-

nący na lewo i prawo policjanci oraz grupa afgańskich żołnierzy, którzy przyjechali tu na wakacje” [5].

Gdziekolwiek jest może lepiej, ale z pewnością są też miejsca, gdzie jest gorzej. Trzymając się moich „procentów”, naszej działalności w obszarze „rekonstrukcji narodu” dałbym hojną ręką połowę ówczesnych szacunków, jakieś 7,5-8%.

Zostajemy więc z kwestią militarną, którą poruszył też Bing West. Dzięki lepszej broni palnej wygramy wszystkie znaczące starcia. W naturę wojny partyzanckiej wpisane jest, że powstańcy będą znikać tam, gdzie nie będą mieć szansy wygranej. Ale potem powrócą. Obecne raporty dają do zrozumienia, że panujemy nad takim obszarem, na jakim w danej chwili znajdują się nasze wojska. Podobne doświadczenia my mieliśmy w Wietnamie, a w Afganistanie – Rosjanie. Tak więc, znów dosyć hojnie, dajmy naszym osiągnięciom militarnym 3%.

Szanse na amerykańskie „zwycięstwo” są jak jeden do dziesięciu

Trzeba też wziąć pod uwagę, że dawny rząd Wietnamu Południowego i obecne rządy w Afganistanie są w kluczowych aspektach bardzo do siebie podobne: ludność zarówno ich nienawidzi, jak się ich boi. Korupcja wietnamskiego rządu była kolosalna. Urzędnicy kradli pieniądze z pomocy międzynarodowej, a nawet jedzenie, które staraliśmy się dawać mieszkańcom; oprzyrządowanie i broń, którą dostawali, by walczyć z Viet Minhem, sprzedawali natychmiast tej organizacji. Zostawili nam wszystkie niebezpieczne zadania. Pewien pułkownik z Interagency Task Force, na której czele wówczas stałem, zauważył, iż kiedy tylko armia Południowego Wietnamu dowiadywała się o planach armii amerykańskiej, jego marines mogli od razu spodziewać się zasadzki.

Porównajmy to z sytuacją w Afganistanie: rząd zainstalowany przez Waszyngton jest głęboko uwikłany w handel narkotykami, sprzedaje urzędy w policji, armii i służbach cywilnych, rozstrzyga sprawy sądowe przez wzgląd na wysokość łapówki, kradnie wszystko, na czym urzędnicy są w stanie położyć rękę, a nawet przyłapano go na sprzedaży talibom amunicji. Wszystko na sprzedaż. Reelekcja Hamida Karzaję nie była nawet parodią, tylko czystym żartem. Wyniki ogłoszono, zanim jeszcze przeliczono głosy. Okazało się, że atament, którym oznaczano głosy, blaknie. Zresztą rząd Karzaję, tak jak rząd w Wietnamie, nie ma właściwie żadnego wpływu poza centrum Kabulu. Nasze oddziały odkrywają, że Afgańczycy trzymają się tak daleko od niebezpieczeństwa, jak to tylko możliwe. Wielu przechodzi na stronę talibów. Tak samo jak w Wietnamie nasi przeciwnicy z pomocą lokalnej ludności „królują nocą”.

Afganistan różni się od Wietnamu obecnością lokalnych hersztów, którzy budzą powszechną nienawiść i strach i w zasadzie kontrolują rząd. By wygrać wybory (o ile da się to tak nazwać), Karzaj zmuszony był zdać się na niesławnego uzbeckiego herszta Raszida Dostuma [6], po czym uczynił zeń faktycznego współwładcę. Co gorsza, w powszechnej opinii powiązani są z Ameryką, z czego skwapliwie korzystają talibowie, bo nawet ci, którzy talibów nienawidzą, wołają ich od owych hersztów. Richard Holbrooke, który najwyraźniej nie grzeszy dyplomatycznym wyczuciem, wdał się niedawno z Karzajem w spór wokół roli hersztów i rzucających się w oczy oszustw wyborczych. (Dla tych, co pamiętają relacje między ówczesnym wiceprezydentem Henrym Cabotem Lodge'em a Ngo Dinhami, była to gorzka powtórka z Wietnamskiej rozrywki.)

Plany Obamy toną w afgańskim bagnie

Czego więc spodziewać się w przyszłości? Prezydent Obama mówi, że musimy zwyciężyć. Sekretarz obrony Robert Gates mówi, że musimy zostać w Afganistanie „przez kilka lat”. Brytyjski generał David Richards uważa, że „kilka” to w tym wypadku 40. (Zupełnie przypadkiem tę samą liczbę wymienił neokonserwatywa James Woolsey, postulując światową krucjatę. Zakładam, że przekłada się to na tzw. przez *The Economist*: „upragnioną przez neokonserwatywistów ścieżkę permanentnej, niekończącej się wojny”.) Tymczasem dobrze poinformowany ambasador



TOMASZ BOHARDEW, BARTEK ZWIĘCZA

brytyjski, sir Sherard Cowper-Coles, kilka miesięcy temu napisał zaskakujące memorandum, z którego wynikało, że wojna już została przegrana. Hiszpanie już się wycofują, ogłaszając, iż Afganistan to „światowe źródło” terroryzmu. Tamtejsi terroryści atakują Amerykę. Tyle, że takie postawienie sprawy jest błędne w dwojakim sensie.

Wedle moich kalkulacji – być może amatorskich, ale opartych na bardziej profesjonalnych rachunkach z kampanii w Iraku – wojna w Afganistanie kosztować będzie Amerykanów od 3 do 6 bilionów dolarów; więcej niż jedną czwartą amerykańskiego PKB. Unie-możliwi to realizację przeważającej części polityki wewnętrznej prezydenta Obamy. Krótko mówiąc, Afganistan najprawdopodobniej okaże się dla niego zabójczy, podobnie jak Wietnam dla Lyndona Johnsona.

Mimo wszystko Obama zdecydował się „utrzymać kurs”. Uzasadniał swoją decyzję, ogłaszając, iż Afganistan to „światowe źródło” terroryzmu. Tamtejsi terroryści atakują Amerykę. Tyle, że takie postawienie sprawy jest błędne w dwojakim sensie.

Po pierwsze, działania zbrojne w Afganistanie początek datować można na naszą własną rewolucję, nadal nie rozumiemy natury ani przyczyn terroryzmu. Mówiąc krótko: terroryzm to broń słabych, z której korzystają, kiedy jest to jedyny sposób na cofnięcie tego, co postrzegają jako złe. Przez ostatnie dwa stulecia powtarzało się to na całym świecie: w Ameryce Południowej, Irlandii, Hiszpanii, Jugosławii, Grecji, Włoszech, Francji,

Palestynie, Turcji, Południowej Afryce, Kenii, Indiach, Kaszmirze, Afganistanie, Birnie, na Sri Lance, w Tajlandii, Malezji, Chinach czy Rosji... Kiedy na cele terrorystów patrzymy z aprobatą, nazywamy ich bojownikami o wolność – i jest to jedyna różnica między jednymi a drugimi.

Podobnie mylimy talibów i Al-Kaidę, choć jeden zasadniczo różni się od drugich. Talibowie stanowią, jak już powiedziałem, narodową organizację polityczną, swego rodzaju rząd na wewnętrznym uchodźstwie, oparty na tradycyjnym przywództwie i największej grupie etnicznej w Afganistanie. Al-Kaida to tygiel mężczyzn i kobiet z całego świata, którzy działają na własny rachunek; nie jest organizacją i brak jej centralnego dowództwa. Osama ben Laden nie jest generałem, tylko guru. Podejmują różne kwestie, które łączy głównie to, że wszystkie zrodziły się jako spadek po brutalnym (głównie, ale nie tylko zachodnim) imperializmie.

tłum. Agata Czarnacka

[1] *Close-in firefight Afghanistan July 09*, www.youtube.com.

[2] Program „osad strategicznych” został opracowany przez Stany Zjednoczone i Wietnam Południowy w 1961 r. Miał on zapobiegać powstaniom poprzez przemieszczenia populacji.

[3] Zwyczajowe określenie raportu zatytułowanego „United States-Vietnam relations, 1945-1967: A study prepared by the department of defence” („Stosunki amerykańsko-wietnamskie w latach 1945-1967: studium przygotowane przez departament obrony”).

[4] Układ genewski z lipca 1954 r., kładący kres francuskiej wojnie w Indochinach, przewidywał wybory powszechne w lipcu 1956 r., mające połączyć północną i południową część kraju. Szacując, że Viet Minh uzyskałby w nich 80% poparcie, Stany Zjednoczone postanowiły nie dopuścić do ich przeprowadzenia. Por.: A. Ruscio, *La Guerre française d'Indochine*, Complexe, Bruksela 1992, s. 227.[5] *The New York Times*, 23 sierpnia 2009.

[6] Dostuma oskarża się między innymi o przyzwolenie na zmasakrowanie w 2001 r. kilku tysięcy talibów przetrzymywanych w więzieniu na północy kraju. Miało to posłużyć obaleniu talibskiego reżimu.

* Były członek Policy Planning Council, profesor historii na Uniwersytecie w Chicago, przewodniczący Adlai Stevenson Institute of International Affairs, autor takich książek, jak: *Violent Politics. A History of Insurgency, Terrorism and Guerilla War. From the American Revolution to Iraq*, Harper, Nowy Jork 2008 czy *Understanding Iran*, Palgrave Macmillan, Nowy Jork 2009.

Czy NRD istniała naprawdę?

W maju tego roku zakończył się państwowy konkurs zorganizowany na wniosek niemieckiego parlamentu, skierowany do wszystkich artystów i architektów. Chodziło o realizację narodowego pomnika symbolizującego „jedność i wolność”. Żadna z 500 nadesłanych prac nie trafiła oceniającym do przekonania i konkurs okazał się całkowitą porażką.

BERNARD UMBRECHT*

„Fakt, że znalezienie symbolu zjednoczenia stanowi taki problem, związany jest z historią Niemiec” – uważa historyk Enzo Traverso, z którym spotkałem się w Berlinie, gdzie przez jeden semestr wykladał on na Wolnym Uniwersytecie. Mówił, że jest to „wielki kraj o wielkiej kulturze, który odegrał ogromną rolę w historii, ale któremu brakuje pozytywnego mitu, który zawsze musi określać się negatywnie. Pozytywnie Niemcy mogą się określać jedynie na płaszczyźnie ponadnarodowej. To poszukiwanie tożsamości, która nie byłaby etniczno-kulturowa, odnajdujemy w koncepcji patriotyzmu konstytucyjnego” [1].

Traverso twierdzi, że uderzająca jest „opozycja, bardzo wyraźnie widoczna w Berlinie, między obsesyjnym pragnieniem odzyskania żydowskiej przeszłości Niemiec i równoległe równie gwałtowną potrzebą wymazania przeszłości wschodniemieckiej, wykreślenia NRD z historii.” „Wizualnym przedstawieniem” tego rozdarcia, które zaistniało w pamięci zbiorowej społeczeństwa niemieckiego, są – jak mówi Traverso – „dwie przestrzenie w samym sercu Berlina. Z jednej strony Pomnik Holocaustu, ogromny i masywny, jako znak, że Niemcy nie chcą zapomnieć o ludobójstwie. Z drugiej strony ogromna pusta przestrzeń, na której stał niegdyś Pałac Republiki (NRD). Zatem z jednej strony dążenie do wypełnienia treścią białej plamy w historii, jaka powstała wskutek wyparcia Holocaustu, z drugiej tworzenie nowej białej plamy, czy to przez wypieranie lub zwyczajne zniszczenie, czy to przez coś, co Régine Robin nazwała „umuzycznianiem” [2].

Selektywne zacieranie pamięci

Czy nie jest przypadkiem tak, że przez ostatnie 20 lat trwała swego rodzaju „zimna wojna pamięci”? Czy może należy to wpisać się w nieco szerszy kontekst i w znacznie starszą w Niemczech tradycję śladów zacierania poprzednich epok? Zdaniem Régine Robin w kraju tym istnieje swoista tradycja *damnatio memo-*

riae [3], ale siła jej wpływu jest różna w różnych dziedzinach. „Niemcy burzą Pałac Republiki, a jednocześnie restaurują nazistowski stadion olimpijski na Puchar Świata w piłce nożnej. Jakoś nie widzą tu sprzeczności – zauważa quebecka pisarka. – Zachowują w mieście latarnie uliczne Speera (architekt Adolfa Hitlera [4]), podobnie jak większość nazistowskich budynków niezniszczonych przez bomby, podczas gdy systematycznie burzą te, które zostały zbudowane za NRD, nawet na Alexanderplatz. NRD jest całkowicie pozbawione legitymizacji. Niemcy chcieliby zrobić z niej nawias w historii Niemiec, wstydlivy epizod, jak Trzecia Rzesza. Nic nie powinno przetrwać. Hymn, flaga, emblematy, bohaterowie, nazwy ulic, budynki, podręczniki szkolne, zajęcia uniwersyteckie, wszystko musi zniknąć.”

Nie jest to wcale łatwe zadanie. Jeśli ocalały fragmenty Muru zamalowano, by upamiętnić jego zniknięcie, jak tu wymazać jednocześnie to, co było za nim? Może skończyć się tak, że wszyscy zaczęli się zastanawiać, po co go w ogóle postawiono. I zapomną, że ludziom, którzy się zbudowali 20 lat temu, chodziło o coś innego niż o Coca-Colę i supermarkety.

Za Murem... 17 milionom mieszkańców tam upłynęło życie. Tego nie da się wymazać na zawołanie, zwłaszcza jeśli to, co im zaproponowano jako alternatywę, wali się na ich oczach. Nikomu nie chodzi o przywracanie NRD. Ale po tych 20 latach pewna większościowa grupa wciąż zachowała pozytywną ocenę tamtego okresu, przeprowadzane ankiety świadczą o utrzymaniu się „nostalgii”, a 63% Niemców ze wschodniej części ocenia, że różnice między wschodem i zachodem są wyraźniejsze niż to, co wspólne [5].

Architekci z kolei zaczęli protestować przeciwko niszczeniu zewnętrznej tkanki miast na terytoriach byłej Republiki Demokratycznej. Philipp Oswald, dyrektor Fondation Bauhaus z Dessau przeciwstawił się projektowi zrekonstruowania (w stylu średniowiecznym) centrum Berlina pomiędzy Spree a Alexanderplatz. Trzeba dodać, że na tym obszarze nadal stoi słynny pomnik Karola Marksa

i Fryderyka Engelsa, rzecz nie do zniesienia dla niektórych bardziej ograniczonych umysłów.

Z okazji rocznicy przyjęcia konstytucji Republiki Federalnej Niemiec w 1949 r. zorganizowano wystawę, prezentowaną w maju i w czerwcu tego roku w Martin Gropius Bau, dawnym muzeum sztuk dekoracyjnych, zatytułowaną: „60 lat – 60 dzieł” Przez część prasy specjalistycznej została zaklasyfikowana jako „sztuka zwycięzców” [6]: gdyż mimo że na wystawie wiele było obrazów lub rzeźb artystów pochodzących z byłego NRD, nie było najmniejszego śladu, który by o tym świadczył. Ten rewizjonizm sięgnął szczytu przy wyborze prac malarza Wolfganga Mattheuera: pokazane zostały tylko i wyłącznie te jego prace, które powstały po 1989 r. Komisarze wystawy dali tym samym do zrozumienia, że „prawdziwym” artystą stał się dopiero po upadku Muru, a był nim przecież na długo wcześniej. 60 dzieł miało być ilustracją do artykułu 5.3 Konstytucji, który głosi, że „sztuka jest wolna”. Nauka moralna została przyjęta: podczas dyktatury nie mogło być mowy o twórczości artystycznej.

Symbole zjednoczenia czy aneksji?

Pisarz Christoph Hein, który oficjalnie odrzucił zaproszenie na wernisaz tej wystawy, uważa, że dobrze oddaje ona pewien faktyczny stan „pseudo zjednoczenia niemieckiego”. Twierdzi on, że dominuje fałszywa opinia na temat zjednoczenia: „Chcieli go tylko ludzie ze Wschodu. Dla tych z Zachodu Niemcy kończyły się na Łabie, dla nich była to granica z Rosją a nie z drugą częścią Niemiec. Niemcy zachodni prędzej życzyliby sobie zjednoczenia z Toskanią albo z Balearami niż z NRD, krajem, o którym nie mieli zielonego pojęcia.” Zapytany o trudność, jaką sprawiło Niemcom znalezienie symbolu zjednoczenia, Hein odpowiada wzburzony: „Symboli zjednoczenia to mamy akurat za dużo! Jednym z nich jest ta wystawa. Innym – znakomitym – jest raport na temat biedy w Niemczech! Nierówny podział płac, zatrudnienia, emerytur, oto znakomite symbole.”

Można by łatwo wydłużyć tę listę i zobrazować ją bardzo konkretnymi przykładami, nie zapominając o obecności mafii, której kalabryjski odłam ogarnął swoimi wpływami okolice Erfurtu, Lipska i Eisenach [7].

Nowy film Thomasa Heise *Material* [8] pokazuje sceny kręcone w NRD od końca lat 80. aż do połowy r. 2008 w Niemczech. Mógłby się nazywać również *To co zostało*. „To, co zostało, siedzi w mojej głowie.

Te obrazy wchodzą ze sobą nieustannie w nowe konfiguracje. Wciąż są w ruchu. Materiał jest nieskończony. Składa się z tego, co zachowałem. To mój obraz.” To jeszcze jedna próba stworzenia bilansu tych ostatnich 20 lat.

Jako motto Heise zamieścił takie zdanie: „Uważa się, że historia jest formą linearną. Tymczasem historia jest raczej stertą.” A zatem historia to nie tylko to, co przedtem i to, co potem, ale też przód i tył, góra i dół, to co widoczne i to, co ukryte. Ten film, zawierający wiele nieznanych nagrań, nie jest skomponowany jak dokument, w którym zazwyczaj obrazom towarzyszy objaśniający głos zza kadru. Tutaj reżyser pozwolił, by zestawione fragmenty obrazów same grały między sobą, a widz sam odczytywał to, co między wierszami, wsłuchał się w to, co między słowami, szukał tego, co pomiędzy obrazami. Tak jak to robiło całe pokolenie, które musiało się tego nauczyć. Tak naprawdę wszystkie te ujęcia pokazują momenty dojścia do głosu, te chwile, które zatarły się w pamięci. Na przykład rozmowy między więźniami i strażnikami więziennymi na temat amnestii; albo między członkami wschodniemieckiej partii komunistycznej i ich przywódcami.

Heise protestuje przeciwko „zakłamanom w obowiązującej narracji”. Przypomina np. o manifestantach, którzy krzyczeli, zaraz po złowieszczym wydarzeniu na placu Tiananmen: „Jesteśmy jednym narodem!”. Ale nie do Niemców z zachodu, jak to później zaczęto interpretować, lecz do policjantów, których do nich wysłano. „Tę właśnie rzeczywistość próbuje się teraz wymazać – mówi Heise – ten moment, w którym wszyscy obywateli stanęli w szeregu, by przemówić w swoim imieniu. Nikt nie chce tych wspomnień. Świętujemy upadek Muru, ale nikt nie mówi o tym, jak pewien naród ogłosił się wolnym w sytuacji braku władzy, ani o tym, jak następnie zamiast zjednoczenia nastąpiło przyłączenie, przywrócenie porządku poprzez obalenie utopii. Republika Federalna nie mogła sobie pozwolić na istnienie suwerennego ludu w części Niemiec. Nie przetrwałaby tego. Mur zburzono, by uniemożliwić rewolucję.

„Wszystko co powstało w NRD zostało odrzucone”

Ale wymazywanie nie dotyczy jedynie polityki, kultury i symboli. Cała infrastruktura przemysłowa, techniczna i naukowa wschodniej części Niemiec została zniszczona. Ekonomista Edgar Most wciąż na to pomstuje i jeszcze dziś wyrzuca kanclerzowi Helmutowi Kohlowi, że świadomie podjął taką decyzję ze względu na wybory. Ustalenie relacji wymiany jednej marki zachodniej za dwie marki wschodnie powyżej sumy 4 tys. marek, to decyzja absurdalna z punktu widzenia gospodarczego, która zrujnowała podstawy gospodarki w tej części Niemiec. Kiedy się o tym dowiedziałem, wydało mi się, że mam do czynienia z Günterem Mittagiem [9]. I zupełnie tak samo, jak ten ostatni – ale wtedy było już za późno – kanclerz Kohl chciał usunąć Mosta, i równie bezskutecznie.

Most dumnie obnosi się ze swoim pochodzeniem i swoim silnym akcentem z Turynii. Nie od dzisiaj zresztą jest taki szczery. NRD dla takich ludzi jak on było doskonałym terenem do różnego rodzaju machinacji, pod warunkiem, że znało się umiar i granice. Opublikował autobiografię zatytułowaną: *Pięćdziesiąt lat w służbie kapitalu* („ale w dwóch różnych światach” – dodaje). Był wiceprzewodniczącym Banku Państwowego NRD, później założył pierwszy prywatny bank we wschodnich Niemczech, a skończył na najwyższych stanowiskach w Deutsche Bank w Berlinie. „W czasie pracy w banku państwowym prowadziłem politykę walutową i kredytową, obracając pieniędzmi, które należały do państwa. Na decyzjach, które musiałem podejmować, zaważyły następujące pytania, w takiej właśnie kolejności: jak te pieniądze służą państwu i społeczeństwu? Czy obracamy nimi z pożytkiem dla przedsiębiorstw, dla pracy? I dopiero na trzecim miejscu: w czym są one użyteczne dla banku? W przypadku kapitału prywatnego następuje całkowite odwrócenie tych wartości, a pierwsze wy-

tanie dotyczy tego, jak te pieniądze mogą służyć bankowi.”

Uważa, że 1990 r. należało zatrzymać się na chwilę i zastanowić: „Wszystko, co powstało z NRD zostało odrzucone. Administracja została przejęta przez Zachód, a personel wysyłany w teren naprawdę nie był z najwyższej półki. Na uniwersytetach profesorowie zachodni zajmowali wszystkie miejsca [10], Akademia Nauk została rozwiązana. Wszystkie kompetencje naukowe byłej NRD, nawet tam gdzie jak najbardziej były w stanie stanowić konkurencję dla RFN zostały wyeliminowane z gry. Nigdy nie pojawiła się próba oceny tego okresu, stworzenia jakiegos bilansu.” Zachód po prostu przejął teren. Łatwo zrozumieć dlaczego mieszkańcy tej części kraju poczuli się jak obywatele drugiej kategorii.

Most nie przeczy, że faktycznie NRD żyła powyżej możliwości, ale nie zgadza się ze stwierdzeniem, że w latach 80. znalazła się w stanie upadłości. Francja – twierdzi ów bankier – była gotowa dać jej kredyt. W tym, co mówi Most nie ma za grosz nostalgii za dawnymi czasami, ale trudno mu się oprzeć wrażeniu, podzielanemu przez wiele osób zajmujących się ekonomią, że znowu zaczyna rządzić zasada nieręczystości. Wszyscy ustalają początek końca NRD na rok 1972, gdy do władzy doszedł Erich Honecker. Upaństwowił on wszystkie małe i średnie przedsiębiorstwa oraz drobny handel i zaczął pracować nad „jednością polityki gospodarczej i społecznej”, całkowicie oderwanej od rzeczywistych potrzeb. Jego prawa ręka, Günter Mittag, działając w imię partii, miał równie nie-realne wymagania wobec przedsiębiorstw wschodniemieckich, jak mają teraz akcjonariusze w stosunku do przedsiębiorstw kapitalistycznych.

„Zgodziliśmy się zapomnieć dlaczego chcieliśmy innych Niemiec”

Christian Wegerdt, inżynier specjalizujący się w fizyce materiałowej, nie napisał autobiografii, ale słuchając go ma się wrażenie, że też powinien. Opowiada o swojej przemianie z kierownika socjalistycznego przedsiębiorstwa w kapitalistycznego „przedsiębiorcę”. Najpierw spotykamy go w Dreźnie, w siedzibie jego firmy IMA Drezno, specjalizującej się w analizie materiałowej, zatrudniającej 160 pracowników, głównie inżynierów, i obsługującej klientów z branży aeronautyki (Airbusy), ale też dla przemysłu samochodowego, kolejowego, powietrznego, medycznego. Sytuacja gospodarcza w Saksonii nie była jednak najbardziej sprzyjająca. Ten region, jako jeden z najbardziej uprzemysłowionych w Niemczech i mocno nastawiony na eksport, silniej niż inne regiony odczuł skutki kryzysu. Odbysz studya w dziedzinie metalurgii, mój rozmówca został dyrektorem naukowym i technicznym, a później kierownikiem działu badań naukowych, w kombinacie (w wielkim przedsiębiorstwie państwowym) zajmującym się przemysłem górnictwem i metalurgicznym, podlegającym bezpośrednio ministerstwu gospodarki.

W NRD ostatecznie można było odmówić bycia wiceministrem jeden raz, ale nie więcej. Wegerdt nauczył się tego na własnej skórze. W ramach kary pod koniec lat 80. został przeniesiony do instytutu naukowego i technicznego, w którym pracowało 900 osób, specjalizującego się w badaniach nad zjawiskiem korozji. Z czasem został szefem tego zakładu. Przyszedł rok 1989 i upadek Muru. Co teraz? „Szukałem w całych Niemczech. Nikt nas nie chciał. W 1990-1991 było 400 zwolnień. Treuhand postawił sprawę jasno: albo prywatyzacja albo likwidacja w 1992 r. W cztery osoby postanowiliśmy wykupić zakład. Udało się.”

Był wstrząśnięty wyniosłością Niemców z Zachodu, „którzy sądzili, że nie potrafimy liczyć, ani posługiwać się nożem i widelcem”. Uważa, że ten krótki okres, w którym można było zadać sobie pytania o prawa obywatelskie, „został szybko ucięty, przez podjęcie decyzji, które przyszedły z zewnątrz wraz z ideą konkurencji i wysięgu szczurów. Częściowo był to skutek mentalności okupanta, częściowo wyraz dobrych intencji, ale niezmiennie towa-



* Dziennikarz.

rzyszyła temu bufonada i arogancka ignorancja”. Kierowanie przez Treuhand całością gospodarki wschodniemieckiej „było niczym innym jak kontynuowaniem gospodarki planowanej, tylko że w drugą stronę.”

W 2001 r. w wystąpieniu, którego rękopis nam dostarczył, Wegerdt uznał, że „po prostu niemoralny fakt, że stopniowo przychody z obrotu kapitałem robią się wyższe niż te z pracy (...). Kiedy socjalizm był jeszcze siłą, która liczyła się na tym świecie, ba-no się go i ten strach był hamulcem. Teraz strach zniknął, a hamulce puściły.”

Oczywiście nie wszystkim szefom przedsiębiorstw powiodło się tak jak Wegerdtowi, wręcz przeciwnie. Ale punkt widzenia kogoś, kto wyszedł na tym dobrze, jest bardziej interesujący, gdyż nie jest zabarwiony goryczą porażki.

Elmar Faber, dopingowany przez syna, który tymczasem został zastępcą burmistrza miasta, założył w Lipsku wydawnictwo Faber&Faber. Lata jego edukacji przypadły na ten szczęśliwy czas, kiedy wśród wykładowców na uniwersytecie w Lipsku byli tacy ludzie jak Ernst Bloch czy Hans Mayer, by wymienić tylko tych najbardziej znanych, i nie zamierza pozwolić, by takie dziedzictwo zostało mu odebrane. Wcześniej Faber był wydawcą w najbardziej prestiżowym domu wydawniczym NRD, tym które wydawało Bertolta Brechta i Tomasa Manna: Aufbau Verlag. Dlatego to on przeprowadził jego przejście do sektora prywatnego.

Prywatyzacja albo likwidacja – była to naprawdę jedyna alternatywa, jaka stała przed przedsiębiorstwami państwowymi po zjednoczeniu. Kontrolę nad tym procesem sprawował Treuhand, przed którym trzeba było się spowiadać dalej, nawet już po przeprowadzeniu transformacji. Faber to nie ominęło. „Zostałem wezwany do Treuhand, bo w moim dossier brakowało jakiegoś papierka. Pokazano mi jakiś dokument zatytułowany „Deklaracja”, na którym miałem podpisać się pod następującym stwierdzeniem: „Deklaruję, że nigdy nie pracowałem dla Stasi” [11]. Odpowiedziałem, że nie podpiszę, ale że mogę dostarczyć inną deklarację. I napisałem następujące oznajmienie: „Deklaruję, że nigdy nie podpisałem nic po to, by zachować swoje stanowisko, ani w poprzednim systemie ani w nowym”. To było o 10.30 rano. O 13.30 byłem już zwolniony.”

Faberowi zdarzały się chwile gniewu w tym burzliwym okresie, który nastąpił po upadku Muru. „To nie była epoka poetycka. Książki najlepszych pisarzy z NRD, a także Heinricha Manna, Leona Feuchtwangera, Arnolda Zweiga, Anny Saghers, tony książek, poszły na przymiół, bo na półkach trzeba było zrobić miejsce na książki kucharskie, najroźniejsze poradniki i przewodniki turystyczne.” Punktem zwrotnym było zamordowanie w 1991 r. pierwszego dyrektora Treuhandanstalt, Detleva Rohweddera, który uważał, że możliwe jest zachowanie części potencjału przemysłowego byłej NRD, w tym wydawni-



ctwa Aufbau Verlag. Zostało ono najpierw wykupione przez inwestora budowlanego, a później po ogłoszeniu upadłości przejęte przez biznesmena berlińskiego Matthiasa Kocha. „Po tragicznej śmierci Detleva Rohweddera – mówi Faber – byliśmy świadkami triumfu głupoty. Na przykład pewnego dnia kierownik personelu Treuhand po błyskotliwych rozważaniach, doszedł do wniosku, że nasze wydawnictwo nigdy nie opublikowało nic poza Marksem i Engelsem [12]. Z taką oto głupotą, połączoną z nieprawdopodobną arogancją, musimy mieć do czynienia.”

Wydawca z Lipska twierdzi, że zaczął się proces „odhistoryczniania”. „Zgodziliśmy się zapomnieć dlaczego chcieliśmy innych Niemiec”. Dlatego właśnie żadne światło nie pojawia się we współczesnej debacie publicznej, w której próbuje się pisać od nowa historię, zaczynając od końca. „Jeśli przywódcy okazują się głupszy niż ci, którym przewodzą, mierzymy prostą drogą do katastrofy – podsumowuje Faber, wtórując Gramsciemu. – Tak właś-

nie było w NRD. Dzisiaj sytuacja się potwarza z tą różnicą jednak, że zgłupieniu klasy politycznej towarzyszy zgłupienie społeczeństwa.”

Deutsche Hygiene Museum w Dreźnie zasadniczo nie jest miejscem, w którym spodziewanym się znaleźć wystawę na temat pracy, zwłaszcza jeśli chce ono uchodzić za Muzeum Człowieka [13]. Pojęcie pracy nie jest łatwe do zdefiniowania, zwłaszcza jeśli uważa się, że zawiera ono w sobie pojęcie zatrudnienia, jednak nie pokrywa się z nim całkowicie. Definiując hipotetycznie pracę jako umotywowane przez człowieka przekształcanie zastanego świata – stawia ta otwiera nowe możliwości, zastawiając zwiędzającym całkowitą wolność skrytykowania propozycji, które sama mu przedstawia. Wystawa zatytułowana została „Arbeit Sinn und Sorge”, przedstawia więc pracę w kontekście pojęć „sens” (Sinn) i „troska” (Sorge). To ostatnie słowo oznacza również „staranie” w znaczeniu, w jakim Bernard Stiegler używa go w katalogu do wystawy [14].

Znikająca przyszłość albo czego najbardziej brakuje po upadku NRD

Pojawiający się w niemieckim *sorge* motyw troski, lęku, niepokoju („niepokój się o siebie”) wprowadza konotacje raczej negatywne. Ale inny wymiar słowa troska, związany z ideą uwagi poświęconej sobie i innym („uważać”), również zostaje uwzględniony. „Chodziło nam o to – wyjaśnia Daniel Tyradellis, filozof i komisarz wystawy – by tytuł wystawy miał również wymiar pozytywny. Pytanie brzmi, co ma być przedmiotem tej troski. Jaki wymiar ma mieć ten przedmiot, czysto indywidualny czy szerszy? W jakim stopniu można mówić o uczuciach w stosunku do czegoś, co wykracza poza wymiar indywidualny?”

Co stało się z pracą po upadku Muru? Statystycznie rzecz ujmując wskaźnik bezrobocia zaczął rosnąć i powoli rozwijają się różne formy niepełnego zatrudnienia. Równocześnie we wschodniej części z jednej strony wzrosła poczucie zadowolenia z pracy, ale z drugiej wzrosła częstotliwość problemów natury psychicznej [15]. Zdaniem socjologa Wolfganga Englera, rektora Wyższej Szkoły Teatralnej Ernsta Buscha w Berlinie, „mówienie, że na zachodzie najpierw była praca, a potem pensja, a na wschodzie odwrotnie, to tylko efektowny paradoks.” Uważa, że ludzie po prostu „odrzucili system, który ich



zdaniem, pod przykrywką pełnego zatrudnienia, lekceważył ich głęboką potrzebę realizowania się.”

Kilkaset metrów od muzeum stoi zupełnie nowy, całkiem przezroczysty budynek, nazwany w związku z tym „szklaną manufakturą”, a w nim – ostatni krzyk mody firmy Volkswagen. Katedra wzniesiona ku czci boga motoryzacji. Każdy klient kupujący Phaeton może asystować przy montażu i wykończeniu swojego własnego samochodu. W filmie prezentującym tę usługę Volkswagen wyznaje, że budynek ma dorównać barokowym budowlom dreźnieńskim, a słynny samochód ma być jak dzieło Ryszarda Wagnera! Miejsce zostało zaprezentowane jako rodzaj przestrzeni kulturalnej, jak wystawa malarstwa albo pokaz mody. Jako miejsce, gdzie wystawia się operę. A przecież pracują tam robotnicy. Nawet jeśli poruszają się przy zautomatyzowanej taśmie montażowej sprawiają wrażenie, jakby podawali herbatę, używanie słowa manufaktura jest tutaj nadużyciem.

Volkswagen, którego 17% udziałów wykupił emirat Kataru, należy tak jak Porsche, Opel i Mercedes, do tych zachodnich (a zwłaszcza niemieckich) „utopii”, które właśnie walą się w gruzy. „W dawnej RFN ściśle wiązano demokrację z postępową gospodarczymi wielkich przedsiębiorstw. Uważano, że są to rzeczy nierozdzielne. – mówi Engler. – Wyzwanie ekonomiczne, z jakim ewidentnie musimy się dzisiaj zmierzyć, to również trudna próba dla naszej demokracji.”

Czy demokracja to przetrwa? Taki niepokój dręczy wielu moich rozmówców. Dreźnieński pisarz Ingo Schulze, zapytany, czego najbardziej brakuje po zniknięciu NRD, odpowiedział: „Tego, jak oczywiście było kwestionowanie *status quo*. Nasze samookreślenie się kształtowało się na podstawie wyobrażenia, jakie mieliśmy o przyszłości (...). Dziś kiedy mówi się o przyszłości, ujawnia się raczej lęk przed utratą tego, co jest. Musimy na nowo się nauczyć, że jesteśmy w stanie coś zmieniać” [16].

tłum. Magdalena Kowalska

[1] Wyrażenie omawiane przez Jürgena Habermasa. O ile nie jest wskazane inaczej cytowane wypowiedzi pochodzą z rozmów przeprowadzonych przez autora.

[2] Régine Robin, autorka książki *Berlin Chantiers* (Stock, Paryż), jest również współkomisarzem wystawy „Berlin. L'effacement des traces” (Berlin. Zacieranie śladów), która jest otwarta w Musée d'histoire contemporaine w Paryżu, od 21 października do 31 grudnia 2009 r.

[3] *Damnatio memoriae*: wyrok wydawany pośmiertnie przez senat rzymski, by zatrzeć wszelkie ślady publiczne po jakimś polityku.

[4] Skazany na 20 lat więzienia przez Trybunał w Norymberdze.

[5] Wedle Renate Köcher, dyrektorki Institut Al-lensbach. Deutsche Presse-Agentur, 28 września 2009 r.

[6] Np. tygodnik *Die Zeit* z 30 kwietnia 2009 r. zatytułował tak: „Oto jak wygląda- ją zwycięzcy”.

[7] „Mafia jest tutaj”, *Die Zeit*, 13 sierpnia 2009 r.

[8] Film otrzymał Grand Prix na międzynarodowym festiwalu filmu dokumentalnego w Marsylii. Będzie można go zobaczyć w ramach *Berlin, Berlin(s)* – miesiąca filmu dokumentalnego 2009, 26 listopada 2009 r., o godz. 18 w paryskiej Bibliotece Narodowej (mała sala), 11, quai François Mauriac, 75013 Paryż.

[9] Członek Biura Politycznego wschodniemieckiej partii komunistycznej, odpowiedzialny za gospodarkę.

[10] W niektórych instytucjach – dodaje Christoph Hein – osoby z byłego NRD pozostały tylko w personelu sprzątającym czy na recepcji.

[11] Policja polityczna w NRD.

[12] Co zresztą wcale nie jest prawdą. Wydanie dzieł Marksa i Engelsa opublikowane zostało przez wydawnictwo wschodniemieckiej partii komunistycznej, Dietz Verlag.

[13] Jeśli szukalibyśmy porównania, to najpewniej trzeba by pomyśleć o Palais de la Découverte w Paryżu.

[14] Tekst katalogu wystawy został przedrukowany w ostatnim eseju Bernarda Stieglera, *Pour une nouvelle critique de l'Économie politique*, Galilée, Paryż 2009.

[15] Zapal do pracy Niemców ze wschodu zaczyna jednak nieco słabnąć.

[16] Ingo Schulze, wywiad „Politiker sind nur noch Manager”, *Cicero*, Berlin, maj 2009.

Wchłonięty kraj

Niemiecka Republika Demokratyczna (NRD) powstała w październiku 1949 r. w radzieckiej strefie okupacyjnej na zgliszczach pokonanych Niemiec, niedługo po utworzeniu Republiki Federalnej Niemiec przez połączenie trzech zachodnich stref okupacyjnych. Francja oficjalnie uznała NRD jako państwo 9 lutego 1973 r., czyli wtedy, gdy oba kraje niemieckie zostały członkami ONZ. Po 41 latach istnienia pod przywództwem Zjednoczonej Niemieckiej Partii Socjalistycznej (SED), NRD została wchłonięta przez Niemcy zachodnie w 1990 r. Liczyła wówczas trochę ponad 16 milionów mieszkańców.

Obywatele NRD przez te 41 lat żyli w ustroju autorytarnym i policyjnym (17 czerwca 1953 r. zamieszki przeciwko podniesieniu norm produkcji zostały rozpędzone przez radzieckie czołgi), a zarazem korzystali z dobrodziejstw polityki społecznej, zwłaszcza w kwestii mieszkaniowej, opieki nad małymi dziećmi i służby zdrowia. Poziom życia w NRD był najwyższy ze wszystkich krajów Europy wschodniej. W 1976 r. poeta Wolf Biermann, który swego czasu przyznał się z zachodnim Niemiec do wschodnich, został pozbawiony obywatelstwa wschodniemieckiego. Był to kryzys, po którym pozostała głęboka przepaść dzieląca środowiska intelektualne i władze.

Mur, którego zburzenie fetowano w 1989 r., został zbudowany w 1961 r., by uniemożliwić ucieczki ludności na Zachód. W sensie dosłownym był murem tylko w Berlinie, zaś druty kolczaste i pola minowe oddzielające dwa państwa niemieckie ciągnęły się na długości 1,4 tys. kilometrów. Niezależnie od tego, co się teraz mówi na ten temat i co możemy sobie wyobrazić, prawda jest taka, że postawienie muru nie wywołało wówczas wielkiego oburzenia. Został raczej uznany za przejaw stabilizowania się sytuacji politycznej w Europie.

B.U.

W meksykańskich montowniach skończyło się pełne zatrudnienie

„Kryzys? Jaki kryzys? Ach, doprawdy, jest nowy kryzys? Wypada powiedzieć, że w Tijuanie nigdy nie wyszliśmy z kryzysu!”, mówi uśmiechając się ironicznie Jaime Cotta. Mimo wszystkich nieszczęść, które przevalają się przez jego biuro, stara się zachować poczucie humoru. Jest rzeczą bezsporną, że w Tijuanie to on najlepiej zna warunki życia w maquiladoras – montowniach zainstalowanych w Meksyku od lat 60.

wzdłuż liczącej 3 tys. kilometrów granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Co sprowadziło je do Meksyku? Tania siła robocza, niemal nieistniejące podatki, władze, które przykrywają oczy – to wszystko tuż obok najpotężniejszej na świecie gospodarki [1]. Dzięki maquiladoras mamy pełne zatrudnienie, powtarzali przez długie lata kolejni gubernatorzy meksykańskiego stanu Kalifornia Dolna.

ANNE VIGNA*

Cotta najpierw był robotnikiem, a następnie badaczem. Obecnie jest adwokatem. Jego Ośrodek Informacyjny dla Pracowników i Pracownic (CITTAC) jako jedyny pomaga pracownikom, których fabryki te od 20 lat wyrzucają na bruk – zwolnionym robotnikom, ofiarom wypadków przy pracy, pracownikom tymczasowym, z którymi nie zawiera się umów i którym nie przysługują żadne prawa... Przychodzą tu, gdy nadużycia są zbyt jaskrawe. Doradza im i czasami proponuje procedurę sądową. Aby więc zmierzyć temperaturę socjalną w tym przygranicznym mieście liczącym 1,4 mln mieszkańców, trzeba przyjść do siedziby CITTAC.

Przeście techniczne uderzają w pracowników

Dziś zgłosiły się trzy robotnice. Jedną zawieszono w pracy na dwa dni, ponieważ źle wykonała jedną sztukę towaru na 700, które wytwarza w ciągu 10-godzinnego dnia roboczego. „Chcę mnie zwolnić, nieustannie stoją mi nad głową i coś wynajdują”, mówi ze spuszczonym wzrokiem. Na papierze, który podaje Coticie, napisano już, że „rozmyślnie wyrządziła firmie szkodę”. Dodaje, że w tej maquiladora „przeście techniczne” są co tydzień. Dzień bez zarobków jeszcze bardziej obniża już i tak śmieszny płacę (755 pesos tygodniowo – zaledwie 40 euro).

„Przeście techniczne” to jeden z ostatnich wynalazków właścicieli tych fabryk. Prezydent Meksyku Felipe Calderón promuje je w imię walki z masowymi zwolnieniami. Rząd federalny płaci jedną trzecią zarobków, maquiladora też jedną trzecią, a pracownik... traci resztę z powodu nieprzepracowanych dni. W zamian fabryki zobowiązują się, że będą zwalniać pracowników tylko proporcjonalnie do spadku produkcji (lub obrotów). Jak jednak wyjaśnia przewodnicząca Stowarzyszenia Przemysłu Montażowego i Eksportowego (AIM) w Tijuanie, Magnolia Pineda, „niewiele przedsiębiorstw zgodziło się przystąpić do tego programu, gdyż nie mogą zgodzić się na rezygnację z pełnej swobody zwalniania z pracy. Taka restrykcja jest nie do przyjęcia.” Ogłaszają więc „przeście techniczne”, za które nie płacą, choć jest to zupełnie nielegalne. Zresztą, dodaje przewodnicząca organizacji pracodawców, „pracownicy bardzo dobrze zrozumieli sytuację; nie było ani jednego strajku.”

Rzeczywiście, niepokoję społeczne nie ograniczyły tych firm podwykonawczych, które zaraz po zmontowaniu reeksportują swoje wyroby do Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z najbardziej wyczerpującym studium, jakie istnieje, w Tijuanie w 82% spośród nich nie działa żaden związek zawodowy [2]. W pozostałych istnieją organizacje nazywane przez robotników „związkami widmowymi”. Pineda tak by ich nie określiła, ale – choć „pogrzebała w pamięci” – nie przypomina sobie, aby w ciągu 50 lat doszło tu do konfliktu społecznego. Drobniacz – to nie „wyrozumiałość” pracowników, lecz strach przed represjami sprawia, że w tym mieście przygranicznym zawsze panował spokój. Aby to sobie uświadomić, wystarczy udać się wczesnym rankiem do parków przemysłowych.

Desperackie poszukiwania pracy pod czujnym okiem kapitału

Od kilku miesięcy tworzą się tam kolejki bezrobotnych, którzy mają nadzieję, że trafi im się praca za dniówkę. Niektórzy, pragnąc zwiększyć swoje szanse, śpią na miejscu.

Choć o 5 rano nie ma tam jeszcze żadnego werbownika, wszyscy są zastraszeni. „Proszę nie zwracać się do mnie, nie podchodzić”, szepce jeden z nich. „Nic nie mogę powiedzieć, nie mam prawa.” Inny: „Pani nie może tu przebywać, to zabronione. Tak, to prawda, to jest ulica, ale znajdujemy się przed fabryką i ulica też do nich należy.” O 7 nikogo nadal nie zatrudniono i rozgrzewają się pijąc kawę, a raczej lurę, w odległości pół kilometra od fabryki, ale nadal są zastraszeni. „Oni mają kamery, a pani ma w ręku długopis, to zbyt niebezpieczne.” Tylko pewna kobieta zgadza się powiedzieć, jak od dwóch miesięcy szuka pracy i jak „nic z tego nie wychodzi”. Nie chce jednak podać, jak się nazywa, ile ma lat ani skąd pochodzi.

Maquiladoras zawsze rygowały się tak, aby informacje o nich nie wychodziły na zewnątrz. „Od lat próbuję na wszelkie możliwe sposoby, ale nigdy nie pozwolili mi wejść, choć zapraszają mnie na wszystkie swoje konferencje prasowe w grandhotelach w mieście”, wyjaśnia miejscowy dziennikarz gospodarczy [3]. Aby więc dowiedzieć się czegoś więcej o tym tak tajemniczym świecie, należy powrócić do biur CITTAC. Ci, którzy pewnego dnia odważyli się tu przyjść i dowiedzieli się o swoich prawach, już nie boją się mówić.

Od lat słycać ten sam dyskurs: praca w maquiladoras to piekło; wraz z kryzysem przekracza się kolejny próg: warunki życia ulegają jeszcze większemu pogorszeniu. Czterdziestoletni Rogelio, który od 21 roku życia pracował w kilku montowniach, mówi bez ogródek: „Pochodzę z Michoacán i gdy tylko tu przyjechałem, zacząłem pracować w japońskiej Takubi, gdzie montowało się ramki ogrodowe, następnie w Tabushi, też japońskiej, gdzie robiło się kable do Canona, a wreszcie w amerykańskiej Sohnen, najgorszej ze wszystkich, gdzie naprawiało się sprzęty elektryczne.”

W Sohnen Rogelio uczęszczał na kursy, aby zostać technikiem – dwie godziny wieczorem po 10 godzinach pracy. Awansował, jego zarobki były niemal godziwe (1700 pesos – 90 euro tygodniowo), ale tempo pracy było wyczerpujące. „Mielismy 20 minut na naprawę sprzętu; gdy nie dawało się rady, trzeba było skończyć naprawę wieczorem, oczywiście bez żadnego wynagrodzenia za godziny nadliczbowe.”

Wilcze bilety dla „związkowych wicherzycieli”

Zdaniem majstra, Rogelio nie był dość szybki. W rzeczywistości chodziło o to, że wraz z innymi robotnikami zaczął organizować związek zawodowy. Kilkakrotnie zebrawali się w parku i przed bramą fabryki rozdawali ulotki. Nadzór wypytywał innych robotników, czy to Rogelio wicherzy. Dyrekcja uznała go za „szefa” i pewnego ranka zwolniła z pracy. Odmówił przyjęcia czeiku opiekującego na śmiesznie niską sumę, która miała stanowić odprawę po latach pracy w przedsiębiorstwie. Dzięki batalii stoczony w sądzie przez CITTAC uzyskał bardziej godziwą odprawę. Figurował już jednak na „czarnej liście” [4].

Zatrudniła go montownia Sharp, ale po paru tygodniach zdała sobie sprawę, kto zacz, i czym prędzej go zwolniła. Odtąd na całym Półwyspie Kalifornijskim elektronika była dla niego zamknięta. Musiał więc w 2007 r. szukać pracy w Unisolar Ovonic, amerykańskiej maquiladora, która montuje baterie słoneczne. „Praca nie jest łatwa. Jest 16 palenisk, ale nie ma ani jednego wentylatora wyciągowego – panuje straszny ukrop. Następnie, najbardziej niebezpieczna jest strefa

ciącia: cały dzień wdycha się pył z włókna szklanego, który przylepia się również do skóry. Pod koniec dnia masz go na całym ciele. Skargi nic nie dają. „Za każdym razem mówią nam, że powinniśmy się cieszyć, bo jest kryzys, a my mamy pracę.”

Przez cały rok groźby zwolnień są coraz poważniejsze. Wraz z Manuelem, migrantem honduraskim, Rogelio badał sytuację w przedsiębiorstwie, aby zrehabilitować ulotkę, którą obaj dyskretnie rozdają robotnikom. Odkryli, że niedawno nowy prezes Unisolar Ovonic, Mark Morelli, chwalił się dobrymi wynikami ekonomicznymi grupy w 2008 r. („wzrost zysków o 16%”, precyzuje Manuel), a następnie zapowiedział światłem perspektywy dla baterii słonecznych – „świadomość ekologiczna” rośnie! „Jeśli wierzyć przesowi, książkę zamówień mają pełną aż do 2012 r., więc dlaczego grozić nam niestannie zwolnieniami?”, oburza się Rogelio. „Kryzys jest faktem”, dodaje Cotta, „ale to również pretekst, aby płace trzymać w ryżach i abyśmy wybili sobie z głowy jakiegolwiek podwyżki.”

W oczach organizacji pracodawców taki postulat byłby, doprawdy, „nie na miejscu w tych trudnych dla wszystkich czasach”. Nie to jest jednak najważniejsze. Zdaniem Claudio Arrioli, który w Tijuanie przewodniczy regionalnemu oddziałowi Izby Przemysłu Elektronicznego, Telekomunikacji i Technologii Informacji (CANIETI), należy spodziewać się jeszcze kilku trudnych miesięcy, ale nadciąga ożywienie gospodarcze. W przeddzień dokładnie to samo powiedział prezydent Calderón: „Mnożą się oznaki ożywienia.” W chwili obecnej, wto-

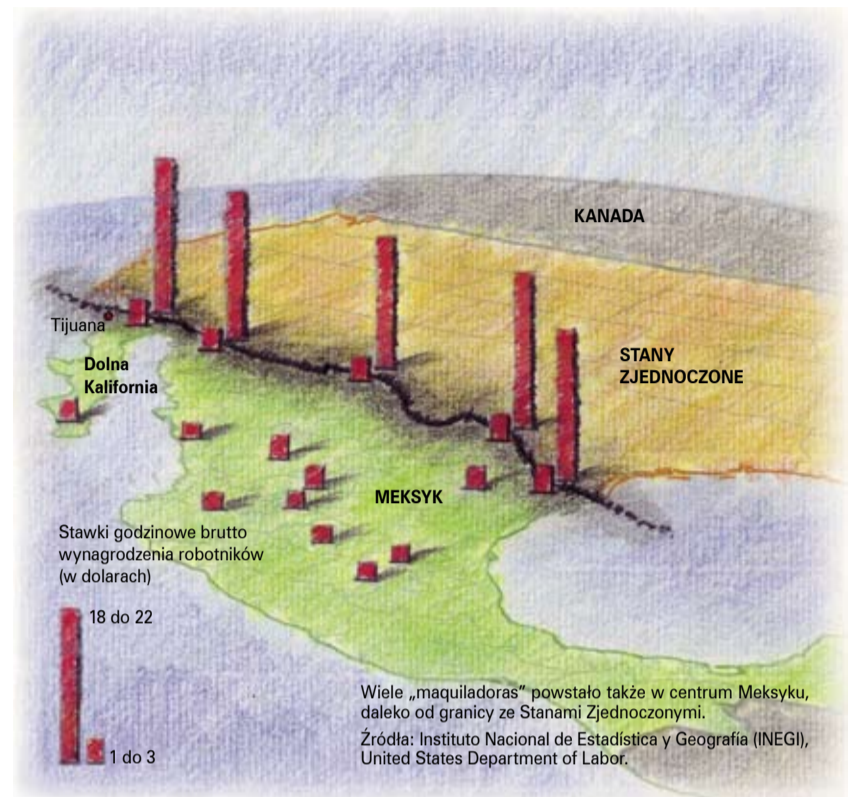
Układ do renegotjacji

W 15 rocznicę podpisania, Północnoamerykański Układ o Wolnym Handlu (NAFTA/ALENA) ma być renegotjowany. Pierwszy wspominał o tym – podczas kampanii wyborczej – Barack Obama. Prezydent Stanów Zjednoczonych życzy sobie renegotjacji układu, ponieważ uważa, że doprowadził on kraj do utraty wielu miejsc pracy.

Również w Meksyku, i to od lat, wiele osób domaga się tego samego, gdyż uważają one, że dla tego kraju jego skutki są katastrofalne. Powodów jest wiele. „Przed wszystkim Stany Zjednoczone nigdy nie respektowały klauzul tego układu”, np. nadal dotując swoich rolników lub wprowadzając embargo na różne produkty meksykańskie, twierdzi badaczka Leticia Hernández. „Następnie, inwestycje zagraniczne skupiły się na maquiladoras, które nie odegrały żadnej roli lokomotywy w stosunku do reszty gospodarki, a dziś przenoszą się do Chin.”

Wielu ekspertów porównuje wyniki gospodarcze Meksyku i innych krajów Ameryki Łacińskiej. Średnio Meksyk ma najniższy wzrost na kontynencie [1], „choć jest najlepszym uczniem polityki Konsensu Waszyngtońskiego” [2], wskazuje ekonomista Cuauhtémoc Calderón. Od 2000 r. tempo wzrostu maleje. Pieniądże wysyłane rodzinom przez migrantów i wzrost cen ropy naftowej zapobiegły silnemu spadkowi Produktu Krajowego Brutto za rządów prezydenta Vicente Foxa (2000-2006). W tym okresie bardzo jednak wzrosło bezrobocie.

W 2006 r. Felipe Calderón skupił swoją kampanię wyborczą na sprawach gospodarczych obiecując, że będzie „prezydentem zatrudnienia”. Odkąd rządzi, zajmując się jednak wojną z narkoprzyemem, a nie gospodarką. Jak przed wyborami parlamentarnymi, które odbyły się w czerwcu 2009 r., pisała sławna dziennikarka Denise Maerker, „prezydent-generał tylko wtedy dobrze się czuje, gdy otacza się żołnierzami i policjantami, i planuje wraz z nimi operacje, a wszelkie inne aspek-



ruje mu Arriola, „trzeba iść naprzód. Taka elektronika, jaką znaleźliśmy, niewątpliwie tu się skończyła, ale ciągle mamy poważne atuty, zwłaszcza bliskie sąsiedztwo ze Stanami Zjednoczonymi.”

Kryzys to świetna wymówka

Co prawda wobec prasy międzynarodowej należy okazywać optymizm, ale to znamienne wyznaczenie. Elektronika, branża zatrudniająca w tym mieście najwięcej osób, nie jest już w modzie. Dziesięć lat temu ci sami pracodawcy mówili o Tijuanie jako o „południu kalifornijskiej Doliny Krzemowej”; była „światową stolicą przemysłu telewizyjnego” i miastem „pełnego zatrudnienia”. Promotorzy montowni nie kryją swojego zachwyty dla modelu gospodarczego, który przyciągnął takie inwestycje zagraniczne, że 7 telewizorów na 10 sprzedanych w Stanach Zjednoczonych produkuje się w Tijuanie.

Od podpisania w 1994 r. Północnoamerykańskiego Układu o Wolnym Handlu do 2001 r. to była prawdziwa eksplozja. Branża ceniła sobie zwłaszcza zwinne ręce robotnic, a władze ignorowały wykorzystanie produktów zanieczyszczających – szczególnie ołowiu.

U bram Kalifornii maquiladoras zatrudniały migrantów, aby zaspokoić popyt na gadzety elektroniczne, który miał wiecznie rosnąć. „W latach 1994-2000 mieliśmy w Tijuanie gospodarke, która osiągnęła stan pełnego zatrudnienia, z zaledwie 1% bezrobocia”, wyjaśnia Cuauhtémoc Calderón, ekonomista w Colegio de la Frontera Norte w Tijuanie. „W całej strefie przygranicznej maquiladora stała się zaporą dla emigracji. Ten model przedsiębiorstwa jest jednak zupełnie odizolowany od reszty gospodarki i nie stanowi lokomotywy dla innych sektorów: produkty się importuje, montuje i eksportuje. Tymczasem maquiladora nie może wchłonąć masowej migracji, którą przeżywamy. Brutalna

ty życia narodowego odkłada na bok. Gabinet bezpieczeństwa zbiera się co tydzień, natomiast gabinety gospodarki, polityki społecznej i infrastruktury zbierają się raz w miesiącu!” [3]

Kraj ponosi również inne porażki. Cena ropy naftowej – pierwszego źródła dewiz – bardzo spadła w porównaniu z 2008 r., co przyczyniło się do wzrostu deficytu publicznego; mówi się już o wprowadzeniu podatku od żywności i leków, aby zaopatrzyć puste kasy państwowe. Wpływy pochodzące od emigrantów, które stanowią drugie źródło dewiz, spadły średnio o 20% w porównaniu z poziomem sprzed kryzysu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych [4]. Bardziej obecnie restrykcyjna polityka imigracyjna strasznie komplikuje życie migrantów meksykańskich, którzy pozwalają przetrwać 17 milionom dorosłych mieszkańców kraju.

Wreszcie turystyka – trzecie źródło dewiz: dużo czasu minie, zanim Meksyk zdoła zatrzeć skutki świątecznej grypy. W bieżącym roku PKB powinien spaść o ponad 6% Od października 2008 r. zamknięto 12 tys. przedsiębiorstw. W tych warunkach zwolennicy renegotjacji ALENA postulują również nową politykę przemysłową, „na wzór polityki prowadzonej przez Chile czy Indie”, stwierdza Calderón.

A.V.

[1] W 2007 r. wzrost PKB wyniósł w Meksyku 3,2% a w Ameryce Łacińskiej 5,6%. W 2008 r. (dane za październik) w Meksyku wyniósł 2,1%, a w Ameryce Łacińskiej 4,6%. Źródło: MFW, październik 2008 r.

[2] Zasady neoliberalne narzucone przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy.

[3] D. Maerker, „Tengo miedo”, *El Universal*, 29 czerwca 2009 r.

[4] *Las remesas familiares en México*, doroczny raport Banco de México za 2008 r.

* Dziennikarka, specjalna wysłanniczka *Le Monde diplomatique* w Meksyku.

degradacja naszej gospodarki spowodowała, że corocznie przesiedla się pół miliona Meksykanów – a takie zjawisko normalnie występuje tylko w czasie wojny.”

Pierwsze luki w modelu pojawiły się na przełomie stuleci: recesja 2001 r. w Stanach Zjednoczonych spowodowała likwidację 200 tys. miejsc pracy w przygranicznych *maquiladoras*. W 2002 r. branża elektroniczna straciła 31% swojej siły roboczej – 27% w samej Tijuanie – ponieważ, jak wyjaśnia Leticia Hernández, specjalistka w zakresie inwestycji, „my tu totalnie zależyśmy od Stanów Zjednoczonych. Jeszcze w 2008 r. 78% bezpośrednich inwestycji zagranicznych to były inwestycje amerykańskie, toteż, rzecz jasna, kryzys po tamtej stronie granicy spowodował u nas bezprecedensowe bezrobocie.”

Meksyk budzi się rozgorzcony

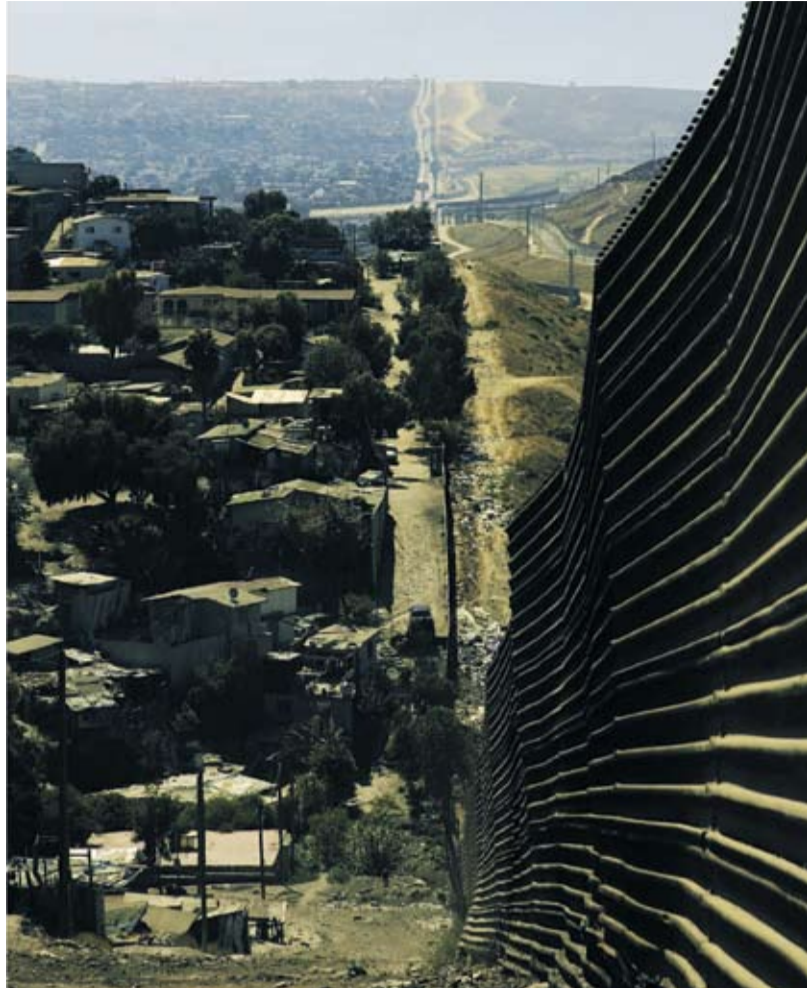
Jesienią 2009 r. urzędowa stopa bezrobocia w Tijuanie (7%) jest wyższa niż średnia krajowa (5%). Podobnie jak w pozostałych częściach kraju, w gospodarce nieformalnej zatrudniona jest ciągle połowa ludności czynnej zawodowo. Meksyk budzi się rozgorzcony: „Nie było transferu technologii i w ciągu czterech dziesięcioleci powstało niewiele miejsc pracy dla inżynierów i techników”, ocenia sytuację socjolożka Cirila Quintero, specjalizująca się w Colegio de la Frontera Norte w Matamoros w badaniach nad *maquiladoras*. W Tijuanie 13% montowni nie zatrudnia ani jednego inżyniera, a 65% zatrudnia zaledwie od 1 do 10. Podobnie, 73% montowni urządzeń elektronicznych nie posiada ośrodka badań rozwojowych. W połowie tych zakładów montuje się tylko jeden produkt; trzy montuje się tylko w 13%. „Sama *maquiladora* nie kreuje rozwoju, a jedynie niezrównoważony wzrost, czego głównym skutkiem jest nisko wynagradzane zatrudnienie na niepewnych warunkach”, stwierdza wspomniana socjolożka.

Ta gospodarka eksportowa, tak całkowicie uzależniona od wielkiego sąsiada z północy, wytracała prędkość już zanim wybuchł kryzys. Przystąpienie Chin do Światowej Organizacji Handlu w 2001 r. zmieniło bowiem sytuację. „Od dobrych 10 lat, obok zwolnień bez odpraw, obserwujemy coraz bardziej rażące nadużycia”, konstatuje Cotta. „Fabryki unikają wszelkich wydatków, łącznie z wydatkami na ochronę przed niebezpiecznymi produktami. Ponieważ jednak nie ma już pracy, ludzie na to nie reagują.”

W tej chwili wiele mówi się o *maquiladora* Power Sonic, która produkuje baterie do sprzętów elektronicznych. „Przedtem nikt nie chciał tam pracować, bo przez cały dzień trzeba posługiwać się ołowiem”, wyjaśnia Rogelio. „Obecnie każdego ranka przed fabryką stoi kolejka.” 36-letni Netzahualcóyotl, ojciec dwójki dzieci, który ma do spłacenia kredyt hipoteczny, mówi, że „nie miał wyboru”, gdy stracił pracę w Sohnen. Chce wierzyć w jakość swojego wyposażenia ochronnego. „Kierownicy mówią, że chorują tylko ci, którzy nie używają go prawidłowo.” On jeszcze nie zachorował – przynajmniej tak twierdzi firma, która co miesiąc bada pracownikom krew. „Nie dają nam wyników, ale gdy poziom ołowiu we krwi jest za wysoki, zmieniają nam stanowiska pracy. W ten sposób dowiadujemy się, że zachorowaliśmy.”

Cena ołowianych inwestycji

Ołów, podstawowy składnik wszelkiego materiału elektronicznego, jest wszechobecny: pełno go w lękach, dyskusjach, rzekach. Przez 10 lat mieszkańcy dzielnicy Chilpancingo, która leży poniżej parków przemysłowych, walczyli z wyrzucanymi w okolicy odpadami ołowia-



nymi. Dzięki pomocy amerykańskiej pozarządowej organizacji ekologicznej Environmental Health Coalition 3 tys. ton skażonej ziemi wysłano w 2008 r. do Stanów Zjednoczonych w celu usunięcia zanieczyszczeń, a 8 tys. ton zapieczone pod warstwą betonu.

Nie zapłaciły za to przedsiębiorstwa, lecz rządy obu krajów. „Oni wszyscy chwalili się tym w prasie. My natomiast przez długie lata wolałiśmy na puszczy, gdy dzieci rodziły się bez mózgow i zaraz umierały. Co gorsza, to nic nie zmieniło – ciągle nie ma poważnej kontroli nad porzucanymi przez przedsiębiorstwa odpadami ani nad stanem zdrowia pracowników”, przypomina Yesina Palomares, która kieruje wspomnianą organizacją w Chilpancingo. Potwierdza to Carmen pracująca w montowni Panasonic. „Lutowałam płytki elektroniczne i przy każdej takiej operacji czułam wyraźnie, że wdycham dym.” Po sześciu miesiącach na jej twarzy pojawiły się plamy, ogarnęło ją ogólne zmęczenie i bóle nerki. „Lekarz w Panasonice zapewniał, że to nic groźnego, ale następnie lekarz rodzinny zrobił mi badania i powiedział: albo przestaniesz pracować, albo wkrótce zachorujesz na białaczkę.”

Carmen posłuchała go, ponieważ w tym czasie łatwo było zmienić montownię. Dziś, stwierdza, jest inaczej. „Człowiek mniej uważa.” Po zamknięciu montowni Sony w jej osiedlu rośnie liczba bezrobotnych. Niektórzy sąsiedzi wrócili nawet do swojego stanu. „Ja przyjechałam z Chiapas, gdy miałam 13 lat. Przez 30 lat nie spotkałam się z przyjazdkiem czyjegoś powrotu na południe.” W zasadzie, po przepracowaniu kilku lat w miastach przygranicznych po to, aby zebrać pieniądze na opłacenie przemytnika nielegalnych emigrantów, migrant próbował swojej szansy na północy. Teraz to zbyt niebezpieczne. „W Stanach Zjednoczonych migranci meksykańscy na ogół pracują w budownictwie. Obecnie jednak to, doprawdy, nieodpowiednia chwila”, słyszę w karczmie uczęszczanej przez mi-

grantów, a prowadzonej przez zakonników katolickich. Po raz pierwszy od lat świeci ona pustkami.

Ciężkie czasy dla imigrantów

Kandydaci na nielegalnych emigrantów zdają sobie sprawę z sytuacji. O kilka metrów od granicy! Czekając na lepsze dni, dzwonią do domów i proponują swoje usługi. Uzbrojeni w parę narzędzi, stają się hydraulikami, ogrodnikami, elektrykami, „bo *maquiladoras* nie zatrudniają, wbrew temu, co nam powiedziano”, mówi jeden z nich. Jedni rezygnują, inni są wytrwali, ale wszyscy przeżywają na własnej skórze kryzys zanim jeszcze znajdą się na ziemi amerykańskiej. Zaciągają pasa, aby nie wydać tu pieniędzy, które trzeba będzie dać przemytnikowi, gdy przyjdzie na to czas.

W Tijuanie kryzys odczuwa się najbardziej wśród osób w wieku powyżej 50 roku życia. Jak zwykle, *maquiladora* potrzebuje młodego personelu. „Poniżej 35 roku życia” – tego wymaga się w większości ofert pracy. Po osiągnięciu złowróżbnej 50. zaczyna się codzienna walka o utrzymanie się w pracy. „Osoby w tym wieku naprawdę wypruwają sobie żyły”, wyjaśnia Netzahualcóyotl. „Pracują jak szalone, aby nie usłyszeć: *nie wytrzymujesz tempa*. Osiągają najwyższą wydajność w firmie, ale za dużo kosztują, więc i tak wylecą.”

Tak stało się z Delfiną, akurat gdy skończyła 55 lat. „Pamiętam, że w końcu pracowałam za trzy osoby, bolała mnie głowa, krew leciała mi z nosa, a majster bez przerwy stał nade mną i popędział. W końcu postanowiłam, że mamy pracować na stojąco, bo na siedząco jesteśmy za mało wydajne. Nie wolno było rozmawiać, chodzić do toalety, a nawet żuć gumy.”

Delfinę zwolniono bez uzasadnienia w listopadzie 2008 r. Nie zapłacono nawet za ostatni tydzień pracy ani nie wypłacono odprawy. Złożyła skargę i czeka na orze-

TIJUANA

Ludność: 1.449.476 w 2009 r.; stolica stanu Kalifornia Dolna, Mexicali, ma 855 tys. mieszkańców.

Ludność czynna zawodowo: 561 tys. w 2005 r.

Stopa bezrobocia: 7,42% w drugim kwartale 2009 r., 3,9% w drugim kwartale 2008 r.

Pracownicy maquiladoras: 170.535 w listopadzie 2006 r.

MEKSYK

Powierzchnia: 1.964.375 km².

Stolica: Meksyk.

Ludność: 107.443.499 mieszkańców

Ludność czynna zawodowo: 45.709.355; 58,1% ogółu ludności (drugie kwartał 2009 r.). Gospodarka nieformalna zatrudnia 20 mln osób, tj. 45% ludności czynnej zawodowo.

Stopa bezrobocia: 3,5% w drugim kwartale 2008 r., 5,2% w drugim kwartale 2009 r., 6,2% w sierpniu 2009 r.

Ludność żyjąca poniżej progu ubóstwa: 18,23%. Według Krajowej Rady ds. Oceny Polityki Rozwoju Społecznego (CONEVAL), 47,5% ludności nie może zaspokoić swoich potrzeb w dziedzinie wyżywienia, ochrony zdrowia, edukacji...

Stopa wzrostu: +3,3% w 2007 r.; +1,3% w 2008 r.; -7,3% w 2009 r. (przewidywana).

Udział głównych działów gospodarki w PKB: rolnictwo 3,8%, przemysł 35,2%, usługi 61%.

Import: 124,77 mln dolarów od stycznia do lipca 2009 r.

Eksport: 122,26 mln dolarów od stycznia do lipca 2009 r.

Główni odbiorcy: Stany Zjednoczone 73,1%, Kanada 6,2%, Niemcy 1,9% (w 2008 r.).

Główni dostawcy: Stany Zjednoczone 55%, Chiny 7,1%, Japonia 5,2% (w 2008 r.).

Wpływ od Meksykanów zatrudnionych za granicą: 26,3 mld dolarów (17,8 mld euro) w 2008 r. Od stycznia do czerwca 2009 r. 11,07 mld dolarów.

(Źródła: Secretaría del Trabajo y Previsión Social de México (STPS), Consejo Nacional de Evaluación de la Política de Desarrollo (CONEVAL), Secretaría de Desarrollo Económico de Tijuana, Banco de México, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy.)

czenie rady koncyliacyjnej – czegoś w rodzaju sądu pracy o ograniczonych kompetencjach. Na utrzymanie ma obecnie 200 pesos (10,5 euro) tygodniowo – pieniądze wysłała jej córka, która ma sklep spożywczy. Za tę sumę żyją jednak trzy osoby. „Jemy tylko dwa razy dziennie”, odpowiada, zażenowana, gdy pytam, jak sobie radzi. Po 25 latach pracy w *maquiladora* nie ma emerytury ani oszczędności, bo sama wychowała swoje siedmioro dzieci.

Nadzieja w solidarności

W fabryce zabawek Mattel trzeba było walczyć o swoje prawa. „Gdy Mattel wykupił przedsiębiorstwo [w którym pracowałam], chcieli wyrzucić mnie z pracy bez odprawy, ale ponieważ odmawiałam, porwali mnie.” Spędziła całą noc zamknięta w biurze, pod strażą. Rankiem, aby wyjść, musiała przyjąć czek na sumę 2 tysięcy pesos (106 euro). „Rozumie pani, dzieci czekały.” Z pomocą CITTAC ujawniła te fakty w telewizji i radiu. Mattel nie chciał o niczym słyszeć. Zresztą wymiar sprawiedliwości uznał, że to nie było porwanie, bo przecież nikt nie żądał okupu...

Dziś Delfina wie, że już nigdy nie znajdzie pracy w żadnej *maquiladora*. „To niemożliwe, bo oni nie biorą już nawet młodych ludzi”, mówi wskazując na 20-letniego bezrobotnego zięcia. „Są tacy, którzy usiłują sprzedać jakiś drobiazg, ale tu wszyscy są biedni – nikogo na nic nie stać.” Osiedle, w którym mieszka, jest podobne do innych osiedli w Tijuanie: najpierw było nielegalne, ale następnie uregulowano jego status. Władze nigdy jednak nie zbudowały tu dróg. Mieszkańcy sami musieli się zorga-

nizować, aby zapewnić sobie wodę i prąd. Gdy w domu jej syna wybuchł pożar, straż nie przyjechała. „To nienormalne”, oburza się, „ale komu tu można się poskarżyć?” Rodzina jej syna wszystko straciła. „*Maquiladora*, w której pracuje, nie udzieliła mi żadnej pomocy, tylko koleddy z pracy się złożyli. Solidarność to jedyna rzecz, która tu jeszcze funkcjonuje.”

tłum. Zbigniew M. Kowalewski

[1] Patrz J. Habel, „Entre le Mexique et les Etats-Unis, plus qu'une frontière”, *Le Monde diplomatique*, grudzień 1999 oraz A. Vigna, „Rewolta meksykańskich chłopów przeciwko wolnemu handlowi”, *Le Monde diplomatique – edycja polska*, marzec 2008 r.

[2] J. Carrillo, R. Gomis, *La maquiladora en datos: Resultados de una encuesta*, Tijuana, El Colegio de la Frontera Norte 2004.

[3] Jedyne dostępne w Internecie zdjęcia tych fabryk w Tijuanie nakręciły robotnice dla filmu dokumentalnego *Maquilapolis* (2006, w reżyserii V. Funari i S. de la Torre). Wiele ryzykując, przy użyciu małych ukrytych kamer zdołały sfilmować kilka sekwencji. Film ten (68 minut, w językach angielskim i hiszpańskim) można nabyć na www.newsreel.org.

[4] Wielu robotników i CITTAC zapewniają, że takie listy zawsze istniały (czemu zaprzeczają organizacje pracodawców) i podejrzewają Zakład Bezpieczeństwa Społecznego, że informuje pracodawców o tych pracownikach, którzy wstępują przeciwko nim na drogę sądową.



Przeгляд Anarchistyczny prezentuje debaty toczone przez radykalne ruchy społeczne w Polsce i za granicą. Poprzez poznanie i równoczesną krytykę wszelkich nurtów myśli wolnościowej, rozwijamy kolektywną wiedzę dotyczącą samoorganizacji społecznej. Nasza praca teoretyczna występuje równolegle z działalnością praktyczną. Codzienne doświadczenie pomocy wzajemnej w momencie kwestionowania nierówności społecznych, posiada dla nas wymiar globalny.

W tym numerze m.in.: Faszizm i antyfaszizm | Faszizm i wielki biznes | Mit „ludowego” kapitalizmu | Kryzys w Chinach: powód do paniki? | Globalny kryzys w Indiach | Od kryzysu do wspólnych dóbr | Globalna proletaryzacja | Kryzys i walki społeczne w Polsce | Strajk generalny mało realny? | Partyzantka komunikacyjna | Gramatyka kulturowa i subwersja | Inżynieria wizerunku – opór w czasach kapitalizmu kognitywnego. **Do pisma dodatkowo płyta z filmami: Antifa – tówcy (nazi)skinów, Zygmunt Bauman – O nowoczesności i zagładzie.**

www.przeгляд-anarchistyczny.org

„Model skandynawski” w Danii się sypie

Szczodrość duńskiego państwa opiekuńczego wprawia resztę Europy w rozmarzenie: każdy noworodek ma zapewnione miejsce w żłobku, gdy tylko skończy 6 miesięcy; darmowa opieka zdrowotna; powszechna opieka nad osobami starszymi w ich miejscu zamieszkania; młodzi mają zapewnione przez 5 kolejnych lat studiów świadczenia, bez względu na kondycję społeczną ich rodziców, specjalny rok na odkrywanie świata czy powtórki przed ponownym egzaminem wstępnym na uniwersytet... A jednak, odkąd wybuchł kryzys, duńscy pracownicy nie mogą wyzbyć się wątpliwości. Czy tzw. flexicurity, cudowny lek na bezrobocie chwalony i w kraju, i w całej Europie, uchroni ich przed najgorszą recesją od wielkiego kryzysu z lat 30., z jaką królestwo musi się zmierzyć?

JEAN-PIERRE SÉRÉNI*

Ten niezgrabny neologizm na papierze ma krótko i szokująco podsumować wszystko, co cenią wyżej dwa światy: elastyczność w przypadku pracodawcy, bezpieczeństwo dla pracownika. Duński szef może, tak samo jak jego kolega z Ameryki czy Wielkiej Brytanii, zwolnić pracownika natychmiast, bez odpawy czy planu socjalnego. Jednocześnie ten ostatni ma prawo do godziwego zasiłku dla bezrobotnych przez okres co najmniej 4 miesięcy. Jeśli to potrzebne, otrzymuje dostęp do indywidualnie dobranego szkolenia zawodowego lub nawet, jak to się dzieje w biurze pracy w Sydhaven w Kopenhadze, odzyskać formę fizyczną w specjalnym klubie fitness.

Aż do zeszłego roku system ten funkcjonował przy niemal powszechnej obojętności – bezrobocie było w zasadzie niezauważalne. Wynalazca systemu, Mogens Lykketoft (ówczesny minister finansów w rządzie centrolewicowym, obecnie poseł z ramienia socjaldemokratów do Folketingu, duńskiego parlamentu) stwierdza kategorycznie: „To sukces. Przedsiębiorstwa nie wahają się już przed zatrudnieniem, ponieważ wiedzą, że będą się mogli bez zwłoki i bez przeszkód pozbyć nadmierowej siły roboczej”.

W momencie wprowadzenia systemu w 1994 r. Dania liczyła oficjalnie 300 tys. bezrobotnych (10% aktywnej populacji); 7 lat później było już ich niecałe 100 tys. Zanim kryzys sięgnął brzegów Bałtyku, w czerwcu 2008 r. liczba ta spadła do 47

* Dziennikarz, specjalny wysłannik *Le Monde diplomatique*.

tys. Przedsiębiorstwa, nie tylko duńskie, były zachwycone, kraj zaczął zajmować pierwsze miejsca w międzynarodowych rankingach organizacji pracodawców. IMD, wyższa szkoła handlowa w Lozannie, przeprowadziła w tym roku na potrzeby rankingi *World Competitiveness Yearbook 2009* wywiady z 4 tys. decydentów z 57 krajów: Dania wysunęła się na prowadzenie. Przez wzgląd na liberalizm rządu, dobry klimat dla biznesu i zadowolenie społeczne wystąpiła jako figura raję pracodawców (100 punktów, podczas gdy Francja zdobyła zaledwie 28,4...). Na podstawie opinii szefów przedsiębiorstw magazyn *Forbes* [1] okrzyknął Danię *the best country for business* (najlepszym krajem dla biznesu), lepszym nawet niż Stany Zjednoczone.

Na razie pracownicy najemni nie są niezadowoleni. Jeśli wierzyć sondzie przeprowadzonej w 2006 r. przez Eurofund [2], brukselską fundację śledzącą sytuację społeczną w Unii Europejskiej, spośród zatrudnionych z 27 krajów członkowskich, to duńscy pracownicy są najbardziej „usatysfakcjonowani”.

Można ich zrozumieć. W pewnym sensie zabezpieczono im pełne zatrudnienie, płace wzrastają szybko (4% w latach 2007-2008, tuż przed kryzysem), a w przypadku klótni z szefem czy nagłego ataku ducha przyszydo (dość rozpowszechniona cecha wśród potomków wikingów...) ma się pewność, że znajdzie się miejsce pracy u konkurencji. „Flexicurity opracowano w okresie ekspansji i jest to jedna z przyczyn jej sukcesu” – przyznaje Holger K. Nielsen, przewodniczący Socialistisk Folkparti, ugrupowania bardziej lewicowego niż socjaldemokra-

cja, które urosło w siłę po ostatnich wyborach europejskich.

Tymczasem nadchodzi kryzys. Flexicurity zaczyna kuleć: coraz więcej elastyczności, coraz mniej bezpieczeństwa... Dania, mniejsza niż region Midi- Pyrénées i ze swoimi 5,6 mln mieszkańców słabiej zaludniona niż region Rodano-Alpejski, z konieczności musiała otworzyć się na świat i uzależnić od handlu międzynarodowego. Przez to też jest szczególnie podatna na „nadzwyczajną recesję światową”, by zapożyczyć eufemizm puszczony w obieg przez największą grupę w kraju, armatora A.P. Moller-Maersk, numer jeden na świecie w transporcie kontenerowym.

W 2007 r. kraj ten eksportował połowę produktu krajowego brutto. „Sektor eksportowy nadaje ton wszystkim innym w negocjacjach społecznych” – wyjaśnia Klaus Rasmussen, funkcjonariusz Danish Industry, naczelnej organizacji pracodawców. Dziś jednak muzyka ta zgrzyta w uszach najliczniejszej grupy pracowników sektora prywatnego. W ciągu roku sprzedaż eksportowa zmniejszyła się o 20%, miesiąc w miesiąc bite są kolejne rekordy w liczbie bankructw. Najbardziej spektakularne jak dotąd rozłożyło na łopatki kompanię lotniczą tanich lotów Sterling Airways (29 maszyn). Wszędzie, nie tylko w lotnictwie, przedsiębiorcy zwijają żagle, tną koszty ocenione jako nadmierowe (od 1 stycznia na 500 statkach należących do Maerska marynarze nie mają już dostępu do papierowych ręczników), zmniejszają stan faktyczny firmy. Bezrobocie od zeszłego lata rośnie dwa razy szybciej niż we Francji. W ciągu roku podwoiło się zawiązką. W lipcu 2009 r. w kraju było już 107 tys. bezrobotnych, najwięcej robotników.

W dotkniętym klęską sektorze budownictwa i robót publicznych bez pracy pozostaje 13% pracowników (to dwa razy więcej niż rok temu), w tym 27% murarzy i 13% malarzy. Są to dane Zjednoczonej Federacji Duńskich Pracowników (nazywanej tu 3F), z której od stycznia 2008 r. wystąpiło 4% członków. Zwykle ogłoszenie o pracy dla recepcjonisty przyciągnęło na prowincji ponad 900 kandydatów. Jak podaje Krajowa Agencja Zatrudnienia (AMS), odpowiedzialna za politykę zatrudnienia, w ciągu 8 miesięcy liczba bezrobotnych poniżej 24 lat wzrosła czterokrotnie. Wciąż chodzi tu o tych,



którym wypłaca się zasiłek, gdyż płacili składki do jednej z 30 powiązanych ze związkami zawodowymi kas na rzecz bezrobotnych.

W Danii, tak jak w Szwecji, działa wciąż stary model gandawski [3], oparty na dobrowolnych składkach: ubezpieczenie od bezrobocia nie jest obowiązkowe. W rezultacie, gdy podczas boomu lat 2000. osiągnięte zostało niemal pełne zatrudnienie, wielu młodych nie sądziło, że ubezpiecze-

nie mogłyby się im na coś przydać. Pod koniec pierwszego trymestru 2009 r. 16 tys. takich osób znalazło się bez zatrudnienia i bez ubezpieczenia – trzy razy więcej niż młodych bezrobotnych otrzymujących zasiłek. Muszą zadowolili się wyjątkowo szczupłą pomocą publiczną na poziomie francuskiego dochodu minimalnego.

Negocjacje pracownicze, które zapoczątkowano w marcu tego roku, nie zapo-

Pięć odstępstw od pewnego modelu

Czy faktycznie istnieje model socjalny podzielany przez 5 państw skandynawskich, a jednocześnie inny od przyjętego w pozostałej części Europy? Kwestia ta nurtuje tamtejsze środowiska uniwersyteckie i intelektualistów. Od 1996 r. pracuje nad tym sieć ponad 300 historyków i badaczy z obszaru nauk społecznych [1]. Ale politycy, związkowcy, aktywiści i specjaliści zabrali się do rzeczy, na nikogo nie czekając. Ponad sto lat temu, w 1907 r. odbyła się pierwsza skandynawska konferencja społeczna, której tematem przewodnim były wypadki przy pracy i ochrona pracowników.

Od tego czasu ustawiczne konfrontowanie idei, wymiana doświadczeń, nieustające porównywanie metod i ich rezultatów, współpraca polityczna i rządowa – wszystko składało się tak, by w oczach reszty świata 5 państw wielkiej Północy wyglądało na rodzinę przynajmniej w domenie socjalnej, jeśli chodzi o sposób radzenia sobie z ryzykiem związanym z życiem, chorobą, starością, biedą czy bezrobociem.

W gruncie rzeczy te 5 krajów obrało dość podobną ścieżkę, mimo różnic geograficznych (Szwecja z 9 mln mieszkańców liczy ponad dwa razy więcej ludności niż Dania, Finlandia lub Norwegia i 30 razy więcej niż Islandia) i politycznych (Szwecja i Dania to niegdysiejsze imperia, podczas gdy Norwegia, Finlandia i Islandia stanowią kolonie, które późno – dopiero na początku XX w. – uzyskały niepodległość). Kopenhaga wiodła prym przed 1939 r. Oszczędzona przez wojnę Szwecja przejęła pałeczkę w 1945 r.

Region skandynawski jest upośledzony przez warunki klimatyczne i ubóstwo gleb. Przez wieki cierpiał nędzę, z której wydobywał się powoli i z trudem, tracąc ponad jedną czwartą populacji, zanim w drugiej połowie XIX w. dogonił resztę świata. W 1875 r. Szwecja była państwem rolniczym w 87%, Dania – w 75%, Norwegia – w 81%, a Finlandia – w 94%. Ówczesna transformacja miała charakter polityczny: absolutyzm zniesiono w Danii w 1848 r., a powszechne prawo wyborcze wprowadzono między 1898 r. a 1920 r. Przemiany miały też charakter społeczny – reformy agrarne położyły kres feudalizmowi – i ekonomiczny: pojawił się nowoczesny wielki przemysł (szwedzka stal, duńska produkcja rolno-spożywcza).

Z początku zajmowano się jedynie pomaganiem najuboższym, często bezrolnym wieśniakom. Leżało to wówczas w gestii Kościoła. W XVI w. Skandynawia opowiedziała się, zaraz po północnych Niemczech, po stronie Reformacji, a na jej obszarze zaczęły dominować państwowe kościoły luterzańskie. Miały silną pozycję i były praktycznie wszechobecne. Praktykowały surową filantropię, nie odżegnywały się od punitywnej wykorzystywania niesionej pomocy – zwłaszcza kiedy chodziło o pijaków i matki nieślubnych dzieci, których pozbawiały podstawowych praw, a nawet wolności.

Stopniowo sekularyzowane (najpierw w Szwecji i Norwegii, następnie w Danii) rady parafialne stały się podwaliną dla gmin, opiekujących się ubogimi i szkolnictwem. Ustalili się szczególnie podział zadań między władzami central-

nymi a lokalnymi – państwo stanowiło prawo, gminy zaś wprowadzały je, nie dopominając się o dodatkowe środki. W ten sposób zadanie solidarności spoczęło na barkach ówczesnych podpór systemu podatkowego: właściciele ziemskich. Władze centralne narzuciły lokalnym elitom troskę o postęp społeczny (emerytura, opiekę zdrowotną, sierocińce...), a te ją podchwyciły, nie chcąc dopuścić do podniesienia podatków.

W latach 20. i 30. XX w. dzięki naciskom związków zawodowych polityczne stosunki sił ewoluowały na korzyść klas pracujących, a niekiedy burżuazji i właścicieli ziemskich. Przede wszystkim konserwatyści i liberałowie musieli ustąpić miejsca socjaldemokratom, którym udało się stworzyć w Danii, Szwecji i Norwegii większośćowe koalicje. Finlandia, z trudem podnosząca się po krwawym udziale w rewolucji rosyjskiej 1917 r., pozostała na uboczu tego ogólnego dryfu na lewo. Dzięki trwałemu partnerstwu między robotniczymi związkami zawodowymi a pracodawcami osiągnięto – przynajmniej w planie deklaracji – objęcie całej populacji uprawnieniami socjalnymi. Pracodawcy zgodzili się na pewne regulacje rynku pracy. Osłoniły społeczne stały się powszechne. Każdy obywatel mógł skorzystać z dobrodziejstw państwa opiekuńczego, finansowanych z podatków, a nie, jak we Francji, ze składek społecznych. Za wyjątkiem Norwegii, jedynie zasiłek dla bezrobotnych pozostał uzależniony od dobrowolnego ubezpieczenia pracownika.

Złoty wiek państwa opiekuńczego (jego faktyczne, pełne wdrożenie) zaczął się razem z końcem II wojny światowej. Wspólną ambicją było nie społeczeństwo liberalne i nie socjalistyczna utopia, ale trzecia droga, wybudowana na zrębie zreformowanego kapitalizmu, na połączeniu socjalnej szczodrości i wydajności gospodarczej. Wszystkie siły polityczne i społeczne zgadzały się na społeczeństwo rynkowe, a jednocześnie sprzeciwiały się nazbyt wyraźnym nierównościom społecznym. Bezpieczeństwo socjalne, renty, żłobki, domy starców, opieka nad niepełnosprawnymi, zdrowie, edukacja, szkolenia zawodowe, nauka i kultura spłatały się w oczach reszty świata w jedną, socjaldemokratyczną wersję państwa opiekuńczego. Było to dzieło partii socjaldemokratycznych, które po 60 (w Szwecji) czy ponad 40 latach (w Norwegii czy Danii) rządzenia samodzielnie lub na czele koalicji stały się właściwie partiami państwowymi.

Kryzys gospodarczy w latach 80. i 90., koniec zimnej wojny, polityczne osłabienie socjaldemokracji i globalizacja finansowa mocno uderzyły w nordycki model socjalny, który coraz bardziej starał się dostosować do mniej hojnej linii przyjętej w Europie Zachodniej...

JPS

[1] N.F. Christiansen, K. Petersen, N. Edling i P. Haave, *The nordic model of welfare – a historical reappraisal*, Museum Tusulanum University of Copenhagen Press, Kopenhaga 2006, s. 432.

wiadają nic dobrego. Źródła organizacji patronackich podają, że w sektorze prywatnym jedna pensja na dwie nie została w 2009 r. podniesiona, a w jednym przypadku na trzy zamrożona zostanie stawka godzinowa. Wedle Rady Gospodarczej (instytucji oficjalnej, ale niezależnej), oznacza to zmniejszenie się siły nabywczej o 2%. Dla wielu młodych małżeństw, które zadłużyły się, by kupić i wyposażyć dom – ponad dwie trzecie Duńczyków ma własny dom – będzie to katastrofa: w maju tego roku po raz pierwszy od 15 lat pobity został rekord w przejściach za długi.

Danske Bank, największy bank w kraju i drugi co do wielkości w Skandynawii, oszacował, że ceny nieruchomości, które spadają od 2007 r., w 2009 r. spadną „o prawie 10% jeśli chodzi o domy i dwa razy tyle, jeśli chodzi o mieszkania” [4] – to największy spadek w Europie od czasu Wielkiej Brytanii i Irlandii. Młody minister ds. budżetu Kristian Jensen, numer 3 duńskiego rządu, jest jednak nieprzejednany. Ministerstwo nie robi nic dla tych nieszczęśliwych: oficjalnie potwierdza, że „muszą sobie poradzić”.

To kolejny sygnał dla populacji od dawna przyzwyczajanej do opieki „od kołyski po trumnę”, że państwo opiekuńcze *à la danoise* nie jest już tym, czym było. Dla centroprawicowego rządu, który jest u władzy od 2001 r., zagrożenie ma charakter przede wszystkim finansowy. Według rządowych kalkulacji sprzed kryzysu, w 2015 r. na pokrycie wszystkich wydatków miało zabraknąć ok. 15 mld koron. Przygotowany „Plan Gospodarki 2015”, oparty na ryzykownym „ani-ani” (ani podwyżka podatków, ani redukcja świadczeń), nie wytrzymał tymczasem recesji.

Reforma podatkowa, mająca obowiązywać od 1 stycznia 2010 r., ma obniżyć podatki bezpośrednio, ale odsuwa na czas nieokreślony podwyżkę mających ją sfinansować „zielonych podatków”: od elektryczności, ogrzewania, ciężarówek, emisji gazów cieplarnianych innych niż CO₂, wykorzystanej wody, taksówek... Ze wszystkich tymi opłatami poradzić sobie będą musiały gospodarstwa domowe, które już teraz finansują 25% VAT i które otrzymają skromny czek wyrównawczy – 100 euro na osobę dorosłą i 40 euro na każde dziecko rocznie.

Jasne jest, że ta dziwna reforma podatkowa uderzy w sypiące się państwo opiekuńcze, ale ma przy tym tę zaletę, że podoba się wyborcom prawicowym i podtrzyma zwyrodniały system poprzez wpuszczenie do gospodarczego obiegu 15 mld koron w 2010 r. (ponad 2 mld euro) i 8 mld (1,1 mld euro) w 2011 r. Co będzie potem? Znajdzie się jeszcze trochę czasu na refleksję: kolejne wybory parlamentarne powinny odbyć się najpóźniej w listopadzie 2011 r.

Złożony z liberalnych i konserwatywnych ministrów rząd Loekkego Rasmussena nie ma w Folketingu parlamentarnej większości. Brakuje mu 25 głosów... którymi zazwyczaj wspiera go Dansk Folkeparti (DFP), duńska partia ludowa z prawego skrzydła, bez skrupułów żerująca na ksenofobii, wrogości wobec Unii Europejskiej i chrońniemu interesów emerytów. Morten Messerschmidt (28 l.) – jedynek na liście w wyborach europejskich z 7 czerwca, człowiek, którego portret wisi pod czas kampanii na wszystkich kopenhaskich latarniach, przedstawia imigrantów jako największe zagrożenie dla duńskiego modelu socjalnego: „Musimy go chronić, ponieważ Dania to mały kraj o szczególnej tożsamości” – wyjaśnia nam na łamach *Berlingske Tidende*, konserwatywnego dziennika liczącego sobie 260 lat. Na wieczór wyborczy w tamtejszej redakcji tłumnie przybyła widownia o wyraźnych oznakach zamożności.

Wyniki w wyborach do Parlamentu Europejskiego (czerwiec 2009 r.)

Enhedslisten (skrajna lewica):	7,2%
Socialistisk Folkeparti, SF (lewicowi socjaliści):	15,9%
Socialdemokratiet, SD, (socjaldemokrati):	21,5%
Det Radikale Venstre, RV, (socjal-liberałowie):	4,3%
Venstre (liberałowie):	20,2%
Det Konservative Folkeparti, KF (konserwatyści):	12,7%
Dansk Folkeparti, DF, (skrajna prawica):	15,3%

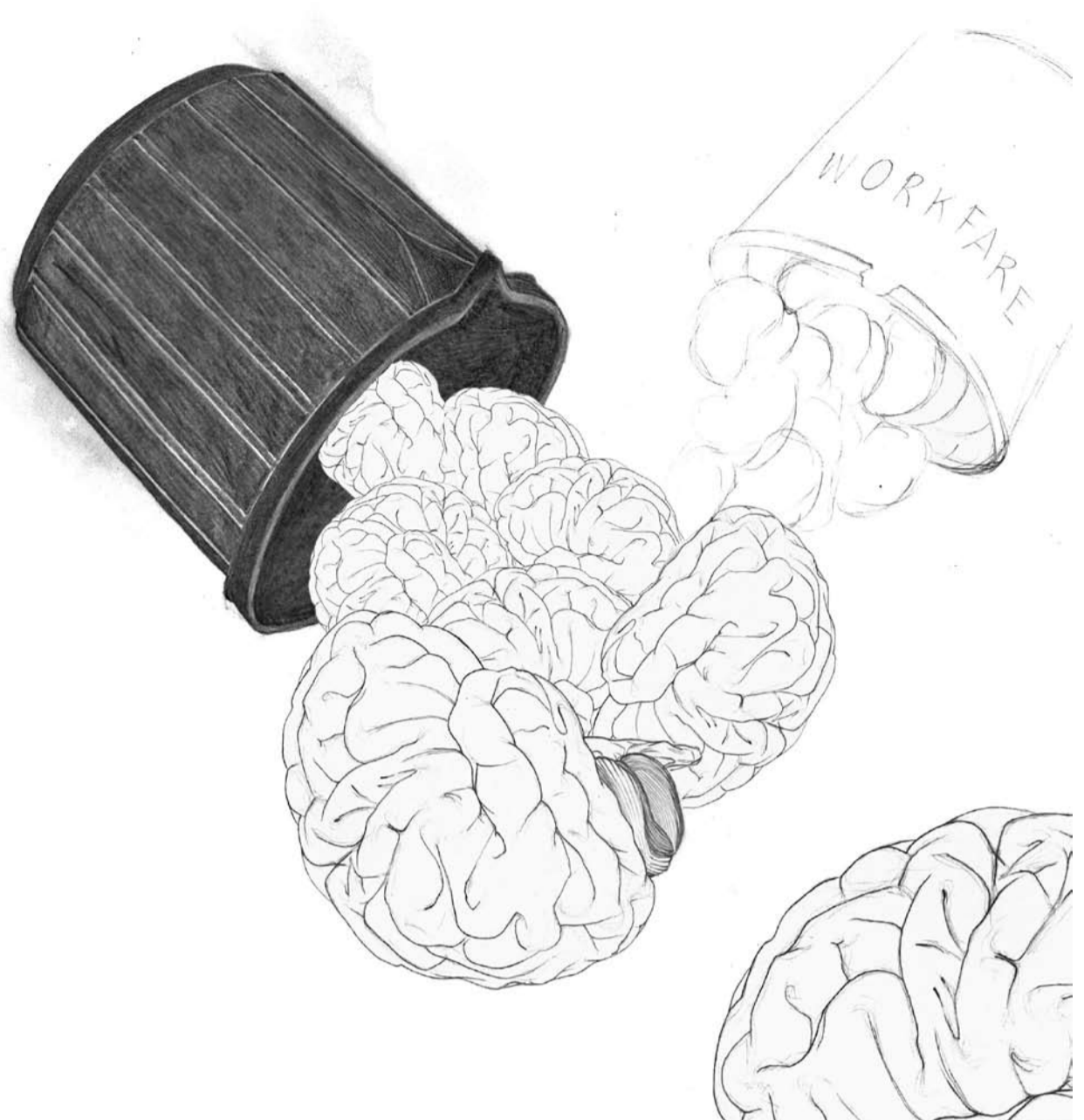
DFP nie potrzebuje ministrów, aby trzymać władzę. Dania zachowała ustrój parlamentarny, gdzie legislatura ma przewagę nad władzą wykonawczą. Wszystko przechodzi przez Folketing i tamtejszych 25 komisji parlamentarnych, opracowujących decyzje, które ministrowie muszą egzekwować co do litery. „Na zebraniach ministrów w Brukseli minister z Danii musi trzymać się instrukcji, zwracając się do Folketingu w przypadku jakiegokolwiek zmiany” – wyjaśnia Gunnar Rieberholdt, były ambasador Danii w Paryżu i jeden z pomysłodawców włączenia do Unii Europejskiej trzech krajów bałtyckich w 2004 r.

Dla FDP, z jego silną grupą mamutów w parlamencie, nie ma nic prostszego, niż zorganizować kolejne ciosy poniżej pasa i prowokacje wymierzone przeciw 401 771 imigrantom (dane ze stycznia 2009 r.) i Duńczykom pochodzącym z krajów muzułmańskich, od Turcji po Pakistan i Somalię, którzy jako uchodźcy polityczni napływali tam pod koniec lat 60. Któregoś dnia w szkolnych stołówkach trzeba było pilnie wymieniać kurczaka na „bardziej duńską” wieprzowinę. Zwyczajową obsesją DFP jest ograniczanie wszelkimi środkami dostępu imigrantów do osłon społecznych. W 2002 r. żony imigrantów traciły uprawnienia socjalne, o ile w roku poprzednim nie przepracowały co najmniej 300 godzin. Przepis wprowadzono pod pretekstem uwalniania muzułmańskich żon spod kurateli mężów. Bez wątplenia rządowe plany podniesienia kryterium do 450 godzin mają na celu uwolnić je jeszcze bardziej... Najbardziej rzucający się w oczy skutek tych reform to pogłębiająca się bieda wśród nowo przybyłych, w szczególności uderzająca w ich dzieci, z których więcej niż jedno na dziecko żyje poniżej progu ubóstwa.

Dostęp do narodowości duńskiej jest w zasadzie zamknięty. Po 9-10 latach pobytu można zgłosić swoją kandydaturę i przejść wyśrubowane testy języka duńskiego, uznawanego za bardzo trudny. Pod wpływem DFP w 2002 r. duński parlament w czwartym podejściu podwyższył poziom trudności egzaminu – losowe próby organizowane przez *Berlingske Tidende* pokazały, że co drugi „natywny” duński maturzysta by go nie zdał. Podobne obostrzenia wprowadzono w polityce łączenia rodzin: mąż lub żona musi mieć ponad 24 lata i „silniejszy związek z Danią niż z krajem pochodzenia małżonka”. Krok po kroku rząd pod pretekstem własnej niezłomności nieomal rekonstruuje status meteków ze starożytnego Rzymu.

Ravi Chandran przyjechał w 1992 r. z Singapuru, dziś pracuje w organizacji pozarządowej specjalizującej się w pomocy ofiarom AIDS wywodzącym się z mniejszości etnicznych. Opowiada nam o frustracjach wśród *new Danes*, którzy nie mają ani błękitnych oczu, ani blond włosów: „Urodzili się i wychowali tutaj; Dania to ich jedyne kraj, nie mają innego. Słyszą, jak ich rodzice skarżą się na los, jaki im zgotowano. W telewizji widzą, jak oplakuje się śmierć rodowitego Duńczyka, ale niczyją inną; oni sami mają wrażliwość, że biją głową w mur ze szkła... I tak, od czasu do czasu, dochodzi do wybuchu, jak ten z lutego 2008 r. w Norrebro” [5]. Dziennikarska gwiazda kanału TV2, specjalizująca się w polityce zagranicznej, również krytykuje klimat nietolerancji: „Nie poznaję Danii mojego dzieciństwa, jej wzorunek w świecie znacznie się pogorszył”.

Skrajnie prawicowe naciski na duński rząd unaocznili światu i Europie, skłonnej zazwyczaj odwracać wzrok, inny kryzys: opublikowanie pod koniec września 2005 r. w duńskim dzienniku *Jyllan-Posten* karykatur proroka Mahometa. „Problemem nie była sama publikacja, ale to, że ówczesny premier Anders Fogh Ra-



MARIA ZAŁUSKA, WORKFARE

smussen (obecnie sekretarz generalny NATO) przez 4 miesiące odmawiał przyjęcia w tej sprawie żądających tego ambasadorów 12 akredytowanych państw muzułmańskich” – wyjaśnia Toeger Seidenfaden, redaktor naczelny poczynego dziennika *Politiken*, który w osamotnieniu zębami i pazurami broni tradycyjnie liberalnej polityki przyjmowania cudzoziemców i traktowania mniejszości – „Stalo się to dopiero, kiedy kryzys nabrał wymiaru międzynarodowego i wymknął się wszelkiej kontroli.”

Odmowa Rasmussena nie wynikała z lekomyślności, została dobrze przemyślana. Obrona wolności ekspresji stanowiła tylko kiepski pretekst maskujący coś, co w kopenhaskich kręgach politycznych było tajemniczą poliszylna: Pia Kjaersgaard, niegdyś pomoc domowa, wybrana do Folketingu w 1984 r. wszechmogąca kierowniczką DFP, ogłosiła „weto” wszelkim audiencjom.

Wobec ostatniego zwrotu opinii publicznej na prawo, duńska lewica nie ma się najlepiej. Socjaldemokrati, lewicowi socjaliści i liberalowie społeczni podpisali trójpartijny układ rządowy, ale, ochłodzeni trzema porażkami wyborczymi w ciągu 8 lat, nie kwapią się do nieprzejednanej krytyki ksenofobicznej polityki większości. „Rząd wygrał jedne i drugie wybory, oskarżając nas o współdziałanie z mniejszościami” – broni się Mogens Lykke-toft, który po ostatniej porażce w listopadzie 2007 r. przestał kierować partią socjaldemokratyczną. „Mamy przed sobą dużo pracy. Trzeba, by Duńczycy przypomnieli sobie, że w planie społecznym lewica zawsze była lepsza od prawicy. Zgubiliśmy to”.

Ale czy ciągle istnieje konsensus w obszarze wzmacniania duńskiego modelu socjalnego, tak jak po spektakularnym wzbogaceniu się kraju w latach 60.? „W przeciągu dwóch pokoleń piaszczysta łąka na obrzeżach Europy zmieniła się w kraj płynący mlekiem i miodem” – pisał Knud J.V. Jespersen, oficjalny historyk duńskiej królowej, niezwykle popularnej Małgorzaty II, w swojej klasycznej książce o historii Danii [6]. Charakterystyczna dla dawnych czasów równość ustąpiła miejsca nowemu egoizmowi klasy średniej, która nie chce już płacić „na innych” i na całe gardło domaga się obniżenia podatków.

Częściowo została zaspokojona reforma podatkowa, ale to jej nie wystarczy. Pod koniec maja 96 merów z całego kraju – istnych filarów państwa opiekuńczego, na

których barkach spoczęła odpowiedzialność za liczne misje (żłobki, szkoły, domy opieki dla osób starszych, zatrudnienie, kultura...) – poróżniło się z powodu nałożonych na bogatsze gminy podatków wyrównawczych z przeznaczeniem na gminy biedniejsze. 40 z nich dało wyraz spadkowi solidarności i wystąpiło o rewizję. 27 merów gmin uboższych zwróciło się z prośbą o wycofanie żądania. Rudersdal, duńskie Łomianki, gdzie dochód na mieszkańca jest dwa razy wyższy niż w Kopenhadze, nie chce już dłużej płacić... Cepos i Coin.dk, filie amerykańskich neokonserwatywnych *think-tanków*, wyszły na ulice Kopenhagi, aby spopularyzować obniżkę podatków jako lekarstwo na wszystkie problemy.

Także i przedsiębiorcy zdecydowali się wejść do gry o podatki. Podatek od zysków przedsiębiorstwa (IS) z powrotem wynosi 25% (33,5% we Francji); niemal nie istnieje opodatkowanie kapitału czy spadków; gospodarstwa domowe pokrywają większość wydatków społecznych za pośrednictwem szczególnie wysokich podatków pośrednich, które tłumaczą wysoki koszt życia w kraju.

Ponieważ ani prawica, ani lewica nie wyobrażają sobie dodatkowego zwiększenia tych obciążeń, na horyzoncie coraz wyraźniej majaczy widmo demontażu państwa opiekuńczego. Obecny rząd zapowiedział skrócenie okresu pobierania zasiłku dla bezrobotnych z 4 do 2 lat (jego maksymalna wysokość w 2006 r. określono na 2 tys. euro miesięcznie). To doraźne ograniczenia w obliczu kryzysu, które oznaczają co najwyżej remis. „Można odsunąć problem o kilka lat, to nie jest moment na poważne zmiany” – przyznaje K. Rasmussen z organizacji pracodawców Confederation of Danish Industry.

Dopóty, dopóki istnieją jeszcze inne środki niż pozwalająca wydawać mniej redukcja świadczeń, o czym przypomina drugi człon *flexicurity*, tzn. bezpieczeństwo zatrudnienia. „W 1993 r. nastąpiło pewne ideologiczne tąpnięcie” – analizuje prof. Jorgen Goul Andersen z Uniwersytetu w Aalborg – „Bezpieczeństwo socjalne przestało być priorytetem na rzecz innego celu, obniżenia strukturalnego bezrobocia”. Warunki do spełnienia, by otrzymać zasiłek, stały się surowsze, poszerzono też zakres zobowiązań (spotkania z co najmniej 4 pracodawcami tygodniowo, szkolenia zawodowe, wizyty u osobistego *job officer*, zgoda na zmianę miejsca zamieszkania i zawodu...).

Wraz z kryzysem pojawiła się pokusa, by jeszcze bardziej dokręcić śruby. „Aktywizacja” (*aktivering*), obowiązkowa dla wszystkich otrzymujących zapomogę, nie oznacza synekury. Według Anderse- „przeciętny bezrobotny znajduje pracę jeszcze przed rozpoczęciem okresu aktywizacji”. O ile w założeniu socjaldemokratycznych twórców polityka ta miała pozwolić na przekwalifikowanie siły roboczej bez przerw i okresów bezrobocia, okazała się użyteczna przede wszystkim jako strategia obligowania bezrobotnych do jak najszybszego podjęcia pracy i nie-robienia trudności.

Wszystko tak się układa, by zniechęcić ich do wejścia w cykl „aktywizacji” po 3 miesiącach nieaktywności: bezrobotny ma coraz mniejszą możliwość wyboru nowego zawodu, pracodawcy lub nawet miejsca zamieszkania. Jeśli odmówi, zostanie pozbawiony prawa do zasiłku. Czyżby w jutrzejszym modelu skandynawskim *à la danoise* dobrobyt (*welfare*) zastąpić miał „dobrotrud” (*workfare*)?

tlum. Agata Czarnacka

[1] *Forbes*, 25 marca 2009.

[2] European Foundation for the Improvement of Living and Working Conditions, 2006.

[3] Model ten ukonstytuował się w początkach ruchu robotniczego w Gandawie (Belgia). Opiera się on na trzech zasadach: przystąpienie do niego jest dobrowolne, kasami zarządzają związki zawodowe, kas jest wiele. Model ten przeciwstawia się założeniom uniwersalistycznym, wedle których takie same usługi należy oferować wszystkim obywatelom bez względu na to, czy pracują, czy nie, czy pochodzą z danego kraju, czy są imigrantami. W Danii model ten obsługuje wyłącznie zasiłki dla bezrobotnych.

[4] *Nordic Outlook. Economic and financial trends*, Danske Bank 2008, s. 8, <http://www.danskebank.com/danskeresearch>.

[5] W dzielnicy Norrebro na północy Kopenhagi zamknięcie squatu w 2007 r. oznaczało początek powracających zamieszek (najczęściej między młodzieżą a policjantami). W lutym 2008 r. potyczka między członkami motocyklowego gangu a młodymi muzułmanami z drugiego pokolenia imigrantów skończyła się ofiarą śmiertelną i zdevastowaniem dzielnicy.

[6] *A History of Denmark*, Palgrave Macmillan, Nowy Jork/Kopenhaga 2004, s. 244.

Podskórne wojny trawią Jemen

Jemen służy obecnie jako zaplecze dla wojowników z Al-Kaidy, pochodzących z Arabii Saudyjskiej. Na Południu, zjednoczonym z Północą w 1990 r., rośnie separatystyczna opozycja. W prowincji Sada wzmacnia się walka powstańcza, o której władze sądzą, że jest wspierana przez Iran, sami zaś rebelianci głoszą, że występują przeciwko wpływom Arabii Saudyjskiej. Ta wojna, która nie odkryła nam jeszcze swego prawdziwego oblicza i która zastrzyła się w ostatnich tygodniach, może sprawić, że kraj przekształci się w „państwo upadłe”.

PIERRE BERNIN*

Szkrzyta przed obcymi spojrzeniami, prowincja Sada w północno-zachodnim Jemenie, niedaleko od granicy z Arabią Saudyjską, od czerwca 2004 r. jest teatrem gwałtownego konfliktu [1]. Naprzeciwko siebie stają rząd i grupa rebeliantów, „huthistów”, którym przewodzą byli deputowani Husajn al-Huthi, a po jego śmierci w wrześniu 2004 r. robi to jego młodszy brat Abdul Malik al-Huthi. Mimo ogłoszenia zawieszenia broni w lipcu 2008 r., w połowie sierpnia 2009 r. walki rozgorzały na nowo. Zakorzenie konfliktu, jego brutalność, dziesiątki tysięcy ofiar i przesiedleńców, groźba, że dojdzie do reakcji łańcuchowych na obszarze, który zamieszkuje największe plemiona kraju, nie pozwalają przewidzieć, do czego to wszystko doprowadzi.

Rebelianci przyznają się do zajdyckiej tożsamości religijnej, będącej odłamem szyizmu, która jednak na gruncie teologicznym odróżnia się wyraźnie od imamizmu dominującego w Iranie [2]. Cieszący się opinią „umiarkowanych”, zajdyci stanowią około 1/3 jemeńskiej ludności i wpisują się w szczególną historię Jemenu, dzieląc wiele interpretacji religijnych z sunnitami ze szkoły szafi'ickiej [3], którzy stanowią większość wśród Jemeńczyków.

Zajdyci, republika i opór przeciw wahhabitom

Rząd oskarża rebeliantów o chęć przywrócenia imamatowi zajdyckiego, który rządził krajem do 1962 r., kiedy to doszło do rewolucji republikańskiej. Ta stanowiła wstęp do długotrwałej wojny domowej, w której po stronie rojalistów stanęła Arabia Saudyjska, republikanie zaś uzyskali wsparcie oddziałów wysłanych przez Egipt Gamala Abdel Nassera. Imamowie byli alidami, potomkami proroka Mahometa, grupą, do której należą bracia al-Huthi.

Władze twierdzą, że huthiści są wspierani przez Iran i uczestniczą, na równi z libańskim Hezbollahem, w tworzeniu „łuku szyickiego”, obejmującego Bliski Wschód. Wysunięcie argumentu irańskich wpływów ma na celu uzyskanie poparcia Arabii Saudyjskiej, zaniepokojonej rosnącym znaczeniem swojego irańskiego rywala.

Twierdzeniem tym przeczą przywódcy huthistów, którzy deklarują lojalność w stosunku do republiki i zapewniają, że chcą jedynie walczyć o zachowanie zajdyckiej tożsamości religijnej, zagrożonej ich zdaniem przez wahhabizm i salafizm, rygorystyczne wersje islamu sunnickiego.

Kolebka zajdyzmu, prowincja Sada, była swoją drogą jednym z ostatnich bastionów rojalistów podczas wojny domowej z lat 60. XX w. Z tego powodu długo omijały ją wszelkie działania na rzecz rozwoju, prowadzone przez kolejne rządy republikańskie. Narodziny huthizmu wpisują się w szerszy nurt odnowy zajdyckiej, który dało się zaobserwować w latach 80. XX w. w ramach różnych ośrodków kształcenia, wydawnictw i miejsc kultu, skupionych wokół Sada, ale również bardziej miejscowo w Sanie, stolicy Jemenu.

Choć większość elit politycznych, w tym prezydent Ali Abdallah Saleh, swoje korzenie bierze z zajdyzmu, ruch odnowy pozostaje dość marginalny. I tak, podczas gdy huthiści kładą nacisk na specyficzne elementy własnej tożsamości, wyróżniające ich na tle islamskiego prawa i praktyki religijnej, większość ludności (w tym pochodzenia zajdyckiego) wpisuje się w proces uniformizacji tożsamości religijnych promowanej przez system edukacyjny i przez państwo republikańskie. Nic zatem dziwnego, że opozycja „sunnici-szyici” straciła obecnie na zna-

czeniu i już tylko w stopniu marginalnym determinuje polityczne kierunki i afiliacje. Owo upodabnianie się tożsamości nie przeciwdziała jednak stygmatyzacji zajdytów przez ruch salafistyczny, okazjonalnie występujący jako sojusznik władz.

W ramach konfliktu w Sada kwestii drażliwych jest wiele, a wojna grozi przekształceniem w starcie międzywyznaniowe. Z końcem sierpnia 2009 r. niektóre media donosiły, że walki między huthistami i słuchaczami szkoły salafistycznej Dar al-Hadith, założonej na początku lat 80. XX w. przez Moqbilę Al-Wadiego, przyniosły ze sobą kilka ofiar śmiertelnych [4]. Informacji tej huthiści zdecydowanie zaprzeczali na swojej stronie internetowej. W marcu 2007 r. dwóch obcokrajowców, w tym jeden Francuz, poniosło śmierć w podobnych okolicznościach.

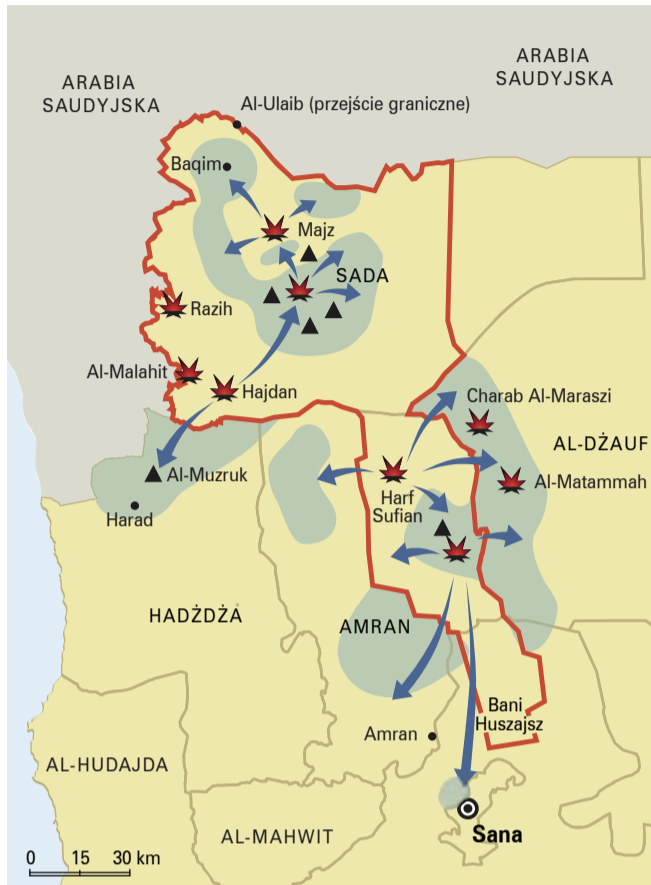
Dwuznaczna rola Arabii Saudyjskiej

Rząd przedstawia ów spór jako ideologiczny, przeciwstawiający republikę ekstremistycznej grupie religijnej. Huthiści mówią natomiast o sprzeciwie wobec represjonowania mniejszości religijnej. Niezależnie jednak od wzajemnych oskarżeń, twierdzeń rządu dotyczących wprowadzenia ważnego programu odbudowy po zawieszeniu broni w lipcu 2008 r., i głosów rebeliantów, wskazujących na to, że walki i prowokacje nigdy w rzeczywistości nie ustały, na konflikt wpływa wiele czynników, które wyjaśniają jego pogłębienie się.

Ciągłość walk od 2004 r., mimo zawieszenia broni i mediacji – przede wszystkim Kataru w

2007 r. – wynika w jakiejś mierze z pojawienia się interesów gospodarczych, które przenikają się z wewnętrzną rywalizacją właściwą każdej władzy. Kluczową kwestią stanowi kontrola nad nielegalnym handlem do Arabii Saudyjskiej i w kierunku Morza Czerwonego, który ułatwia przemyt ropy naftowej i broni do Rogu Afrykańskiego. Niektórzy oficerowie kradną broń przeznaczoną dla wojska; i o ile jej część idzie na eksport, drugą część – paradoksalnie – odsprzedają się rebeliantom za pomocą szczególnie aktywnych w tej strefie pośredników.

Perspektywa odejścia prezydenta Saleha, pełniącego swój urząd od 1978 r., zaostriża rywalizację w kręgach władzy, szczególnie między synem tegoż, Ahmadem Ali Salehem (stojącym na czele sił specjalnych i straży republikańskiej) a kilkoma wysoko postawionymi figurami wojskowymi. Prowincja Sada byłaby zatem teatrem wojny *per procura*, w której rywalizujące klany usiłowałyby, z jednej strony, zdobyć zaplecze gospodarcze i, z drugiej, dowieść swej skuteczności w terenie. W maju 2008 r., podczas gdy terytorium objęte walkami powiększyło się



PHILIPPE REKACEWICZ

o region Bani Huszajch, ok. 25 km na północ od Sany, zaangażowanie po raz pierwszy od 2004 r. sił specjalnych i ich pozorny sukces zastawione zostały z odwrotom batalionów wojska w prowincji Sada.

Trybalizacja wojny domowej

Pogłębienie się konfliktu związane jest również z coraz większym znaczeniem plemiennych przywódców. Od zaangażowania bojowników po stronie rządu lub huthistów po rządowy projekt z czerwca 2008 r. dotyczący uformowania przez poszczególne plemiona wokół prowincji Sada „armii ludowej”, konflikt wszedł w spiralę przemocy, sprzyjającej mechanizmowi zemsty i wendety opierającym się głównie na więzach solidarności międzyplemiennej. Na początku 2009 r., gdy władza rozdzielala środki finansowe na odbudowę kraju, niektóre grupy plemienne, które kilka miesięcy wcześniej były sojusznikami armii, nie uznały kompromisu z huthistami i usiłowały wywrzeć presję na rządzie. Blokowały drogi i brały zakładników. Owa „trybalizacja” konfliktu zachęca do rewizji dyskursów, które mówią o projekcie politycznym rebeliantów lub o sporze sunnicko-szyickim, wywołanym przez osoby związane z władzą.

W obecnej sytuacji konflikt w Sada nakłada się na dawną rywalizację między dwoma głównymi konfederacjami plemiennymi północnych wyżyn: podczas gdy Haszed walczyli u boku sił rządowych, wiele z plemion Bakil poparło rebeliantów [5]. Choć taka analiza stanowi bez wątpienia zbyt dużą generalizację, wyjaśnia stopniowe wychodzenie strefy walk poza granice prowincji Sada, i przenikanie przede wszystkim do regionu Harf Sufyan, bardziej na południe, niedaleko od ziem Al-Usaymat, jednego z największych plemion Haszed. Takie zaszewienie się ukazuje wyraźnie potencjał destabilizacji, jaki niesie ta wojna, która poprzez uruchomienie

nie mechanizmu więzi solidarności międzyplemiennej grozi rozprzestrzenieniem się na inne regiony Jemenu, przede wszystkim Al-Dzawf, Amran i Hadzda.

Mało konstruktywne zaangażowanie w konflikt innych państw z regionu również nie jest bez znaczenia. W latach 2007-08 mediacja Kataru i podpisanie układu między walczącymi stronami w Doha nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Ponowny wybuch walk skłonił rząd katarski do wycofania się i odwołania obietnic dotyczących finansowego wsparcia odbudowy i rozwoju prowincji Sada. Rola, jaką w całej sprawie odgrywa saudyjski sąsiad, wydaje się, delikatnie mówiąc, dość ambiwalentna. Niektórzy wręcz oskarżają Arabię Saudyjską o sabotowanie mediacji Kataru, w celu ograniczenia znaczenia tego niewielkiego państwa w swojej tradycyjnej strefie wpływów. Podczas gdy monarchia Al Sauda oficjalnie uznaje wojnę w Sada za sprawę wewnętrzną, niektórzy saudyjscy dygnitarze finansują jemeńskie działania wojenne podobnie jak plemienne oddziały milicyjne. Zachęcając tym samym do kontynuowania walk.

Z drugiej strony Stany Zjednoczone i Unia Europejska, skupione nadmiernie na walce z terroryzmem i niezaangażowane zbytnio w poszukiwanie jakiegokolwiek pokojowego uregulowania sytuacji, pośrednio udzieliły rządowi z Sany poparcia *in blanco*. Rząd Saleha, krytykowany przez sojuszników, w pierwszym rządzie przez Waszyngton, za brak zaangażowania w „międzynarodową wojnę z terroryzmem”, korzysta z tego, by przypisać rebelię grupie terrorystycznej. Twierdzi nawet niekiedy, że istnieją powiązania między nią a Al-Kaidą, co wydaje się mało wiarygodne ze względu na tożsamość zajdycką (szyicką) huthistów i ich krytykę doktryny salafickiej.

Widmo ponownej secesji

Destabilizująca i szczególnie brutalna wojna w Sada skutkuje jeszcze większym osłabieniem władzy centralnej w prowincjach północnych. Gospodarka wojenna, podobnie jak chroniczny brak stabilizacji i represje, sprzyjają powstawaniu grup paramilitarnych, z których niektóre rzeczywiście są bliskie Al-Kaidzie. Choć sprawa nie doczekała się ostatecznego wyjaśnienia, wprowadzenie w czerwcu 2009 r. zagranicznych członków pewnej organizacji porządowej pracujących w szpitalu w Sada i egzekucja trzech spośród nich obrazują ten perwersyjny mechanizm. Podczas gdy rząd pierwotnie twierdził, że huthiści byli odpowiedzialni za zbrodnię [6], bardziej prawdopodobne wydaje się, iż była to akcja paramilitarnych grup sunnickich.

Na początku 2009 r., Nasser Al-Wabach, Jemeńczyk, przedstawiany często jako były sekretarz Osamy ben Ladena, zapowiedział tworzenie struktur Al-Kaidy na Półwyspie Arabskim poprzez fuzję gałęzi saudyjskiej i jemeńskiej. Od 2007 r. ataki przypisywane grupom powiązanym z Al-Kaidą, przede

wszystkim ten z września 2008 r. wymierzony w ambasadę Stanów Zjednoczonych, powtarzały się w Sanie i w regionach byłego Jemenu Południowego, podczas gdy prowincje północy kraju wydawały się być od nich wolne.

Z drugiej strony zjednoczenie Północy i Południa w 1990 r. spotyka się od 2007 r. z silną kontestacją w prowincjach byłego Jemenu Południowego, którego ludność czuje się dyskryminowana. Owa kontestacja, w miarę jak zwiększają się represje, nabiera coraz bardziej otwarcie akcentów separatystycznych [7].

Przez długi czas grupie władzy, której przewodzi Saleh, udało się fałszować prognozy gospodarcze i utrzymywać względną stabilizację. Ale wielość problemów i konflikty wokół następstwa władzy stawiają pod znakiem zapytania ową kruchą równowagę [8]. Mogą doprowadzić do osłabienia państwa – osłabienia, którego skutki dla całego regionu trudno sobie wyobrazić.

tłum. Lucyna Mazur

[1] International Crisis Group, *Yemen: Defusing the Saada Time Bomb*, Sanaa-Bruksela, maj 2009.

[2] Imamizm, dogmat dominujący w Iranie, występuje również w Iraku i Libanie. Od ortodoksji sunnickiej różni się znaczeniem, które przypisuje Alemu, zięciowi proroka Mahometa, i jego następcom – dwunastu imamom, z których ostatni nie jest martwy, lecz „ukryty”, i którego powrót wyznaczy nadejście królestwa sprawiedliwości. Zajdym wiąże się z tradycją szyicką, ale uznaje tylko linie siedmiu imamów; przede wszystkim zaś zajdyci nie podziwiają wiary imamitów w powrót Mahdiego i postrzegają się jako bardziej „umiarkowani”.

[3] Historycznie, sunnicka ortodoksja dzieli się na cztery szkoły prawa (madhhab), obowiązujące w różnych regionach świata muzułmańskiego: malikiicką (obecna głównie w Maghrebie); szafi'icką (na Bliskim Wschodzie, w Jemenie, w Azji Południowo-Wschodniej); hanbalicką (na półwyspie arabskim); hanaficką (w Azji Środkowej i Południowej).

[4] *Al-Quds al-Arabi* (dziennik panarabski), Londyn, 27 sierpnia 2009.

[5] *Al-Sharea* (niezależny tygodnik jemeński), Sana, 2 czerwca 2007.

[6] Oskarżenie to zostało zdementowane przez rebeliantów, którzy zorganizowali nawet manifestację przeciwko temu porwaniu, nazajutrz po odkryciu ciała trzech pracowników humanitarnych.

[7] Franck Mermier, „Yemen: le Sud sur la voie de la sécession?”, *EchoGéo*, czerwiec 2008, <http://echogeo.revues.org>.

[8] Por. Laurent Bonnefoy, „Jemeńska równowaga, czyli ofiary uboczne walki z terroryzmem”, *Le Monde diplomatique – edycja polska*, październik 2006.



MIĘDZY NEOKOLONIALIZMEM A NEOLIBERALIZMEM

Nędza izraelskiej lewicy

Prawdziwym dramatem robotniczej lewicy – i całego izraelskiego społeczeństwa – jest bezsilność. Tłumaczy ona klęskę wyborczą z lutego tego roku, ale jej przyczyny nie różnią się zbyt od przyczyn historycznego niepowodzenia z 1997 r., gdy prawica po raz pierwszy przejęła władzę w kraju. Odpowiedzialność ponoszą nade wszystko ideologiczne struktury ruchu niezdolnego wyswobodzić kraj z podwójnego uwikłania – w neokolonializm i neoliberalizm. Coraz więcej sympatyzujących dotąd z lewicą Izraelczyków zdaje sobie sprawę, że znalazł się u węgłowania ciężko chorego, jeśli nie umierającego człowieka.

ZEEV STERNHELL*

Ten powolny upadek to wynik nie tyle nadużywania władzy czy zmian społecznych, co niezdolności lewicy do poradzenia sobie najpierw ze zwycięstwem z czerwca 1967 r., a później z historycznym przełomem, jakim było podpisanie układów z Oslo w 1993 r. W obliczu tego gigantycznego zadania na jaw wyszły nie tylko jej konformizm i konserwatyzm, lecz także jej słabość intelektualna i moralna.

Lewica legitymizuje syjonistyczny podbój

Żydowski ruch nacjonalistyczny od początku stawiał sobie za cel owarucie Palestyny na nieograniczoną imigrację, jej skolonizowanie, a ostatecznie wyrwanie jej niepodległości. „Syjonizm jest przedsięwzięciem podbojowym” – stwierdził w 1929 r. Berl Katznelson, ideolog ruchu robotniczego – „I chciałbym, żeby zrozumiano, że, jeśli o mnie chodzi, definiowanie tego przedsięwzięcia w kategoriach militarnych nie jest formułą retoryczną” [1].

Ruch legitymizował ten podbój, powołując się na historyczne prawo Żydów do kraju ich przodków. Od ostatnich lat XIX w. wszystkie odłamy syjonizmu były zdania, że Żydzi w Europie stoją na progu katastrofy. II wojna światowa przyspieszyła im rację. Zwycięstwo z lat 1948-1949 przypieczętowało pół wieku upartych przygotowań pod kierownictwem ruchu robotniczego, pozostającego u władzy od początku lat 30. XX w.

Czerwiec 1967 r. był jak uderzenie pioruna; jak go zinterpretować i co z nim zrobić? Czy był to owoc błędnych obliczeń Egipcjan, który należało wykorzystać dla zawarcia pokoju, używając podbitych terenów jako waluty wymiennej, czy wręcz przeciwnie, logiczna konsekwencja wojny o niepodległość? Czy należało w nim widzieć okazję do kontynuowania dzieła niedokończonego w 1949 r., czy przeciwnie, ogłosić wobec świata arabskiego, że syjonizm osiągnął swoje cele w ramach zawieszenia broni z 1949 r. i podbój połączony z kolonizacją, będący egzystencjalną koniecznością do chwili stworzenia państwa, teraz już nią nie jest? Żydzi mieli dach nad głową i mogli stać się narodem podobnym do pozostałych.

By przyjąć tę prawdziwie rewolucyjną zasadę i uznać „zieloną linię” z 1967 r. za definitywną granicę terytorium Izraela, lewica musiałaby być motywowana przez wartości uniwersalne, a nie tylko kulturowy i polityczny partykularizm nacjonalizmu. A na taką postawę politycznych elit ruchu, z kilkoma rzadkimi wyjątkami, nie było stać.

Tych kilkoro intelektualistów, którzy próbowali zaangażować się w politykę po 1977 r., by odbudować partię na nowych podstawach, zmuszono do dymisji, albo sami wycofali się po pierwszej wojnie w Libanie (1982 r.). Liderzy ruchu nie interweniowali. Zadowalali się podążaniem drogą wyznaczoną przez ideologów lewicy z pierwszej połowy XIX w., Aharona Davida Gordona i Berla Katznelsona.

Debata, która toczyła się w lewicowych rządach w latach 1967-1977, i na nowo w latach 90., nigdy nie miała na celu rewizji starej doktryny zdobywania ziemi ani konieczności zabezpieczenia przyszłości kraju, ani też historycznych praw Żydów do ziemi Izraela, ale koncentrowała się na kwestii naturalnych praw każdego narodu do stanowienia o swoim losie. Jedynym przedmiotem dyskusji był – i jest do tej pory – najlepszy sposób wykorzystania sytuacji zrodzonej z arabskiej słabości.

Zasada, zgodnie z którą dane terytorium można opuścić jedynie pod naciskiem przeważających sił wroga, nadal obowiązuje. To za kolejnych rządów lewicy, w latach 1967-1977, rozpoczęła się kolonizacja, wraz ze swoimi nadal stosowanymi metodami: ziemię konfiskuje się pod byle pretekstem, nagina się i omija prawo, z nierównego traktowania Żydów i Arabów czyni się normę. Pomimo porozumień z Oslo nic się właściwie nie zmieniło, gdy lewica wróciła do władzy w latach 1992-1996 i 1999-2001. Wręcz przeciwnie: jej przedstawiciele robią wszystko, by nie narazić się na gniew kolonistów i prawicy zgodnie sprzeciwiających się „zdradzie”, jaką w ich oczach było uznanie

prawa Arabów do części Palestyny na zachodnim brzegu Jordanu. A jedynym sposobem na powstrzymanie ich rewoły jest ułatwianie dalszego zagarniania ziemi.

Moralnie i intelektualnie niezdolna do powstrzymania kolonizacji, lewica zdołała mimo wszystko zapoczątkować zmianę kursu dzięki porozumieniom z Oslo. Ich izraelski sygnatariusz, premier Icchak Rabin, zwycięzca z czerwca 1967 r., zamordowany w 1995 r. przez fanatycznego nacjonalistę, był jedynym politykiem ostatniego półwiecza, który spoglądał dalej, niż sięgała perspektywa jego otoczenia. Ale i on potrzebował 20 lat i roku 1982 w Libanie, by zrozumieć, że wojna izraelsko-palestyńska zakończy się dopiero wtedy, gdy obydwie narody zgodzą się wzajemnie uznać swoje prawa.

Za uzyskanie tej świadomości Rabin zapłacił życiem. Żle pomyślane i źle wprowadzane w życie porozumienia z Oslo ocalałyby być może jego obecność; był człowiekiem zbyt inteligentnym i zbyt praktycznym, by bez końca odwoływać się do argumentu-maczugi: prawa własności sprzed 3 tys. lat, zapisanego w pierwszej wielkiej księdze ludzkości.

Biblią po głowie, czyli triumf nielegalnej kolonizacji

„Obama, niech pan zajrzy do Biblii” – woła raz jeszcze weteran izraelskiego dziennikarstwa, Joel Markus, od półwiecza związany z prawym skrzydłem Partii Pracy [2]. W obliczu amerykańskiej polityki, teraz mniej wyrozumiałej w stosunku do konfliktogennej kolonizacji, obecny minister obrony Ehud Barak i jego otoczenie nadal nie znajdują podstaw, żeby sprzeciwić się kolonistom – nawet jeśli próbują, czasem z powodzeniem, likwidować pomniejsze „dzikie” implantacje. Natychmiast cofają się wobec gróźb wojny domowej, które powracają za każdym razem, gdy ktoś ośmieli się proponować rezygnację z dalszej ekspansji. Pozostaje im tylko zastanawianie się wymogami międzynarodowej polityki, innymi słowy – naciskami ze strony Stanów Zjednoczonych.

Izraelska lewica ceni prezydenta George’a W. Busha i jego neokonserwatywnych ideologów na równi z ewangelistami z Alabamy i kolonistami z Cisjordanii. Dlatego też wyborcza klęska z 2009 r. nie jest katastrofą polityczną, ale moralną i intelektualną. Wyborcy lewicy zrozumieć, że, wobec braku jakiegokolwiek nowej idei, partia straciła rację bytu. Jeśli bowiem nie ma ona do zaoferowania nic poza stosowaniem siły i odwoływaniem się do historii, po co inwestować w bladą kopię, jeśli można zafundować sobie oryginał w osobie Benjamina Netanjahu. Ehud Barak, który szykował się do zbierania owoców swojego „zwycięstwa” po operacji w Gazie ostatniej zimy, zapłacił za ten wybór.

Narodowy pseudosocjalizm Partii Pracy

Podobnie mają się sprawy z drugim obszarem ideologicznej pustki: polityką gospodarczą i społeczną. W rzeczywistości Partia Pracy, jak dawna Mapai, założona w 1930 r. [3], nigdy nie była partią socjalistyczną porównywalną ze swoimi europejskimi „siostrami”. Pierwszeństwo, przyznane imperatywom narodowym już w momencie jej założenia, uczyniło z niej dość specyficzną formację, zasadniczo różną nie tylko od partii Leona Bluma, Rudolfa Hilferdinga [4] i austro-marksistów w rodzaju Otto Bauera,

ale nawet od brytyjskiej Partii Pracy, która w 1931 r. rozpoczęła zwrot w kierunku socjalizmu.

Mapai była zawsze wroga marksizmowi, nawet w najbardziej łagodnej wersji. Kapitalizm i własność prywatną oceniała wyłącznie z perspektywy ich państwowotwórczej przydatności. Wzorem dla Baraka, podobnie jak dla jego poprzednika Szymona Peresa, pozostaje Tony Blair, którego amerykańscy neokonserwatyści traktują jak swego [5]. Liderzy Partii Pracy z zaskakującą łatwością nawrócili się na neoliberalizm, oparty na przekonaniu, że wolny rynek gwarantuje wolność indywidualną. Jego fundamentalnym celem jest wyzwolenie kapitału z ograniczeń, jakie nakłada nań państwo.

Naturalnie nie wszyscy działacze partii akceptują teoretyczne zasady neoliberalizmu. Większość jednak w praktyce je przyjmuje. Z niewielkimi wyjątkami, partia nie zalicza sprawiedliwości społecznej do fundamentalnych czynników decydujących o wolności. W istocie cała lewica uczestniczy w zbieraniu zgniłych owoców absolutnego prymatu wartości narodowych, od zawsze wpisanego w izraelską kulturę polityczną; od trzech pokoleń Izraelczycy są uczeni, że tożsamość narodowa i kulturowa jest zawsze ważniejsza od materialnych potrzeb i interesów ludności.

Społeczeństwo Izraela nie jako pierwsze doświadcza zjawiska, którego wagi dla współczesnej historii nie sposób przecenić: różne grupy społeczne w imię wartości narodowych, kulturowych i religijnych głoszą wbrew swoim interesom ekonomicznym i klasowym [6]. W tym przypadku chodzi o normę narzuconą przez samych założycieli na podstawie tego, co łączy wszystkich zdobywców Ziemi Izraela, jaki by nie był ich społeczny status: ich historii, ich religii oraz ich nadrzędnego celu politycznego, narodowego państwa żydowskiego.

Gdy raz odsunie się interesy klasowe na drugi plan w imię jedności narodowej, cóż prostsze, niż przekonać tych, którzy znajdują się na ostatnich szczeblach społecznej drabiny, że jakkolwiek poprawa poziomu ich życia zależy koniecznie od wolnego rynku, prywatyzacji i deregulacji, nie mówiąc już o obniżeniu podatku dochodowego? Większość Izraelczyków udało się przekonać, że praca jest towarem takim jak inne, a „elastyczność” – ostateczną tajemnicą sukcesu.

Neoliberalizm i szowinizm bez alternatyw

tłum. Agata Łukomska

Wobec tych klasycznych idei neoliberalizmu na jaw wychodzi bezsilność ruchu pracowniczego. Niezdolny do całościowej krytyki rynkowego kapitalizmu, zwraca się do starego i obojętnego ideologicznie elektoratu, który głosuje raczej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Grupa ta topnieje z upływem czasu; w lutym 2009 r. obejmowała już tylko 10% głosujących, reprezentowanych przez 13 deputowanych. Młodzi uciekli z partii. Palestyńczycy, a także Chińczycy i Tajlandczycy od dawna stopniowo zajmują miejsce pracowników fizycznych, których zrzeszały Histadrut i Mapai. W środowiskach uniwersyteckich lewicowi działacze nie odgrywają żadnej roli.

Peres, pokonany w prawyborach w 2005 r. przez syndykalistę Amira Pereca, zdezerterował, by dołączyć do Kadimy. Wielu lewicowych wyborców wyciągnęło stąd wniosek, że jeśli dawny premier mógł po pół wieku w partii

z dnia na dzień przejść do przeciwnego obozu, formacja, którą popierali, zdecydowanie nie ma ani pomysłów, ani celów strategicznych, za którymi warto byłoby głosić, o które warto by walczyć. Mimo to w marcu 2006 r. partia pracownicza dostała jeszcze 15% głosów, a uzyskane w ten sposób 19 miejsc w parlamencie pozwoliło Perecowi otrzymać tekę ministra obrony w rządzie Ehuda Olmerta, następcy zmarłego na wyew Ariela Szarona.

Rzecznik drobnych i średnich kadr, bliski środowisku dawnego ruchu Pokój Teraz, mieszkaniec miasteczka Sderot naprzeciwko Gazy, pochodzący z tych peryferii, do których ruch pracowniczy nigdy nie zdołał przeniknąć, Peres niósł ze sobą nadzieję na socjaldemokratyczną odnowę. W nim mogli się rozpoznać imigranci z Afryki Północnej z lat 50. i ich potomkowie, długo zafascynowani wielkimi postaciami nacjonalistycznej prawicy, od Menahema Begina po Ariela Szarona.

Gdy premier Ehud Olmert odmówił mu ministerstwa finansów, teki kluczowej dla prowadzenia polityki gospodarczej o choćby względnie lewicowym charakterze, Peres przyjął resort obrony. Druga wojna w Libanie zakończyła jego ministrowanie kilka tygodni później. Ehud Barak, który w międzyczasie został sprawnym człowiekiem interesu, polityk o wiele lepiej czujący się w salonach północnej części Tel-Awihu niż w biednych południowych dzielnicach miasta, nie mówiąc już o prowincjonalnych miasteczkach, zajął jego miejsce.

Tegoroczna klęska Partii Pracy nie jest klęską zupełną. Czy chodzi o porażkę partii kierowanej przez niedawno wzbogaconego wojskowego – wkrótce po „zwycięstwie” w Gazie, którego wielu Izraelczyków się wstydzi – czy o sukces Kadimy, formacji kierowanej przez kobietę, Cipi Livni (a nie jej upartego rywala, byłego generała Szaula Mofaza)? Rośnie liczba oznak dojrzewania ciała wyborczego; zwycięzca politycznej konfrontacji nie musi już automatycznie być najsłabszy.

Pozostaje problem, który dręczy także europejskie partie socjaldemokratyczne: brakuje liderów na wielką skalę. Brak zarazem pomysłów i mężów stanu, którzy mogliby wcielać je w życie, co nie najlepiej wróży na przyszłość. Izraelczycy nie są jedynym narodem, którego to dotyczy, ale w ich przypadku, jak nigdzie indziej, liczy się czas.

[1] Por. Zeev Sternhell, *Aux Origines d'Israël: entre nationalisme et socialisme*, Gallimard, s. 312.

[2] *Haaretz*, 17 lipca 2009 r.

[3] Założona przez Davida Ben Guriona i Goldę Meir Mapai, Partia Robotników Ziemi Izraela pozostawała przy władzy do 1968 r.

[4] Niemiecki socjalista austriackiego pochodzenia.

[5] Zob. jego artykuł w *The Neoconreader* pod redakcją Irwina Stelzera, Nowy Jork, Grove Press, 2004.

[6] Por. na temat tego zjawiska w Stanach: Thomas Franck, *Pourquoi les pauvres votent droite*, Agone, Marsylia 2008.

P
Przeгляд

**NIE ZAPOMNIJ
O PRENUMERACIE!!!**

**TYGODNIK DLA TYCH, KTÓRZY
WIEDZĄ DO CZEGO SŁUŻY ROZUM**



Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru zamówisz w dziale kolportażu wydawcy: tel. (0-22) 635 84 10 w. 120; e-mail: kolportaz@przeгляд-tygodnik.pl

www.przeгляд-tygodnik.pl

* Historyk, autor m.in. *Aux origines d'Israël: entre nationalisme et socialisme*, kolekcja „Folio Histoire”, Gallimard, Paryż 2004.

Koniec „wojny sprawiedliwej”?

Jesteśmy świadkami bardzo osobliwego zjawiska, którego znaczenia nie można lekceważyć. Mam na myśli reinterpretację roli, znaczenia i sensu II wojny światowej 1939-1945. Reinterpretacja ta dokonuje się na kilku płaszczyznach. Jej przykładem na płaszczyźnie politycznej mogą być uroczyste międzynarodowe obchody u stóp pomnika na Westerplatte (patrz: „Le Monde diplomatique”, wrzesień 2009) lub też niedawne gesty polskiego parlamentu, w świetle których momentem wybuchu II wojny światowej stał się dla Polaków nie dzień 1 września 1939, a więc dzień agresji hitlerowskiej na Polskę, lecz dzień 17 września, w którym wschodnią granicę Rzeczypospolitej przekroczyła Armia Czerwona, która zadała ostateczny cios walczącemu państwu.

KRZYSZTOF TEODOR TOEPLITZ*

To polityczne przedstawienie akcentów jest całkowicie przejrzyste w sytuacji, w której Republika Federalna Niemiec stała się głównym filarem zjednoczonej Europy, zaś obalony radziecki komunizm skupił na sobie zarówno obawy, jak i namiętną nienawiść prawicowych rządów w Polsce. Tak czy owak jednak, dzięki takiemu przesunięciu akcentów sama II wojna światowa zaczęła nagle znaczyć coś innego, niż znaczyła jeszcze 20, a już z pewnością 70 lat temu.

Przemalowywanie obrazu przeszłości

Jeszcze ważniejszą niż doraźne reinterpretacje polityczne wydaje się reinterpretacja kulturalna II wojny światowej. Przebiega ona tym razem nie tylko w Polsce lub na wschodzie Europy, lecz także w skali światowej. Powoli, lecz systematycznie podmywa charakter, etos, a w konsekwencji także ideowy i moralny sens tej największej wojny w dziejach ludzkości.

Na proces ten składa się kilka czynników. Należy do nich oczywiście upływ czasu, zmiana generacji nadającej obecnie ton dyskursowi publicznemu, która z pokolenia świadków stała się już drugim pokoleniem, które nie widziało i nie pamięta lat 1939-1945. Należą także współczesne zmiany obyczajowe i związane z nimi nowe postawy kulturalne i estetyczne. Na koniec wreszcie bodźcem postępującej reinterpretacji kulturalnej jest zmiana ideologiczna i światopoglądowa, jaka ogarnęła świat po zerwaniu „żelaznej kurtyny” i zwycięstwie „pax americana” w zimniej wojnie zakończonej z początkiem lat 90. XX w.

Przemalowywanie obrazu przeszłości i nadawanie wydarzeniom historycznym różnych, czasem całkiem sprzecznych z rzeczywistością sensów i znaczeń,

nie jest oczywiście żadną nowością. Żyjemy wśród mnóstwa przekonań i symboli kulturalnych, których aktualne przesłanie i wymowa różnią się diametralnie od ich rzeczywistej treści. Wystarczy choćby porównać konotacje, jakie zawiera dla nas zwrot o „rymskim dostojństwie”, a nawet rzymskim prawie z tym, co o owym dostojństwie i prawie pisze chociażby Gibbon w swoim *Zmierzchu cesarstwa rzymskiego*, albo też – aby nie sięgać tak daleko – rzucić okiem na dzieje filmowego westernu, gatunku artystycznego, który przechowuje dla nas dzisiaj szlachetny amerykański mit założycielski, w rzeczywistości zaś zbudowany został z idealizacji bezlitosnej rzezi dokonanej na kulturze i populacji Indian, pierwotnych mieszkańców Ameryki.

Opór ludów przeciw barbarzyństwu

Obecna rewizja obrazu i legendy II wojny światowej zarówno w polityce, jak i kulturze przebiega jednak w odwrotnym kierunku. Jest to tym razem droga od nadmiernej może idealizacji do brutalnej demaskacji, zabieg mający na celu – świadome lub nie całkiem świadome – pozabawienie niespełna 5 lat krwawego trudu ludzi i narodów ich moralnego, humanistycznego, a w konsekwencji również ideowego sensu.

Zasadnicza bowiem konstrukcja legendy II wojny światowej, narodzona w sposób całkowicie naturalny i spontaniczny zaraz po jej zakończeniu, oparta była na założeniu, że wojna ta była solidarnym oporem narodów przeciw barbarzyńskiemu

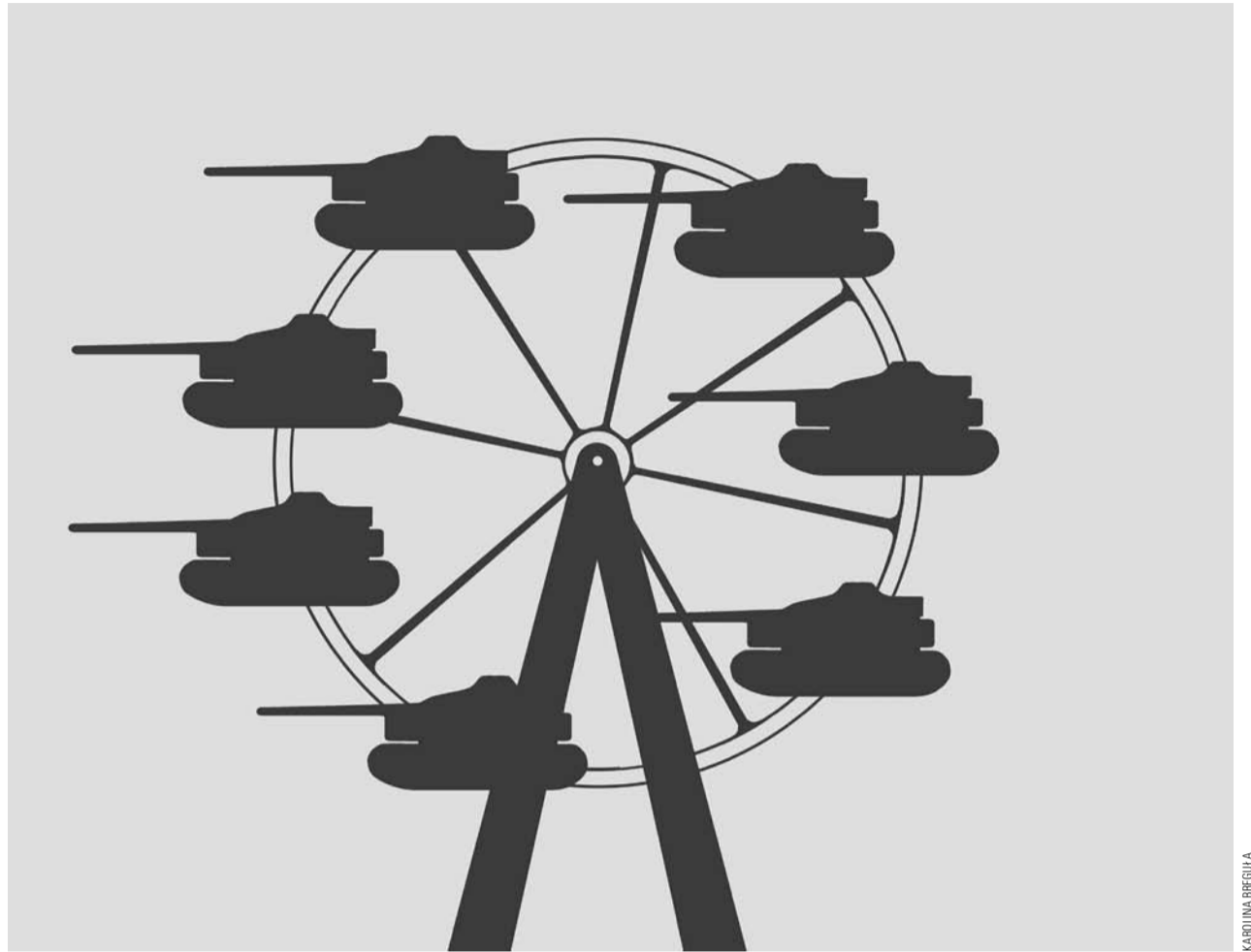
nacjonalizmowi, który eksplodował w hitlerowskich Niemczech i starał się narzucić swoje władztwo reszcie świata. Oczywiście, że owa eksplozja naruszyła panującą dotychczas, a ustaloną przez Traktat Wersalski mapę interesów i wpływów poszczególnych wielkich państw, ale była ona także próbą narzucenia krajom i społeczeństwom podbijanym przez państwa Osi reguł i norm sprzecznych z zasadami humanizmu i wolności. Podstawową regułą nazistowskiej eksplozji był rasizm, zawarty zarówno w hitlerowskiej idei *Herrenvolku*, jak i w postaci antysemityzmu, znajdującego swoje „ostateczne rozwiązanie” w ludobójstwie Holocaustu. Wewnętrzna struktura nazizmu, wdrażana także w samych Niemczech, zakładała również likwidację jednostki ludzkiej jako bytu integralnego, wyposażonego od czasu Wielkiej Rewolucji Francuskiej w niezbywalne prawa, odzierała jednostkę z tych przyrodzonych praw i podporządkowywała ją woli narodu, wyrażanej przez wolę wodza.

Dialektyką minionej wojny było niewątpliwie przeobrażanie się jej charakteru z wojny państw, jaką była jeszcze I wojna światowa i jaką II wojna była na swoim początku, w wojnę narodów i ludów, broniących nie tylko swoich terytoriów, lecz także zasad i wartości. Ten drugi czynnik stał się wraz z rozwojem wydarzeń wojennych, a także z nasilaniem się nazistowskiego terroru coraz donioślejszy, jego wyrazem był we wszystkich podbitych krajach ruch oporu, a więc nie tylko walka armii, lecz także opór społeczeństw. Także kolaboracja z nazizmem traktowana była nie tylko jako zdrada narodowa, ale przede wszystkim jako wyrzeczenie się pryncypiów moralnych i społecznych ukształtowanych w epoce nowoczesnej. Zwłaszcza w państwach kolaborujących z Niemcami, we Francji Vichy, w Czechosłowacji czy Jugosławii, front tej wojny przebiegał więc wewnątrz społeczeństw. Dzielił tych, którzy za różne przelotne polityczne korzyści gotowi byli wyrzec się pryncypiów oświeceniowego humanizmu, akceptować rasizm i autorytarne rządy oraz tych, dla których ideowy sens tej wojny był ważniejszy niż interesy państwowe. Nawet tak zdeklarowany rzecznik brytyjskiego imperializmu, jakim przez całe swoje życie był Winston Churchill, oskarżany był po wojnie przez swoich przeciwników o to, że w ferworze walki naraził i uszczuplił realne interesy Imperium w imię ideowego celu, jakim było dlań zniszczenie nazizmu.

Linia frontu dzieliła społeczeństwa

Jest oczywiste, że sam przebieg działań państw koalicji antyhitlerowskiej nie był wolny od spekulacji politycznych, dążących do nowego podziału świata, czego wyrazem były kolejne konferencje w Teheranie, Jaltcie i Poczdamie. Koalicjanci antyhitlerowscy rozgrywali pomiędzy sobą grę polityczną, często wręcz imperialną, czemu służyły np. zabiegi wokół „drugiego frontu”. Sytuacje te jednak w syntetycznym obrazie II wojny światowej, przedstawianym zaraz po wojnie zarówno przez politykę oraz historię, jak i literaturę, pozostawały w rozsądnej proporcji do heroicznego i motywowanego przez pryncypia moralne wysiłku narodów w walce z faszyzmem, co uważano za rys najważniejszy.

Otóż ten właśnie aspekt minionej wojny najwyraźniej obecnie wyparowuje stopniowo z dyskursu kulturalnego. Działa tu przede wszystkim czynnik czasu. Wojna, z jej dramatai ludzkimi i realistycznym kontekstem historycznym, jaką oglądaliśmy np. w filmach batalistycznych, zarówno bry-



KAROLINA BREGULA

tyjskich, amerykańskich, jak i radzieckich, zamienia się coraz częściej w atrakcyjne tło dla akcji przygodowej. W obecnych filmach wojennych, które ciągle, mimo upływu lat, są gatunkiem żywym, na pierwszy plan w miejsce postaci prostych ludzi, żołnierzy, partyzantów, więźniów obozów koncentracyjnych, a wreszcie postaci tak skomplikowanych moralnie i światopoglądowo, jakie oglądaliśmy np. w filmie „Rzym miasto otwarte” Rosselliniego (1945), pierwszym porachunku z wojną, zjawiają się postaci przygodowych awanturników, zabijających z łatwością i niepodatnych na żadne zagrożenia.

Trzeba przy tym pamiętać, że w ciągu kilkudziesięciu lat, dzielących nas od zakończenia wojny, zmieniła się także sama poetyka filmowa i poszerzyły ogromnie granice swobód obyczajowych, a dwie późniejsze wojny, koreańska i wietnamska, przyczyniły się do rozwoju filmowego okrucieństwa wojennego. W ten sposób tło wojenne, a więc czas, w którym wszystko było możliwe, wykorzystywane jest po prostu jako quasi-realistyczna dekoracja dla efektów zgola zaskakujących, jak np. w pewnym filmie pornograficznym, gdzie zainscenizowana naprędce sceneria hitlerowskiego obozu koncentracyjnego służyła jako pretekst do scen sodomii, jakim poddawane są bezbronne więźniarki obozu, Żydówki. Schematem, wokół którego buduje się obecnie większość opowieści wojennych, nie jest jak dotychczas konfrontacja postaw moralnych czy ideowych, lecz walka „bad guys” i „good guys”, różniących się mundurami, lecz znacznie mniej motywacjami moralnymi czy ideowymi.

Poza dylematami moralnymi

Mówię tu o filmie jako obszarze najłatwiejszym do zidentyfikowania, ale impuls wojenny stał również w źródle powojennej refleksji literackiej, rozciągającej się na ogromnym obszarze, począwszy od relacji dokumentalnych czy quasi-dokumentalnych, poprzez próby rozległej epiki, aż po gorzkie refleksje dotyczące ludzkiego losu, jak np. w wojennych minidramatach Tadeusza Różewicza. Porażające rozmiary ludobójstwa, ujawniające także skrywane dotąd ciemne strony ludzkiej duszy, znalazły wyraz w słynnym powiedzeniu, że „po Oświęcimiu poezja jest już niemożliwa”. Filozoficzną reakcją na wojenną degradację jednostki ludzkiej stał się powojenny egzystencjalizm, w ramach którego jednostka nie tylko odzyskuje swoją godność, lecz także staje się miarą sama dla siebie.

Otóż wszystkie te kierunki myślenia obecnie słabną i miniona wojna coraz rzadziej jawi się jako poligon dylematów ideowych

i moralnych, co zauważają także krytycy badający literaturę Holocaustu.

Nie jest prawdą, że opisane wyżej zjawisko wytrawiania obrazu i legendy II wojny światowej z jej treści ideowych i moralnych jest jedynie dziełem nacierającej komercyjnej tandety, obrazem symplifikacji gustów dominującej popkultury, mimo że tak również dzieje się w skali masowej.

Littell czyli literatura cynicznej szczerości

Nastawienie to jednak nie omija także dzieł wybitnych, które w nieporównanie doskonały sposób wyrażają w istocie tę samą tendencję i ten sam nastrój społeczny. Przykładem tego, nie jednym oczywiście, jest chociażby powieść *Laskawe* (*Les Bienveillantes*) – napisana po francusku książka młodego amerykańskiego autora, urodzonego w 1967 r. Johnatana Littella, nagrodzona w 2006 r. prestiżową nagrodą Goncourtów przeznaczoną dla literatury z najwyższej półki. *Laskawe* połączyły zalety literackie i narracyjne z niezwykle sukcesem komercyjnym. Nakład tej książki, łącznie z wydaniem polskim, osiągnął na świecie kilka milionów egzemplarzy, a jej popularność wydaje się najśliszszą w Niemczech. „Żadne streszczenie nie odda jej sprawiedliwości” – pisze *Die Zeit*, „arcydziełem” zaś nazywa tę powieść *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

Chwytem, dzięki któremu Littell od pierwszych zdań opowieści liczącej 1009 stron pozyskuje i więzi czytelnika, jest cyniczna szczerość. Jego opowiadana w pierwszej osobie historia jest zapisem młodego człowieka, oficera SS i doktora filozofii Maksymiliana Aue, który w ciągu 5 lat wojennych uczestniczył w „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, a więc służył w formacjach SD, które, posuwając się tuż za frontem, likwidowały Żydów jako rzekome zagrożenie dla wojsk walczących na froncie. Dzieje się tak przede wszystkim na froncie wschodnim, w Polsce, w Rosji i na Ukrainie. Aue nie omija żadnych miejsc słynnych jako miejsca masowych mordów, takich jak Babi Jar na Ukrainie, a także Bełżec czy Sobibór. Aue awansuje – dostaje się do kancelarii Reichsführera SS Himmlera i z tego tytułu inspekcjonuje także Oświęcim.

Mordowanie Żydów, w tym kobiet i dzieci, nie jest jego pasją, stara się tego unikać, niekiedy tylko dobija ofiary niedokładnie zastrzelone na krawędzi wielkich zbiorowych mogił. W ostatnich etapach wojny w wyniku porozumień pomiędzy Himmlerem a Speerem, szefem gospodarki hitlerowskiej, domagającym się rąk do pracy w przemyśle, Aue stara się też rozwiązać kwadraturę ko-

ła, jaką jest możliwe ostateczne wyeksploatowanie sił fizycznych więźniów obozów koncentracyjnych, głodzonych i katowanych przez strażników, bez zwiększania im racji żywnościowych.

Aue jest narodowym socjalistą, uważa swoje działanie za działalność ideową, podobnie jak grupa zaprzyjaźnionych z nim wykonawców ludobójstwa. Potępia on wyuzdanie okrucieństwo wobec zabijanych ofiar, uważa je za eksces zdemoralizowanej tłuszczy, samo zabijanie jednak uważa za konieczność, którą należy wykonać dokładnie i beznamiętnie.

Psychoanaliza zamiast analizy systemu

Littell jest niewątpliwie pod wrażeniem sformułowanej przez Hannę Arendt z okazji procesu Eichmanna tezy o „banalności zła”. Łączy w swojej książce straszliwe sceny Holocaustu z biurokratyczną działalnością bohatera na szczytach hitlerowskiej administracji, organizującej zagładę, gdzie wprowadza dobrze udokumentowane postaci Himmlera, Katlenbrunnera, Eichmanna, Speera, Hössa i innych. Przez moment pojawia się też sam Hitler. Jest w tym iluzja autentyczności, potęgująca uwagę czytelnika. Przyjmuje on również, a nawet generalizuje poczynione już wcześniej spostrzeżenie, że organizatorzy nazistowskich zbrodni byli równocześnie początkowymi mieszczanami, ojcami rodzin, miłośnikami muzyki. Ten wątek zresztą urasta u Littella do rozmiarów ogromnych, sam bohater cytując z pamięci rzymskich historyków, swobodnie surfuje po obszarach filozofii i znajduje wśród swoich kompanów z SS równorzędnych rozmówców. Rysując portret elity nazizmu, nie zauważa, że mimo wszystko jej korzenie tkwią nie w Niemczech Tomasza Manna, lecz w subkulturze lumpenproletariatu, gdzie bohaterem narodowym mógł być sułtany Horst Wessel, a filozofem reżimu szarlatan Rosenberg i gdzie nie bez znaczenia były autorskie frustracje niezdolnych artystów, takich jak Goebbels czy Hitler.

Laskawe są bez wątpienia oskarżeniem nazizmu i zbrodni Holocaustu, Littell pochodzący z rodziny żydowskiej jest pod tym względem poza wszelkim podejrzeniem. Jego bohater wyznaje, że uważa się obiektywnie za zbrodniarza, mimo że unika kary i dożywa jako francuski producent koronek.

Jednakże, przyjmując zasadę „banalności zła”, Littell doszukuje się zła w swoim bohaterze nie tylko jako w elemencie systemu, lecz także w jego własnej naturze. Aue jest homoseksualistą, a właściwie biseksem, jego zaś jedyną prawdziwą miłością jest kazirodca miłość do siostry. Stres masowego mordowania odrađowuje dolegliwościami gastrycznymi, a także momentami utraty

* Dziennikarz, eseista, felietonista i scenarzysta filmowy.

świadomości. W jednym z takich momentów, jak sugeruje autor, zabija swoją zniechęconą matkę i ojczyznę. Nie pamięta tego czynu. Bohater z inteligentną uwagą obserwuje na samym sobie degradację człowieka, niepokoi go to momentami, traktuje to jednak jako przykre doświadczenie psychologiczne, osobniczy objaw kliniczny, podlegający leczeniu.

Ta warstwa psychoanalityczna, zgodna z duchem czasu, odsuwa jakby na dalszy plan istotę jego zbrodniczych działań, odsuwa ją także codzienne życie bohatera w okresach, kiedy jako urzędnik SS przebywa w Berlinie. Wiedzie tu bowiem życie dobrze opłacanego młodego samotnego człowieka, spędzane bądź to na wyszukanych, głównie francuskich lekturach, bądź to w dobrych restauracjach i ekskluzywnych klubach dla elity władzy. Z tej też perspektywy wojna w *Laskowych* staje się grą, o której szansach i zwrotach dyskutuje się w gronie zaufanych. Straszliwe sceny ludobójstwa stają się przykrym interludium, a z masy mordowanych Żydów, do której bohater nie odczuwa nienawiści, lecz raczej obrzydzenie, nie wyłania się żaden sens, mogący sugerować konfrontację postaw, która była przedmiotem tej wojny. Masy ludzi – nie tylko Żydów, lecz także Niemców – które były prawdziwym podmiotem tej wojny, prezentują się w tym zestawieniu jako brudna i nieciekawa tłuszcza, doświadczająca cierpienia, lecz znajdująca się poza obrębem świata, który może być ciekawy.

Naziści jako wychowawcy własnych wrogów

W pewnym fragmencie książki Thomas, przyjaciel bohatera i równie wyróżniający się SS-man, którego Aue zresztą zabija w finale opowieści, aby zabrać mu strój i papiery więźnia pozwalające po klęsce przedostać się do Francji, mówi:

„W Kijowie mówiłeś, że zabijanie Żydów to marnotrawstwo. No więc właśnie marnotrawiąc ich życie (...) nauczyliśmy ich oddawania, nauczyliśmy ich wojny. A dowodem, że to działa, że Żydzi zaczynają wyciągać wnioski z tej nauki, jest Warszawa, jest Treblinka, Sobibór, Białystok – to Żydzi, którzy stają się wojownikami, którzy stają się okrutni, którzy także sta-

ją się zabójcami. Uważam, że to coś pięknego. Stworzyliśmy sobie godnego wroga. Żółta gwiazda nabiera wartości”.

Pomijając dezynwolturę tego rozumowania, wygląda to na zdanie, które mógł przeczytać Quentin Tarantino, urodzony w roku 1963 autor *Pulp Fiction* (1994), jeden z najbardziej kreatywnych, a przy tym inteligentnych i niekonwencjonalnych twórców współczesnego kina. Na tym bowiem założeniu oparty jest jego najnowszy film *Bękarty wojny*.

Znowu chodzi mi tu o wskazanie na dzieło wybitne, choć oparte na innej niż *Laskowe*, komediowej aż do granic nadrealizmu konwencji. *Bękarty wojny* odnoszą się jednak do tej samej reinterpretacji minionej wojny. Tarantino jest wielbicielem kina, kocha je, wielokrotnie powtarzał, że jego ideałem kinowości są B-pictures lat 70. XX w. Opowiadając o niemieckim i francuskim kinie okresu wojny, bo w kinie i wokół kina toczy się większa część *Bękartów wojny*, wykazuje nie mniejszą wiedzę niż Littell. Maluje elitę hitlerowskiej władzy oraz miejsca i okoliczności Zagłady. Obaj ci ludzie urodzeni w latach 60. opowiadają o wojnie „z drugiej ręki”, ale nie są ignorantami. Wiedzą o opisywanej rzeczywistości niemal wszystko, ale czytają w tych faktach inny sens, niż widziało go pokolenie wojenne. Tarantino rozpoczyna swój film od dramatycznej sceny zdemaskowania ukrywającej się na francuskiej wsi rodziny żydowskiej. Potem przenosi nas do Ameryki, gdzie formuje się siedmioosobowy oddział komandosów, złożony z gotowych na wszystko młodych Żydów, który następnie zostaje zrzucony na teren okupowanej Francji. Są to właśnie „nowi Żydzi”, o których bajdurzy w *Laskowych* Thomas, zaś schemat fabularny nawiązuje wyraźnie do słynnej *Parszywej dwunastki* z Lee Marvinem czy *Złota dla zuchwałych* – brawurowych produkcji, wykorzystujących scenę wojenną jako teren pasjonującej przygody.

Wojna gangów

Żydzi z oddziału Tarantino przewyższają brawurą i okrucieństwem swoich filmowych poprzedników, a ich dowódca (Brad Pitt), z pochodzenia Indianin, zobowiązuje ich do zdzierania skalpów z głowy każdego zabi-

tego hitlerowca. Film – powtarzam – jest doskonały jako opowiadanie z niezwykłą inteligencją zawieszone między rzeczywistością a fantazją, tragedią, zjadliwą satyrą i komedią buffo. Nie przemawia do mnie ani wysuwany zarzut nadmiernego okrucieństwa, ani też zarzut „profanacji”, jaką ma być pokazanie walczących z hitlerowcami Żydów jako bezlitosnych morderców. Uderza natomiast omawiana tu technika przemodelowania wojny w swobodne pole do wszelkich możliwości narracyjnych. Fakt hitlerowskiego ludobójstwa jest niepodważalny, a więc nasi bohaterowie zyskują równie niewątpliwą moralną legitymację dla swoich działań. Reszta zaś jest już terenem całkowitej dowolności, może to być także wojna jako walka gangów.

Na koniec więc wypada zadać pytanie, dlaczego owa rzeczywistość sprzed lat 70. podlega takiej transformacji i na czym polega jej szkodliwość?

Nie sposób ukryć, że wiele motywów wojennych, związanych ze szlachetną walką dobra ze złem, albo też z okrucieństwem bezprawia, które eksploatowane były w okresie powojennym, uległo wyczerpaniu i banalizacji, dotyczy to także motywów Zagłady.

Paradoksalny wehikuł postępu

Nie tu jednak przede wszystkim szukać należy źródeł obecnej odmiany, lecz po stronie światopoglądowej i politycznej. Nie można bowiem zaprzeczyć, że zarówno w trakcie tej wojny, rozumianej jako „wojna sprawiedliwa”, a także w jej wyniku, zmienił się etos polityczny Europy i świata. W armiach znaleźli się prości ludzie, oddający życie za wolność innych także wówczas, gdy jak w wypadku armii amerykańskiej np. terror hitlerowski nie zagrażał ich domom. W ruchu oporu, po krótkim okresie dezorientacji spowodowanym przez pakt Ribbentrop-Mołotow, wiodącą rolę w wielu krajach – we Francji i we Włoszech, a także w Grecji czy Jugosławii – objęli komuniści, których powojenna pozycja na skutek tego wzrosła niepomniernie. Wraz z tym nasilił się w krajach Zachodu emancypacyjny ruch klasy robotniczej i bez tej wojny niemożliwy byłby powojenny „welfare state”, państwo opiekuńcze. Holocaust na długie lata obnażył też i skompromitował

prawdziwe oblicze antysemityzmu, uczynił go postawą kompromitującą moralnie i intelektualnie i dopiero po wielu latach mamy obecnie do czynienia z jego nowymi odrostami. Odrzucenie antysemityzmu jako postawy prowadzącej do zbrodni nie pozostało bez wpływu na inne objawy rasizmu, także na skierowany przeciwko czarnym rasizm amerykański, co doprowadziło do niemal pełnej dziś emancypacji Afroamerykanów. Uruchamiając rezerwy ludzkie krajów kolonialnych, takie jak Indie, wojna dała początek dekolonizacji, za co właśnie krytykowany był Churchill. Umocniły się we wszelkich formach prawa człowieka, w tym prawa kobiet. Jak po każdej wojnie wreszcie, nastrojem, który opanował większą część ludzkości, stało się masowe nastawienie antywojenne, które stworzyło grunt dla rozwiązań integracyjnych, takich jak np. alians niemiecko-francuski, od którego wzięła początek zjednoczona Europa.

Oczywiście, z biegiem lat nastroje te zaczęły słabnąć i komplikować się. W ZSRR Stalin, przewidujący podniesienie się nastrojów demokratycznych w społeczeństwie radzieckim, spowodowane wojną, wzmógł wewnętrzny terror i z chęcią uchwycił się formuły „zimnej wojny” między Wschodem a Zachodem. Jednakże nawet „zimna wojna”, także na skutek doświadczeń II wojny światowej, mimo Korei i Wietnamu, nie stała się nigdy światową wojną „gorącą”.

Można by długo wymieniać podobne, mniej lub bardziej bezpośrednie skutki tego wielkiego i bolesnego doświadczenia, jakim była II wojna światowa. Wynika z nich niewątpliwie wniosek, że ich suma składa się na obraz postępowy zarówno historycznie, jak i społecznie. Obraz ten, mimo rozmaitych zakrętów historii politycznej, przez długie lata, zapewne do schyłku lat 70. XX w., uchodził za jeden z fundamentów ładu światowego, niekwestionowany wspólny mianownik, wyznaczający jako wspólne doświadczenie dalszy bieg historii.

Wojny bez sensu i alternatywy

Trudno dokładnie wskazać, kiedy ten wspólny mianownik przestał być kryterium obowiązującym. Być może stało się to w momencie, kiedy administracja amerykańska

ustaliła nowy kurs, zmierzający do ostatecznego rozstrzygnięcia „zimnej wojny” przez ekonomiczne pokonanie „imperium zła”. Być może zdecydował tu również zwrot w stronę neoliberalizmu, który naturalnym biegiem rzeczy musiał zakwestionować kluczową pozycję klas pracujących. W legendzie II wojny światowej zaznaczyły się one jako obrońca wartości demokratycznych. Być może wchodziły tu także w grę inne, nie dość dokładnie rozpoznane czynniki, tak czy owak jednak stało się oczywiste, że świat współczesny nie zamierza podążać nadal śladami testamentu, jaki zarówno w sferze społecznej, jak i w zakresie stosunków międzynarodowych odczytywano dotąd jako dziedzictwo II wojny światowej. Znaleźliśmy się nagle w czasach nowych wojen kolonialnych, a także stopniowej likwidacji przez dominujący system neoliberalny zdobyczy społecznych, wywalczonych przez klasy pracujące.

Również sama natura wojny jako takiej podlega obecnie obszernej rewizji. Edwin Bendyk rejestruje te poglądy w swojej książce *Miłość, wojna, rewolucja*. W coraz większej liczbie publikacji i analiz naukowych wojna rysuje się jako stały i nie dający się wyeliminować składnik życia społecznego, zaś idea świata bez wojen, która podnosi się po każdej kolejnej rzezi, jest utopią. Czynniki sprawczymi wojen są przy tym nie tylko konflikty ekonomiczne czy ideologiczne, lecz także, w myśl tych teorii, czynniki psychologiczne, włącznie z impulsami erotycznymi. Pośród typologii wojen tzw. „wojna sprawiedliwa”, za jaką uważano dotąd II wojnę światową, zajmuje obecnie poślednie miejsce. Częściej dominuje obraz wojny jako absurdu, zbrodniczego, ale nie dającego się wyeliminować spazmu historii. Nie trzeba oczywiście dodawać, jak przy takich złożeniach łatwo jest usprawiedliwić także obecne wojny kolonialne, takie jak wojna w Iraku i w Afganistanie, albo też wojny i rzezie plemienne, które rozerwały dawną Jugosławię. Dla obecnego systemu świata znacznie bowiem wygodniejszą jest wojna traktowana jako gra kombinacji politycznych, albo wręcz jako irracjonalny spazm historii, wywołany przez ludzkie namiętności i dający pole do popisu najbardziej wyszukany i zdeformowany instynktom, niż obraz II wojny światowej jako obrony wartości, które i dzisiaj są zagrożone.



Europa nie ma projektu dla Bałkanów

W czerwcu 2003 r. uczestnicy szczytu w Salonikach stwierdzili, że „powołaniem” wszystkich państw bałkańskich jest dołączenie do Unii Europejskiej. Sześć lat później proces rozszerzenia utknął w martwym punkcie nie tylko z powodu kryzysu instytucjonalnego Unii, lecz także ze względu na kryzys światowej gospodarki. Tym samym, zważywszy na fakt, że od 10 lat integracja przedstawiana jest jako jedyna możliwa perspektywa polityczna tych państw, znalazły się one w niebezpiecznym zaułku.

JEAN-ARNAULT DÉRENS*

Podczas szczytu Unii Europejskiej w Salonikach, który odbył się w dniach 19-21 czerwca 2003 r., pojawiło się nowe wyrażenie geograficzne: „Bałkany Zachodnie”. Odpowiadało ono enigmatycznej formule algebricznej „6-1+1”, określającej sześć państw byłej Jugosławii, wyjąwszy Słowenię, będącą już od 2004 r. członkiem Unii Europejskiej, a dodawszy Albanię. „Bałkany Zachodnie” odróżniono tym samym od Rumunii i Bułgarii, mających w perspektywie szybszą integrację z Unią Europejską – integrację, która doszła do skutku 1 stycznia 2007 r.

Chorwacja, Bośnia i Hercegowina, Serbia, Czarnogóra, Macedonia i Albania otrzymały w ten sposób własną, odrębną salę w europejskiej poczekalni. W międzyczasie doszło do powstania nowego państwa, Kosowa, które jednak nadal nie zostało uznane przez 5 państw członkowskich UE (Hiszpanię, Słowację, Rumunię, Grecję i Cypr).

Zasady określone w Salonikach były jasne: w zamian za przyszłą integrację, państwa, o których mowa, miały przeprowadzić szereg poważnych reform, by móc spełnić „kryteria konwergencji”, przede wszystkim w takich dziedzinach, jak zasady działania instytucji, państwo prawa, walka z korupcją i zorganizowaną przestępczością, przestrzeganie zasad demokracji i praw człowieka. Miały ponadto dążyć do dalszej liberalizacji gospodarki i pełnego otwarcia na konkurencję.

* Redaktor naczelny *Courrier des Balkans*. Opublikował niedawno *Bazars ottomans des Balkans*, Non Lieu, Paryż 2009 (we współpracy z Laurentem Geslinem i Marylise Ortiz).

Zgodnie z kolejną zasadą, sytuacja każdego państwa miała być badana indywidualnie, przypadek po przypadku, prawo zaś do oceny postępów „aspirantów na unijnych kandydatów” przysługiwało wyłącznie brukselskiej Komisji. Każde państwo ma zatem odrębny harmonogram, z realizacji którego rozlicza go właśnie Komisja w corocznym raporcie oceniającym. Po „wielkim rozszerzeniu” z 2004 r., które objęło 10 państw [1], ostatnim „grupowym przystąpieniem” było wejście do UE Rumunii i Bułgarii.

Jeszcze na początku tego tysiąclecia dało się odczuć pewien optymizm. Wydawało się, że Bałkany zamknęły już definitywnie okres wojen, w styczniu 2000 r. Chorwacja opowiedziała się za demokracją, a w październiku tego samego roku Serbia obaliła reżim Slobodana Miloszevicia. Oczywiście, nie wszystkie problemy zniknęły – wystarczy wspomnieć o Kosowie, od czerwca 1999 r. mającym status protektoratu administrowanego przez ONZ, czy Bośni, niezdolnej do funkcjonowania jako państwo i do przeprowadzenia reform. Niemniej jednak nastąpił czas demokracji i odbudowy – niektórzy przywódcy europejscy mówili już nawet o „debalkanizacji Bałkanów”.

Z jednej strony przystąpienie do Unii wydawało się „naturalną” perspektywą dla tych państw, z drugiej – Unia angażowała się w nie w coraz większym stopniu: politycznie, gospodarczo, a nawet wojskowo, jak choćby w Bośni i Hercegowinie, gdzie misję Sił Stabilizacyjnych NATO (SFOR) zastąpiły w grudniu 2004 r. Siły Unii Europejskiej (EUFOR). Europejska Agencja Odbudowy (AER) odegrała kluczową rolę w Bośni i Hercegowinie oraz w Kosowie, pojawiała się również wiele dwustronnych

i wielostronnych inicjatyw o charakterze pomocowym. Wszystkie te działania wpisywały się w ramy Paktu Stabilizacji dla Europy Południowo-Wschodniej, który wszedł w życie 30 czerwca 1999 r., kilka tygodni po zakończeniu wojny w Kosowie [2].

Interwencje te, niebotycznie kosztowne, wiązały się ściśle z perspektywą integracji, której pierwszy etap stanowiły Układy o stabilizacji i stowarzyszeniu, zawarte z wszystkimi państwami regionu. Ów proces jest obecnie zablokowany. Szczególny żal ma o to Chorwacja: odgrywała ona rolę „najlepszego ucznia w klasie” i długo sądziła, że może liczyć na szybsze wejście do UE.

Oficjalny status unijnego kandydata Chorwacja ma od 2004 r., a negocjacje zostały otwarte w październiku 2005 r. Od 17 grudnia 2008 r. nic się jednak nie dzieje w tym względzie. Powodem jest weto Słowenii, które uniemożliwia Zagrzebiowi zakończenie negocjacji „technicznych” z Brukselą do grudnia 2009 r. Za wszystkim zaś stoi mikroskopijny zatarg terytorialny, który dzieli oba państwa od uzyskania przez nie niepodległości w 1991 r. [3] Konflikt ten dotyczy wytyczenia granic morskich w Zatoce Pirańskiej. Do Słowenii należy wąski, 37-kilometrowy pas wybrzeża, sięgający w głąb Adriatyku, wciśnięty między wody terytorialne włoskie i chorwackie. Przez lekkie przesunięcie granicy lądowej, czego domaga się Słowenia, zgodnie z Konwencją Narodów Zjednoczonych o prawie morza z Montego Bay, państwo to uzyskałoby bezpośredni dostęp do wód międzynarodowych [4]. W 1996 r. wypracowano w tej kwestii porozumienie, które w 2001 r. zatwierdził słoweński parlament, Chorwacja jednak odrzuciła. Od tamtej pory w spornej strefie raz po raz dochodzi do różnych incydentów. Dla obu stron sprawa ta stała się kluczową kwestią polityki wewnętrznej, okazją do potwierdzenia dumy i tożsamości narodowej.

Po słoweńskim weto Komisja Europejska próbowała doprowadzić do negocjacji. W styczniu 2009 r. zaproponowała utworzenie komisji arbitrażowej, której przewodniczyliby były prezydent Finlandii, zdobywca pokojowej nagrody Nobla w 2008 r., Martti

Ahtisaari. Ów niebawem wycofał się z zadania i 26 czerwca Unia postanowiła odłożyć rozmowy o integracji z Chorwacją *sine die* – stwierdziła, że konflikt powinien być rozstrzygnięty na zasadzie „dwustronnej regulacji”. Chorwacja liczyła już tylko na międzynarodowy arbitraż i prawdopodobnie wniesie sprawę przed Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości (MTS) w Hadze. Przełom nastąpił dopiero 11 września, gdy premierom obu krajów udało się podpisać porozumienie regulujące większość spornych kwestii. W tej sytuacji na początku października Komisarz ds. Rozszerzenia Olli Rehn wznowił negocjacje akcesyjne Chorwacji.

Także Macedonia ma od grudnia 2005 r. status oficjalnego kandydata do UE. Żadna data otwarcia negocjacji nie została jednak zaproponowana. Komisja zastania się niestabilną sytuacją polityczną państwa i opóźnieniami w przeprowadzaniu reform. Wiadomo jednak, że nawet gdyby Bruksela dała zielone światło dla rozmów ze Skopie, Grecja skorzystałaby natychmiast z prawa weta. Ateny przeciwstawiły się już przecież wejściu Macedonii do NATO, do którego miało dojść w kwietniu 2009 r. Grecja podważa już samą nazwę państwa – twierdzi, że termin „Macedonia” należy wyłącznie do dziedzictwa helleńskiego [5]. W konsekwencji Macedonia, zmuszona (by nie drażnić Aten) do posługiwania się w międzynarodowych instytucjach nazwą Byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii, 17 listopada 2008 r. skierowała sprawę do MTS.

Konflikt macedońsko-grecki stawia naprzeciw siebie państwo będące członkiem UE i państwo do tego członkostwa aspirujące. Co jednak ciekawe, owe jakże trudne negocjacje dotyczące nazwy państwa, w których od lat nie widać żadnych postępów, nie są prowadzone przez Unię, ale przez komisję ONZ, której przewodniczy Amerykanin, Paul Nimietz.

Skutki polityczne europejskiej blokady dają już się odczuć. 1 lipca 2009 r. w Chorwacji dymisję złożył premier Ivo Sanader. Nie tłumaczył się jasno ze swojej decyzji, wspominał tylko o konieczności „wywołania szoku” w Chorwacji i w Europie. Wytrawny aktor chorwackiej sceny politycznej, pełniący funkcję premiera od 2003 r., jest autorem reformy Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej (HDZ), nacjonalistyczno-konserwatywnej partii, która rządzi w kraju od 1990 r. niemal nieprzerwanie, bo z wyjątkiem krótkiego epizodu socjaldemokratycznego (2000-03).

Wydaje się jednak, że o ile Sanader zainicjował prawdziwą modernizację chorwackiego społeczeństwa, nie zdołał narzucić swojej wizji politycznej własnej partii. Wprawdzie na czele rządu i partii zastąpiła go kompromisowa polityk, Jadranka Kosor, faktycznie jednak stery państwa dzierży znów twarde skrzydło HDZ, na czele z Vladimirem Seksem i Andriją Hebrangiem.

Hebrang, który ma spore szanse na zwycięstwo w walce o fotel prezydenta w wyborach w styczniu 2010 r., nie krył nigdy swego poparcia dla chorwackich generałów sądzonych za zbrodnie wojenne przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii w Hadze (ICTY) [6], ani swej wrogości wobec pełnego pojednania z Serbią, podobnie jak sceptycyzmu wobec perspektywy integracji europejskiej. Zdaniem analityków z Zagrzebia, dymisja Sanadera może więc tłumaczyć się dwójako. Były premier przegrał z pewnością walkę o władzę wewnątrz HDZ, pragnął jednak równocześnie unaocznic Unii Europejskiej skutki blokady negocjacji [7].

Z kolei w Macedonii, niedoszłe przystąpienie do NATO i blokada rozmów w sprawie przystąpienia do UE przełożyły się na wzrost niebezpiecznych nastrojów nacjonalistycznych. Prawicowy rząd VMRO-DPMNE [8], kierowany przez Nikołą Gruevskiego, postanowił odpowiedzieć na grecką blokadę prowokacją. W 2007 r. lotnisko w Skopie otrzymało nazwę Aleksandra Wielkiego, zaś nowa autostrada łącząca Skopie z grecką granicą nosić będzie imię Filipa Macedońskiego. We wszystkich miastach kraju wznoszone są pomniki ku czci obu bohaterów. Owa „obsesja antyczna” [9] cieszy się poparciem opinii publicznej, oburzonej postawą grecką: dla wielu Macedończyków przez kwestionowanie nazwy państwa, języka i narodu Ateny uderzają w tożsamość narodową, zbiorową i jednostkową. Gruevski może więc chcieć spróbować „płynąć na fali Aleksandra”, by utrzymać się u władzy, przynajmniej krótkoterminowo.

Inaczej jednak rzecz się ma z dużą mniejszością albańską – reprezentującą ¼ ludności kraju, czyli ok. 500 tys. osób. Albańczycy nigdy nie uznali prawomocności państwa macedońskiego, niepodległego od 1992 r.; niewiele brakowało, a w 2001 r. kraj pograżyłby się w wojnie domowej [10]. Porozumienie pokojowe z Ohrid, które zainicjowało decentralizację państwa, spełniło jedynie w jakiejś mierze żądania albańskie, jednak mniejszość ta zaakceptowała polityczny establishment Macedonii właśnie dlatego, że promował on zbliżenie z Unią. Poparcie to stało się szczególnie widoczne po uzyskaniu przez Macedonię statusu unijnego kandydata. Od tamtej pory nie odnotowano jednak żadnych postępów, a trudno by dla Albańczyków atrakcyjne było niewielkie, osamotnione na międzynarodowej arenie państwo, które znajduje upodobanie w egzaltacji wielkości domniemanych antycznych przodków. Nie zatem dziwnego, że Albańczycy mają tendencję do kwestionowania prawomocności jego istnienia. Także oni mogą ulec pokusie nacjonalizmu – tym bardziej, że proklamacja niepodległości Kosowa sprzyja otwarciu debaty na temat ewentualnej unifikacji narodu albańskiego [11].

Unia Europejska wobec obu tych konfliktów, zagrażających kruchej równowadze regionu, w którym pretenduje, przynaj-

ruch rewolucyjny
alterglobalizm
anarchizm | pacyfizm
protesty | terroryzm | wojna
partyzantka miejska | walka | wyzysk
kapitalizm | niewolnictwo | komunizm

WOLNOŚĆ

ALTERKINO
KINO LUDZI WYSLĄCYCH

www.alterkino.org

RECYKLINGIDEI
pismo społecznie zaangażowane

number 12
wiosna/lato 2009
cena: 12 zł (10% VAT)
ISSN 1794-0044

Awaria systemu

Realne kryzysy
Muzyka i polityka: Nono, Cage, Cardew...
Rancière: lud czy wielość?
Wallerstein, Goldner: schyłek kapitalizmu?
Bourdieu i Eagleton o ideologii

www.recyklingidei.pl



mniej w teorii, do odgrywania kluczowej roli politycznej, postanowiła się nie angażować i nie zabierać głosu w dyskusji. Zasady wewnętrznego konsensusu udaremniły jej wszelkie próby utemperowania greckiego nacjonalizmu. Odwołanie się do MTS obrazuje jednoznacznie niezdolność UE do zainicjowania skutecznego procesu arbitrażowego.

Jeszcze przed słoweńskim wetem Chorwacja zdążyła otworzyć 22 z 35 rozdziałów negocjacyjnych, Komisja zaś przedstawiała ją chętnie jako „wzór” dla pozostałych państw regionu. Obecna blokada stanowi sygnał, który musi niepokoić wszystkie państwa regionu. Według ostatnich badań opinii publicznej w Chorwacji odnotowuje się gwałtowny wzrost eurosceptycyzmu, podczas gdy w Serbii, Czarnogórze i Albanii większość zapytanych wciąż popiera integrację. Jednak jak długo jeszcze? Osłabienie entuzjazmu może się przekładać na większą popularność ruchów nacjonalistycznych, otwarcie antyeuropejskich.

W maju 2008 r. Serbia sprawiła sporą niespodziankę: opowiedziała się jednoznacznie za koalicją „Dla Europejskiej Serbii”, na czele z prezydentem Borisem Tadićem, i odesłała na ławkę rezerwowych nacjonalistów z Serbskiej Partii Radykalnej (SRS), której zwycięstwa obawiano się w związku z ogłoszoną kilka miesięcy wcześniej niepodległością Kosowa. Owym wyborom świadczą dobitnie o przywiązaniu sporej części serbskiego społeczeństwa do perspektywy integracji europejskiej. By utrzymać taki stan, obietnica przystąpienia do UE powinna zacząć się konkretyzować.

A priori nie nie przeszkadza wysunięciu kandydatury Belgradu, wyjąwszy niezamkniętą dotąd kwestię współpracy z IC-TY. Od czasu „demokratycznej rewolucji” z października 2000 r., Serbia dokonała zatrzymania prawie wszystkich przebywających na jej terytorium osób podejrzanych o popełnienie zbrodni wojennych. Dość przypomnieć zatrzymanie Radovana Karadžicia, byłego przywódcy Serbów Bośniackich, ostatnie i najgłośniejsze, do którego doszło w Belgradzie 21 lipca 2008 r. Nadal jednak na wolności przebywa dwóch oskarżonych Serbów, Goran Hadžić i Ratko Mladić. Uważa się, że ten ostatni ukrywa się na terytorium Serbii, choć nic tego nie potwierdza i władzom w Belgradzie wciąż nie udaje się go schwytać.

Zakładając, że obaj uciekinierzy zostaliby zatrzymani, nic nie stałoby już na przeszkodzie do oficjalnej kandydatury Serbii. Pozostaje jednak jeszcze jedna nierozstrzyg-

nięta kwestia: jakie byłyby granice Serbii wchodzącej do Unii? Obejmowałyby one Kosowo, które proklamowało niepodległość 17 lutego? W tej kluczowej kwestii Komisja zajmuje „neutralne stanowisko” i tłumaczy, że uznanie nowego państwa nie jest w jej kompetencji, lecz należy do państw członkowskich, które dalekie są od jednomyślności.

W rzeczywistości wszyscy zgodni są co do strategicznego znaczenia Serbii, głównego państwa w regionie. Istnieje zatem obawa, że szybka integracja Chorwacji w połączeniu z długim oczekiwaniem Serbii doprowadziłaby do swoistego „zachwiania równowagi”. Dotychczasowe problemy z chorwacką kandydaturą mają więc i tę zaletę, że pozwalają zyskać na czasie, w nadziei, że spór wokół Kosowa rozwiąże się sam. W środowiskach dyplomatycznych mówi się coraz częściej, że słoweńska „nieustępliwość” w sprawie Zatoki Pirańskiej niekoniecznie musiała budzić niechęć przywódców europejskich. A stąd już tylko jeden krok, by pomyśleć, że Lublana działała „na zlecenie”... Nieskuteczność polityki, którą streścić by można jako „danie czasu czasowi”, unaocznili już przypadek Bośni i Hercegowiny, tkwiącej w istniejącym, niszczycielskim dla państwa *status quo* od końca wojny w 1995 r.

Na początku lipca 2009 r., jakby chcąc rozwiązać wątpliwości, Rada Europejska [12] potwierdziła decyzję o zniesieniu od 1 stycznia 2010 r. wymogu wizowego dla obywateli Serbii, Czarnogóry i Macedonii. Mogą oni zatem poruszać się swobodnie w ramach strefy Schengen – przez okres nie dłuższy niż 3 miesiące i bez prawa do podejmowania pracy, z którego przywileju korzysta już Chorwacja. To zniesienie wymogu wizowego ma coś z „nagrody pocieszenia”, zważywszy na fakt, że perspektywa integracji oddala się coraz bardziej. Co więcej, unijna decyzja nie objęła Bośni i Hercegowiny, Albanii i Kosowa.

Państwa te nie spełniły surowych warunków ustalonych w harmonogramie liberalizacji wiz, dotyczących polityki migracyjnej i kontroli granic, zwłaszcza zaś wprowadzenia paszportów biometrycznych, podpisania konwencji o readmisji, utworzenia ośrodków dla nielegalnych imigrantów pochodzących z państw trzecich itd. Przede wszystkim jednak niosą one z sobą ewidentne ryzyko migracyjne: w Kosowie, ponad 60% mieszkańców ma mniej niż 25 lat, a stopa bezrobocia sięga 60% ludności czynnej zawodowo. W tych warunkach wyjazd na „Zachód” pozostaje jedyną szansą dla sporej części mło-

dych ludzi. Podobnie sytuacja przedstawia się w Albanii, podczas gdy Bośnia i Hercegowina, sparaliżowana przez niekończący się kryzys polityczny i sztuczny ustrój polityczno-administracyjny ustanowiony przez układ pokojowy z Dayton, okazuje się wciąż być niezdolną do podjęcia najmniejszej choćby reformy [13].

Unijne decyzje wywołały silne wzburzenie wśród opinii publicznej, która uznała je za „dyskryminujące”: podkreślano fakt, że państwa nieobjęte zniesieniem obowiązku wizowego miały wspólne to, że były w większości muzułmańskie... Choć jest mało prawdopodobne, żeby takie kryterium zaważyło na unijnej decyzji, prasa lokalna rozbrzmiała od silnie demagogicznych pytań w rodzaju: „Czy moralnie słuszne jest przyznawanie Serbom wolności poruszania się po Europie, wolności, której odmawia się bliskim ofiarom ze Srebrenicy?” [14].

Tymczasem w Kosowie dla Albańczyków staje się coraz bardziej jasne, że niepodległość ogłoszona w lutym 2008 r. nie jest jednoznaczna z prawdziwą suwerennością i że drzwi Europy wcale nie spieszą z otwarciem się przed nimi, co postrzegają jako „zdradę” ze strony zachodnich „ojców” niepodległości, na czele z Francją i Wielką Brytanią.

W grudniu 2008 r. rozpoczęła na tym obszarze działalność europejska misja EULEX. Jako misja „techniczna” interweniująca w dziedzinach kluczowych, takich jak policja, wymiar sprawiedliwości i system celny, ma ona „towarzyszyć” instytucjom Kosowa w ich rozwoju, a pozostawać „neutralną” w kwestii statusu terytorium, którego niepodległości niektóre państwa unijne wciąż nie uznały. Co więcej, powołanie misji do życia warunkowane zostało podpisaniem układu z Serbią, tzw. „programu 6 punktów”, wynegocjowanego przez ONZ. Misja zamierza również współpracować z Belgradem, zwłaszcza w zakresie walki z zorganizowaną przestępczością. Nic zatem dziwnego, że Eulex skupia na sobie złość i frustrację ludności albańskiej, której nastroje radykalizują się: 25 sierpnia tego roku ruch Vetëvendosje („Samostanowienie”) dokonał zniszczenia parku samochodowego misji.

Warto zauważyć, że Bośnia i Hercegowina oraz Kosowo – które były i nadal są poddane najostrzejszej formie kontroli międzynarodowej, sprawowanej obecnie głównie przez Unię Europejską – to państwa, których perspektywy integracji europejskiej są najbardziej niejasne.

Unia, niezdolna do zabrania głosu w sprawie nowych konfliktów, które zagrażają

Balkanom, niezdolna do prowadzenia spójnej polityki w Kosowie, zrezygnowała zupełnie z roli przywódczej, którą pragnęła pełnić w swoich „dobrych latach” z początku XXI w. Obecnie do rozbieżności politycznych doszedł kryzys gospodarczy. Państwa, na skraju bankructwa, zwracają się po kolei o pomoc do Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW): Bośnia wynegocjowała pożyczkę w wysokości 1,2 mld euro, Serbia – 3,1 mld. Z pomocy Funduszu chętnie skorzystałyby również Czarnogóra i Macedonia. Fundusz jednak, jako instytucja o charakterze międzynarodowym, kieruje się innymi kryteriami niż Unia.

Podczas gdy ona kładła nacisk na kryteria „zdrowego rządu”, czyniąc priorytetem walkę z korupcją, MFW bierze pod uwagę wyłącznie redukcję wydatków publicznych. W Serbii ograniczeniu powinna ulec liczba urzędników państwowych, a ich płace zmniejszone: redukcje mają sięgnąć do 40%. W tej sytuacji policjanci i lekarze, już teraz źle opłacani, nieuchronnie wrócą do praktyki „łapownictwa”, którego skala w ostatnich latach uległa zmniejszeniu.

Kryzys grozi zniszczeniem dokonującej się obecnie, wciąż jeszcze kruchej „normalizacji” społecznej. W Serbii, podobnie jak w Czarnogórze, po raz pierwszy od dwóch dekad obywatele mogli wyżyć ze swej pracy. Dwie osoby dysponujące dwiema płacami mogły starać się o pożyczkę w banku, co obecnie znów jest nie do pomyślenia: do zapowiedzianej redukcji niektórych plac dodać należy podrożenie kredytów, wywołane m.in. przez spadek wartości walut. Średnie klasy społeczne, które w ostatnich latach zaczynały się odbudowywać, wskutek kryzysu znów ulegną osłabieniu, podobnie jak stało się to na początku lat 90. XX w. za sprawą wojen, międzynarodowych sankcji i hiperinflacji. A te właśnie warstwy społeczne były najbardziej przywiązane do perspektywy integracji europejskiej i wyniosły do władzy formacje demokratyczne i „proeuropejskie”.

Unii Europejskiej, nieposiadającej żadnej strategii i projektu, osłabionej przez wewnętrzne problemy, podzielonej wokół większości głównych kwestii, trudno będzie stawić czoła nowym kryzysom, które zarysowują się na horyzoncie. Wielokrotnie już powtarzano, że w 1991 r. nie była ona w stanie zapobiec wybuchowi konfliktów w Jugosławii, ponieważ wtedy jeszcze nie zakończyła budowy swej struktury politycznej. Czy i tym razem

kryzys instytucjonalny i gospodarczy przeszkodzą jej wzięciu na siebie odpowiedzialność za zaistniałą sytuację, by zmierzyć się z nią?

tłum. Lucyna Mazur

[1] Estonię, Węgry, Litwę, Polskę, Słowację, Słowenię, Republikę Czeską, Cypr i Maltę.

[2] Na początku 2008 r. pakt ten został zastąpiony przez Regionalną Radę Współpracy, o dużo skromniejszych ambicjach i środkach.

[3] Por. dossier *Courrier des Balkans*, „Conflit du golfe de Piran: la Slovénie bloque l'intégration européenne de la Croatie”, <http://balkans.courriers.info/spip.php?page=dossier&idarticle=12676>

[4] Por. Joseph Krulic, „Le problème de la délimitation des frontières slovéno-croates dans le golfe de Piran”, *Balkanologie*, Paryż 2002.

[5] Por. Nikos Kalampalikis, *Les Grecs et le mythe d'Alexandre*, L'Harmattan, Paryż 2007.

[6] Jakież 10 osób oskarżonych i/lub skazanych, w tym generałowie Mirko Norac, Ante Gotovina i Rahim Ademi, podobnie jak Janko Bobetko, zmarły jeszcze przed swoim procesem.

[7] Por. Davor Butkovic, „La Croatie après la démission d'Ivo Sanader: l'aile dure reprend le contrôle du HDZ”, *Le Courrier des Balkans*, 2 lipca 2009.

[8] Wewnętrzna Macedońska Organizacja Rewolucyjna – Demokratyczna Partia Macedońskiej Jedności Narodowej.

[9] Por. Risto Karajkov, „Macédoniens, qui sommes-nous?”, *Le Courrier des Balkans*, 16 lutego 2009.

[10] Por. „Les vrais enjeux de la crise macédonienne. Menace de nouvelles partitions dans les Balkans”, *Le Monde diplomatique*, październik 2001.

[11] Por. „La boîte de Pandore des frontières balkaniques”, *Le Monde Diplomatique*, styczeń 2008.

[12] Rada Europejska skupia głowy państw lub rządów państw członkowskich Unii Europejskiej oraz przewodniczącą Komisji Europejskiej, którym towarzyszą ministrowie spraw zagranicznych i jeden z komisarzy europejskich.

[13] Por. „La Bosnie-Herzégovine étouffée dans le carcan de Dayton”, *Le Monde Diplomatique*, wrzesień 2008.

[14] Por. Gerald Knaus et Alex Stiglmayer, „Suppression des visas Schengen: les gagnants et les exclus”, *Le Courrier des Balkans*, 18 lipca 2009.

Nowi eksperci od szerzenia strachu

VINCENT GEISSER*

Oto podstawa tej nowej ekspertyzy, która zajęła tak znaczące miejsce w dzisiejszych mediach: odwieczna zasada dobrego interesu.

Laurent Mucchielli, *Violences et insécurité*, La Découverte, Paryż 2001.

Pod zamachach z 11 września w debacie publicznej pojawili się nowi aktorzy: eksperci od szerzenia strachu, którzy w odróżnieniu od zaślepionych i niczego nieświadomych naukowców mają zdrowe podejście do kwestii bezpieczeństwa. Owi nowi eksperci w zakresie geopolityki zepchnęli na margines specjalistów od islamu, socjologów oraz politologów i – wykorzystując swój niejednoznaczny status między kręgami władzy a środowiskiem naukowym – stali się wyrocznią w sprawach islamu i islamizmu. Co więcej, spotkali się z życzliwym przyjęciem niektórych badaczy i pracowników akademickich (M. Tribalat, P.-A. Taguieff, S. Trigano itp.), którzy w ramach przeciwdziałania muzułmańskiemu fundamentalizmowi uciekają się do analiz skupionych na kwestii bezpieczeństwa i lekceważą zasady etyki zawodowej zarówno w podejściu do metod badawczych, jak i sposobu interpretowania danych.

Takie nastawienie daje – w imię wspólnej walki z islamizmem i „nową judeofobią” – zielone światło autorom, którzy nie przywiązują nadmiernej wagi do tego, skąd pochodzą użyte w analizie informacje. Takie mieszanie gatunków (ekspertyza, informacje wywiadowcze, badania naukowe) przyczynia się do szerzenia pod pozorem naukowości i „realizmu ekspertyzy” tez opartych na przypuszczeniach.

Nowa islamofobia ukryta pod troską o bezpieczeństwo

Postacią najbardziej symptomatyczną dla tego nowego pokolenia specjalistów od spraw bezpieczeństwa, odcinającego się wyraźnie od paternalistycznej islamofobii neokolonialnej, jest bez wątpienia Del Valle [1]. Alexandre Del Valle (naprawdę nazywa się Marc d'Anna), wywodzący się z kręgów neopogańskiej Nowej Prawicy, jest dziś powszechnie znany zarówno w środowisku mediów, jak i w sztabach politycznych [2]. Jego losy i kariera mogą stanowić przyczynek do naszej analizy tylko wówczas, gdy potraktujemy je jako element szerszego zjawiska – upowszechnienia w ciągu ostatnich 15 lat postaw ksenofobicznych we francuskim społeczeństwie, także w kręgach związanych z wywiadem oraz w środowiskach akademickich.

Kiedy w 1997 r. Del Valle opublikował swoją pierwszą książkę *Islamisme et États-Unis. Une alliance contre Europe* [3], był autorem kompletnie nieznanym mediom oraz opinii publicznej. W swej książce broni tezy o wspólnocie interesów między Stanami Zjednoczonymi a światowymi organizacjami islamistycznymi, których wspólnym celem miałyby być unicestwienie narodów europejskich. Ten „nowy sojusz” miałby opierać się nie tylko na podobnych celach strategicznych (wojna przeciwko Europie), lecz również na zbieżności teologicznej protestantyzmu WASP-ów i islamizmu, fundamentalistycznych i antynarodowych ideologii:

Fundamentem obu cywilizacji: islamskiej i amerykańsko-purytańskiej jest chęć unicestwienia poprzedzających je i liczących kilka tysięcy lat kultur. Dążenie to wynika z dogmatów zawartych w Księdze uznawanej za najwyższy autorytet: w Koranie w przypadku bojowników Allaha oraz w Biblii w przypadku White Anglo Saxon Protestant (WASP), którzy do dnia dzisiejszego kontrolują amerykańskie społeczeństwo [...]. Dziś często nie chcemy pamiętać, że cywilizacja islamska oraz purytańsko-protestancka stały się zdecydowanie w opozycji do Europy i starają się – każda na swój sposób – wypełnić dziedzictwo tożsamościowe Starego Kontynentu. [4]

* Pracownik Instytutu Badań nad Światem Arabskim i Muzułmańskim w paryskiej CNRS, wykładowca w Instytucie Studiów Politycznych w Aix-en-Provence.



JOHANNA BIAŁKOŃSKA, WIZUALIZACJA PROJEKTU „MARRIET” (2008)

Islamofobia Del Valle'a idzie w parze z antyamerykanizmem, który przybiera tak karykaturalną postać, że powinna była ona zepchnąć autora w niebyt. Tymczasem po wydaniu swojej pierwszej książki, Del Valle zbliżył się do suwerenistycznych kręgów wywiadu podzielających jego nienawiść do Ameryki, niechęć do islamu i skłonności proserbskie. Ukończył nawet studia dyplomowe o kierunku „Strategia i obronność”, zbliżając się w ten sposób do kręgów specjalistów do spraw wojskowych. „Nie dziwi zatem, że w pracach d'Anny [...] znajdują odbicie tezy rozpowszechnione wśród pracowników Dyrekcji Wywiadu Wojskowego na temat roli Stanów Zjednoczonych, ich wsparcia dla fundamentalistycznych ruchów islamskich itp.” [5].

W 2002 r. pierwszy wydawca Del Valle'a opublikował w tej samej serii „Mobiles géopolitiques” dzieło otwarcie i agresywnie antyislamskie – *La France en danger d'islam (Francja zagrożona islamem)*. Jego autor, René Marchand, opowiada się za radykalnym rozwiązaniem „problemu muzułmańskiego” – wydalaniem wszystkich muzułmanów do ich krajów pochodzenia:

Powrót mieszkających we Francji i broniących się przed asymilacją muzułmanów do krajów islamu wielu wydaje się dzisiaj niemożliwy. Ale ja mogę powiedzieć spokojnie: tak się stanie. Albo Francja przestanie być Francją. Nawet jeśli ta muzułmańska alija [6] nie będzie mieć miejsca, trzeba ją przygotować. Właściwa strategia polega również na tym, by umieć przygotować to, co wydaje się nie do pomyślenia [7].

Zaskakujące wydaje się poparcie, z jakim Del Valle spotkał się w niektórych środowiskach medialnych: postscriptum do jego książki napisał dziennikarz *Le Monde* a Jean-Pierre Péroncel-Hugoz [8]. Były korespondent dziennika w Algierze i Kairze, prowadzący w latach 1982-1997 rubrykę „francophonie” podziela niechęć Del Valle'a do ekspansywnej Ameryki oraz jego obsesję na punkcie islamizacji ziemi.

Kiedy w 2002 r. Del Valle opublikował swoją drugą książkę *Le totalitarisme islamiste à l'assaut des démocraties* [9], był już znanym i cenionym specjalistą, cieszącym się poparciem ze strony instytucji bezpieczeństwa (Dyrekcji Bezpieczeństwa Państwowego, Centralnej Dyrekcji Wywiadu Ogólnego) [10] oraz niektórych spragnionych sensacji mediów. Zamachy z 11 września 2001 r. były dla młodego autora prawdziwym zrzuceniem opatrności i pozwoliły mu wyjść z marginalnych środowisk Nowej Prawicy oraz proserbskiego wydawnictwa *L'Âge d'Homme* i znaleźć się w centrum sceny medialnej. W ciągu kilku miesięcy wziął udział w dziesiątkach programów radiowych i telewizyjnych, szczególnie na kanale LCI oraz w publicznej stacji *France 5*, gdzie sześciokrotnie zapraszany był do programu Yvesa Calvi „C'est dans l'air”, w którym ogłaszał wszem i wobec swoje antyislamskie tezy [11].

Po 11 września analizy Del Valle'a nie zmieniły się diametralnie – rozwija on nadal swoje fantazmatyczne tezy o islamistycznych organizacjach snujących plany podboju świata – pojawia się jednak istotna zmiana: znika jego antyamerykanizm i przepada teoria „islamsko-amerykańskiego spisku” przeciwko Europie. Daje się zauważyć jeszcze jedna niebagatelna zmiana: Izrael, który autor początkowo postrzegał jako „amerykańskiego satelitę” w regionie, staje się obecnie pierwszą ofiarą islamskiego terroryzmu. Oczywiście tym sposobem z zarzutów antysemityzmu oraz antysyjonizmu i zdobywszy sympatię niektórych kręgów proizraelskich i żydowskich środowisk radykalnych [12], Del Valle dalej uprawia swoją antyislamską retorykę pod płaszczykiem „analizy naukowej” [13]. Udziela np. wywiadu francuskojęzycznemu czasopismu *Israël Magazine*, w którym jest przedstawiany jako specjalista w dziedzinie islamu. Del Valle zresztą doskonale wykorzystuje dwuznaczność swojego statusu, posługując się tytułami akademickimi, które nie zawsze można zweryfikować.

Jednak medialna pozycja Del Valle'a nie wynika jedynie z jego sprytnych strategii, która pozwoliła mu osiągnąć sukces i sprawiła, że z antyislamskiego i antyamerykańskiego autora przeobraził się w ciągu kilku miesięcy w eksperta do spraw bezpieczeństwa o wiarygodności potwierdzonej przez dramatyczne wydarzenia z 11 września. Sukces jego tez wynika w dużej mierze z ogólnej zmiany klimatu, która nastąpiła w świecie mediów i niektórych kręgach naukowych. To, co jeszcze kilka lat wcześniej wydawało się przejawem ksenofobicznej myśli właściwej marginalnym kręgom skrajnej prawicy, niektórym intelektualistom Nowej Lewicy czy też nieobjętych w założeniu środowiskom zawodowym (eksperci wojskowi, specjaliści służb wywiadowczych), staje się obecnie formą „społecznego przymusu”. Francuskie autorytety publiczne, intelektualni i publicyści czują się zobowiązani do „odpowiedzialnego” podejścia do kwestii islamu i muzułmanów, by nie narazić się na oskarżenia o islamofilię i angielizm ze strony swoich kolegów po fachu. Podobna ostrożność wyjaśnia trwającą obecnie nagonkę na francuskich specjalistów od islamu (B. Étienne, J. Césari, G. Kepel, O. Roy itd.), którym zarzuca się, że przepowiadając upadek politycznego islamu wykazali się karygodnym brakiem przeczności. Te błędne prognozy – jak ocenia generał J.-G. Salvan, były komendantem czwartego okręgu wojskowego i członkiem skrajnie prawicowej partii Narodowy Krąg Niezależnych (CNI) – przyczyniły się do uspienia czujności odpowiednich organów publicznych na Zachodzie wobec zagrożenia islamskim terroryzmem:

Zdrada europejskich intelektualistów od dawna pozostaje faktem, a nasi specjaliści od islamu wykazują zadziwiającą i niebezpieczną uległość wobec Arabii Saudyjskiej i Algierii. Od zrozumienia promowane-

go przez L. Massignon, M. Watta i Sobór Watykański II przeszliśmy dziś do apologii [14].

Teza o uległości zachodnich specjalistów od islamu wobec „islamistycznego zagrożenia” zostaje zresztą usankcjonowana „z wewnątrz” przez Ibn Warraqa:

Pseudoeksperti od islamu na zachodnich uniwersytetach, w mediach, kościołach, gabinetach ministerialnych stali się apologetami islamu. Stworzyli *klimat intelektualnego terronu* [podkreślenie V.G.], w którym jakakolwiek krytyka islamu klasyfikowana jest natychmiast jako przejaw faszyzmu i rasizmu. Uspili czujność opinii publicznej, każąc jej wierzyć, że zagrożenie islamskie jest mitem. Pora z tym skończyć! Przestańmy chować głowę w piasek saudyjskiej pustyni! [15]

Jesteśmy dziś świadkami całkowitej zmiany postrzegania znawców islamu i politologów w świecie mediów i w przestrzeni publicznej. Jeszcze niedawno potępiani przez media, które zarzucały im, że przyczyniają się do legitymizacji emocjonalnego dyskursu na temat świata arabsko-muzułmańskiego oraz muzułmanów we Francji [16], obecnie podejrzewani są o sprzyjanie organizacjom islamskim i zaślepienie. Upowszechnienie antyislamskich tez głoszonych przez skrajnie prawicowych autorów przyczyniło się w walnie do przyjęcia pewnego kadru normatywnego wobec islamu (postrzeganie przez pryzmat ideologii), z którego trudno się wyzłocić. Stąd bierze się osobiwa sytuacja: wydarzenia z 11 września przyczyniły się do jeszcze większej marginalizacji myśli naukowej na temat islamu, ustępując miejsca powszechnej „ludowej” interpretacji rozpowszechnianej przez nowego rodzaju ekspertów, których profil naukowy i zawodowy jest niekiedy bardzo daleki od specjalizacji islamistycznej.

Odwet ekspertów od geopolityki na „pobliżliwych specjalistach od islamu”

Marginalizacja opinii naukowych na temat islamu i muzułmanów stwarza sprzyjające warunki dla kariery ekspertów od spraw bezpieczeństwa czy geopolityki, którzy przedstawiani są obecnie jako specjaliści od religii muzułmańskiej, fundamentalizmu i terroryzmu islamskiego. Nowi eksperci od szerzenia strachu, odciepi najczęście od przedmiotu badań, porzeczają na upowszechnianiu w mediach całego zestawu stereotypów, uprzedzeń i powszechnych opinii na temat islamu i islamizmu; niektórzy spośród nich mają ułatwiony dostęp do policyjnych i wojskowych źródeł, co nadaje ich ekspertyzom pozór wiarygodności. Wśród nowych specjalistów od islamu i islamskiego terroryzmu znaleźli się eseista i redaktor naczelny *Cahiers de l'Orient* Antoine Sfeir [17], dyrektor Obserwatorium Krajów Arabskich Antoine Basbous oraz specjalista od geopolityki Frédéric Encel. Wprawdzie przeprowadzane przez nich analizy są rzetelniejsze

i uwzględniają więcej aspektów niż prace Del Valle'a i autorów z kręgu *L'Âge d'Homme*, jednak również one powtarzają pewne stereotypy i uprzedzenia wobec młodych Francuzów ze środowisk muzułmańskich oraz niektórych muzułmańskich organizacji (UOIF, Narodowa Federacja Muzułmanów we Francji – FNMF, Tabligh) oskarżanych o przygotowywanie na przedmieściach francuskich miast gruntu dla islamskiego terroryzmu [18]. Droga, którą przebył F. Encel szczególnie wymownie ilustruje „obszar nakładania się” między badaniem naukowym a ekspertyzą dziennikarską. Encel, posiadający doktorat z dziedziny nauk politycznych (w zakresie geopolityki) Uniwersytetu Paris VIII [19], nie wywodzi się ze skrajnej ani suwerenistycznej prawicy, lecz wpisuje się raczej w nurt narodowo-republikańskiej lewicy, podobnie jak jego „mistrz” Yves Lacoste. Lacoste od kilku lat nie przestaje potępiać występów islamu politycznego w świecie arabskim oraz ostrzegać przez groźbę przeniesienia się go w szereg francuskiego społeczeństwa. Droga intelektualna Yvesa Lacoste i kilku innych osób z redakcji geopolitycznego pisma *Hérodote* jest charakterystyczna dla dawnego nurtu trzecioświatowego i humanistycznego, który w odniesieniu do islamu i fundamentalizmu muzułmańskiego traci wycucie szczegółu i popada niekiedy w dramatyczny ton. Ten ojciec francuskiej geopolityki już w 1996 r. mówił o „muzułmańskich gettach”, jakimi stają się przedmieścia miast we Francji, które mogą być wykorzystane przez islamistów dla destabilizacji całego francuskiego społeczeństwa:

Islamistyczni aktywiści próbują zislamizować niektóre podmiejskie dzielnice, chcą zjednoczyć i zorganizować pod sztandarem religii mieszkających tam muzułmanów różnych narodowości, lecz również nawracać i zmuszać opornych, by przenieśli się w inne miejsca. Podobna strategia może doprowadzić do powstania na wzór gett żydowskich prawdziwych gett muzułmańskich, o jednorodnej, zjednoczonej w imię wspólnej religii ludności [...]. W takiej sytuacji nie można wykluczyć wybuchu mniej lub bardziej spontanicznych i jednoczesnych zamieszek w miejscach, gdzie muzułmanie stali się większością, a przywódcy organizacji mogą zmobilizować dziesiątki tysięcy osób, na przedmieściach wielkich aglomeracji, ale również w centrach, jak np. w Marsylii [20].

Wpisując się w to samo „ujęcie geopolityczne” F. Encel rozwija dalej ten fantazmatyczny obraz francuskich przedmieść, oscylując między analizą naukową a ekspertyzą pod kątem kwestii bezpieczeństwa:

Ze względu na swoje położenie geograficzne oraz skład etniczny Francja stoi na pierwszej linii walki przeciwko islamizmowi. Wielomilionowa rzesza muzułmańskich obywateli, w większości o arabskich korzeniach, stanowi doskonały cel dla zarówno lokalnej, jak i pochodzącej z zewnątrz i bardziej nasilonej propagandy. Fakt, że w ostatnich latach kilkudziesięciu francuskich muzułmanów przystąpiło do Al-Kaidy – część w ramach jej afgańskiej struktury – jest wymownym znakiem [21].

Warto by się skądinąd zastanowić nad budową ideologiczną tej nowej „dyscypliny akademickiej”, jaką jest geopolityka wywodząca się w prostej linii z klasycznej geografii (Yves Lacoste jest jednym z najwybitniejszych francuskich geografów) i znajdującą szczególne upodobanie w badaniach ważkich problemów współczesności takich jak terroryzm, przemoc polityczna, radykalizm religijny, konflikty etniczne, nacjonalizm itp. [22] „Ujęcie geopolityczne” w odniesieniu do nauk społecznych nasuwa jednak poważną wątpliwość – czy obawy i zaniepokojenie autorów stanowią jedynie „obiekt badania” czy też stają się kluczem do interpretacji zjawisk społecznych. Urojenia autora mogą się nakładać na wynik badań naukowych i odwrotnie.

Specyficzna tematyka badań (społeczeństwo, ruchy migracyjne, stosunki między Północą a Południem, procesy asymilacji i rozkładu narodów itp.) oraz zapotrzebowanie na analizę podobnych kwestii (ekspertyzy, raporty przygotowywane na potrzeby organów państwowych i prywatnych fundacji) sprawia, że specjaliści od geopo-

lityki są szczególnie wystawieni na działanie lęków i niepokojów, które nękają społeczeństwa zachodnie i które często sprawiają, że badacz – w sposób świadomy lub nieświadomy – ucieka się do wątpliwej analizy zjawisk migracyjnych oraz społeczeństw należących do kręgu kultury muzułmańskiej. Przedmiot badań zaczyna być postrzegany przez pryzmat obsesji na punkcie bezpieczeństwa i zamiast studzić emocje – jeszcze je podgrzewa.

Antyamerykanizm i huntingtonizm „po francusku”

Mieszanie gatunków, takich jak analiza naukowa oraz ekspertyza, dokonuje się bez trudu w sytuacji, gdy mamy do czynienia z zatarciem granic między kręgami ekspertów od spraw bezpieczeństwa a środowiskiem naukowym [23]. Podobne zjawisko odnaleźć można – jak dowodzi Edward Said – już w XIX-wiecznym orientalizmie, gdy nauka wykorzystywana była dla realizacji imperialnych planów: „zatem mówienie o orientalizmie, to mówienie przede wszystkim, choć nie wyłącznie, o brytyjskim i francuskim przedsięwzięciu kulturalnym [...]” [24]. Zjawisko to ma nie tylko odgórną charakter, lecz wynika również z indywidualnej postawy autorów – z jednej strony mało troszczących się o niuanse ekspertów pragnących uznania w kręgach akademickich, z drugiej – badaczy i naukowców, którzy z różnych powodów sięgają do „pospolitej” opinii, porzucając badawczą rzetelność w podejściu do obiektu swoich badań. Wszyscy ci autorzy (naukowcy/eksperti) wspólnie propagują w mediach „teorie” o schyłku narodu nakładające się na huntingtonizm „w wersji francuskiej” [25], według którego islam nie jest religią jak wszystkie inne, lecz przede wszystkim „cywilizacją”, której prawidła i zasady stanowią problem narodowy:

Budząca tak wiele kontrowersji idea „zderzenia cywilizacji” przedstawiona przez Samuela Huntingtona daleka jest od bepodstawności czy przesady. W rzeczywistości najważniejszym błędem amerykańskiego stratega jest brak poprawności politycznej. Zarzuca się mu, że nie ogłasza ostatecznego zwycięstwa anglosaskiego kosmopolityzmu nad partykularyzmami tożsamościowymi i narodowymi [...]. Podobny stopień swobody religijnej, pozbawiony zresztą odpowiednika po drugiej stronie, nie dowodzi wcale, że Huntington się myli. Z punktu widzenia strategicznego jest ona jedynie wyrazem słabości i ideologiczno-duchowego zagubienia Europy, która odcina się od swoich własnych wartości i pozwala, by na jej terytorium rozkwitła wroga i wojownicza cywilizacja przynoszona przez niekontrolowane fale migracyjne z islamskofrykańskich obszarów [26].

Argumentacja owych nowych ekspertów od islamu opiera się na przekonywaniu o szkodach przynoszonych przez sprzeczną z francuskimi tradycjami wielokulturowość, której najbardziej jaskrawym, lecz również najbardziej niebezpiecznym dla naszej spójności narodowej przejawem jest islam. Ich stanowisko zdradza wpływ ksenofobicznych fantazmatów charakterystycznych dla skrajnej prawicy, lecz również świadczy o pojawieniu się nowych czynników budzących niepokój, które wpływają na kształt nowej islamofobii, odróżniając ją od tradycyjnych antyislamskich uprzedzeń.

Ażby dotrzeć do intelektualnych korzeni owego „huntingtonizmu po francusku” trzeba prześledzić drogę ideologiczną ekspertów od szerzenia strachu, u których islamofobia ukrywa inne uprzedzenia – przede wszystkim głęboką niechęć do Ameryki, będącej uosobieniem idei społeczeństwa wielokulturowego. W efekcie, jedynym wnioskiem wypływającym z ich analizy jest huntingtonowska wizja najeżonego problemami współistnienia judeo-chrześcijańskiego Zachodu i arabsko-muzułmańskiego Wschodu (Państwo Izrael zaliczane jest oczywiście do tego pierwszego „bloku cywilizacyjnego”) [27]:

Wojna cywilizacji i religii, ta domena trzeciego totalitaryzmu, nie jest wymysłem Huntingtona i nie została wypowiedziana przez Zachód, lecz przez islamistów, którzy wykorzystują dramaty palestyński, irański i czeczeński, aby zmobilizować cały świat muzułmański. Ich dyskurs spotyka się niestety z pozytywnym przyjęciem mas arabsko-muzułmańskiego Trzeciego Świata, które pragną zemścić się za upokorzenia czasów kolonialnych i ostatecznie podbić Zachód widziany jako enklawa Żydów i krzyżowców [...] [28].

Aby wzmocnić swoją islamofobiczną argumentację, Del Valle przejmując tezy o „nowej judeofobii”:

Te pospolite we Francji przejawy agresji słownej, hasła „Izrael dla Arabów, Żydzi to głupcy”, „śmierć syjonistom”, „wiwat Gestapo i Auschwitz, śmierć żydkom” przekraczają już wszelkie dopuszczalne granice. To zapowiedź przyszłego rozlewu krwi. Wielu Żydów przestaje nosić kipe w obawie o własne bezpieczeństwo, myślą nawet o emigracji do Izraela, choć przemoc uderza również w ten kraj [29].

Jednak ta „sympatia międzyatlantycka” i sprzyjanie Państwu Izrael są jedynie oportunistycznym zwrotem dokonany na fali nastrojów po 11 września. Pierwotnie myśl Del Valle’a i jego towarzyszy z kręgu wydawnictwa L’Âge d’Homme była antyamerykańska i antyizraelska [30], a państwo żydowskie postrzegane było przez nich jedynie jako wysunięty przyczółek Stanów Zjednoczonych. W swoich pierwszych pracach specjalista od geopolityki w obsesyjny sposób rozwija teorię o islamsko-amerykańskim spisku przeciwko Europie i jej narodom: amerykańska subcywilizacja [31] miałaby w naturalny sposób sprzymierzyć się z cywilizacją mahometanską w dążeniu do unicestwienia „europejskiego ducha”, szczególnie we Francji, która i tak jest już osłabiona poprzez obecność znaczącej społeczności muzułmańskiej:

O ile na Zachodzie rzeczywiście dadzą się zauważyć pewne tendencje rasistowskie, o tyle nie mają one nic wspólnego z uzasadnionymi porywami w obronie własnej tożsamości, podejmowanymi przez stare narody europejskie zagrożone ze strony dwóch imperializmów, które wprowadzą ze sobą rywalizują, lecz jednocześnie w tym samym pragnieniu zemsty na Europie. Pierwszy pochodzi z Waszyngtonu i Hollywood (cywilizacja McŚwiata) i dokonuje planowego mord na naszej kulturze, drugi – z centrum w Mekce snuje plany ideologiczno-religijne oraz demograficznego zawojowania Starego Kontynentu, a w ślad za nim całego świata („nowy islamski dżihad”) [32].

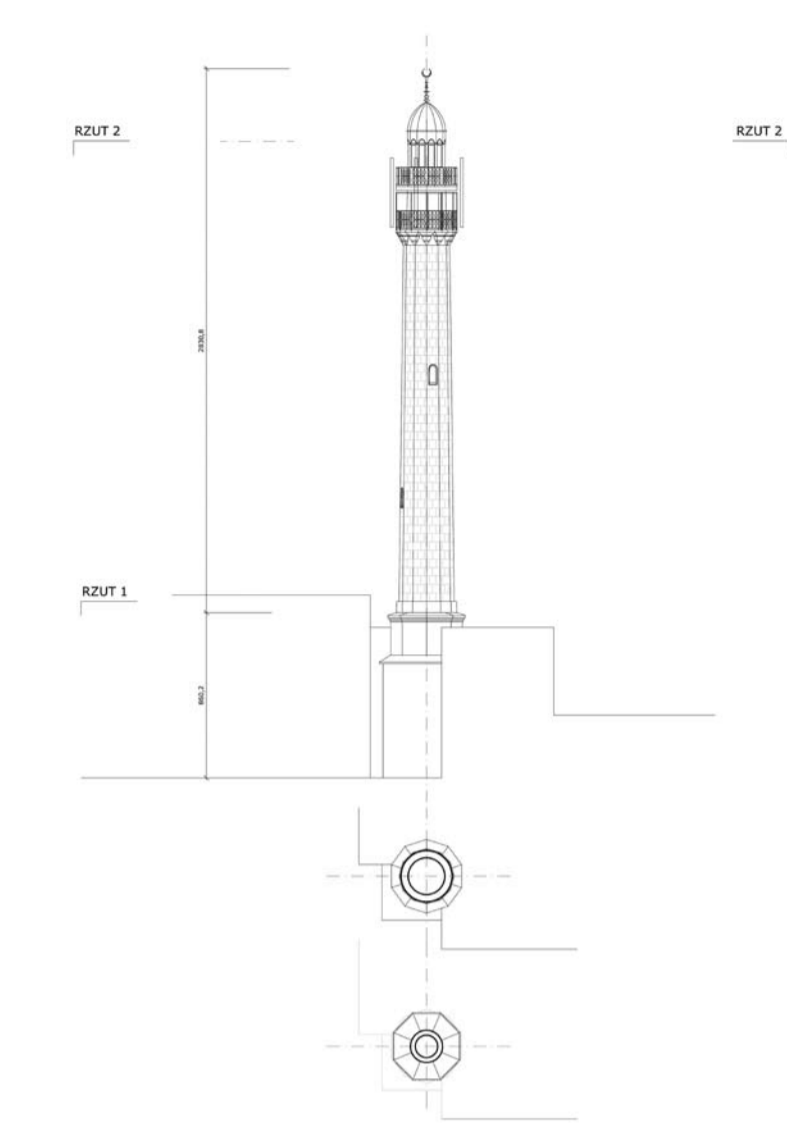
W tej nowej geopolityce strachu uderzający wydaje się sposób przedstawiania islamu i muzułmanów: islam nie jest tu postrzegany jako „zwyczajna religia”, lecz jako wojownicza cywilizacja (słowo dżihad pojawia się w ich tekstach niezwykle często), której adepci przeniknęli na nasze terytorium (piąta kolumna islamu) i usiłują zniszczyć cywilizację europejską oraz „francuskość”:

Trzeba to podkreślić: islam z urodzenia, z natury i genetycznie jest fundamentalistyczny. Ten fundamentalizm bierze się w znacznej mierze z charakteru jego proroka i założyciela, kontekstu historycznego, w którym powstała ta religia, niepodważalnej autentyczności jego księgi i skrupulatności, z którą była ona zapisana [33].

Islam zostaje tu sprowadzony do złowieszczej istoty, której przekąźnikami i propagatorami na całym świecie mieliby być od czasów objawienia zesłanego Mahometowi wszyscy jego wyznawcy. Pod tym względem nie oddala się zbytnio od rasistowskich teorii z końca XIX w.: „oczywiste różnice odnośnie do przyjętych metod zaznaczają się mniej wyraźnie niż wspólnota w przekonaniu o niższości islamu” [34].

Po 11 września Alexandre Del Valle, który stał się najbardziej medialną osobą ze swojego kręgu, przejął ideę nieprzejednanych wobec siebie „bloków cywilizacyjnych”, dostosowując ją do nowego, dotkniętego terroryzmem kontekstu. Dokonał pewnej zmiany terminologii zastępując słowo „islam” terminem „islamizm”, tak jakby chciał podkreślić pewne niuanse swojej analizy, wprowadzając rozróżnienie na „umiarkowanych muzułmanów” oraz „muzułmanów radykalnych”. Jednak rozróżnienie to jest jedynie pozorne, a autor nadal utrzymuje, że wszyscy francuscy muzułmanie są potencjalnymi „islamskimi terrorystami”. Islamofobiczne uprzedzenia Del Valle’a i jego podobnych w gruncie rzeczy pozostają niezmiennymi, z tym że otrzymują teraz nową oprawę – wpisane zostają w kontekst ideologicznej walki z międzynarodowym terroryzmem islamskim, który miałby być jedynie realizacją pierwotnego mahometanckiego zamysłu:

Nowa islamistyczna ksenofobia, element tego rozprzestrzeniającego się coraz szerzej nazizmu XXI w., szerzy się dziś na „islamskich przedmieściach” Zachodu, o czym wymownie świadczą niewiarygodne przejawy radości i demonstrowanie po-



parcia dla Ibn Ladena, które widzieliśmy w muzułmańskich dzielnicach Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii, a nawet Ameryki. Na przedmieściach, które zachodni decydenci nieroztropnie pozostawili na pastwę duchownych propagujących islamistyczną nienawiść, gdzie Żydzi i chrześcijanie nie mogą się czuć bezpieczni [35].

Nawet jeśli mają różne zdania na temat rozwiązań, które należałoby zastosować (wydalenie, asymilacja, inwigilacja i kontrola), aby zahamować to, co nazywają „islamicyzacją Francji”, nowi eksperci od szerzenia strachu są zgodni co do tego, kto ponosi polityczną i moralną odpowiedzialność za „francuską dekadencję”. Uderzają w populistyczny i antyelitarny ton wyrażają ostrą krytykę „systemu”, piętnują polityków, media i intelektualistów generacji ‘68. Nasze elity przez swoją gnuśność lub w trosce o własne interesy porzuciły – ich zdaniem – swoją misję cywilizacyjną:

Przywódcy polityczni liberalnych demokracji, wychowani w technokracji i ulegający presji sondaży opinii publicznej, nie wiedzą już jak służyć Wspólnemu Dobru, nie mają kwalifikacji, by stanąć w obronie wyższych interesów swojego narodu. Nazywają się republikanami, lecz „rzecz publiczna”, *res publica* w ujęciu Rzymian czy Bodina jest im całkowicie obca. Żyjący imperatywem, jakiemu skłonni są ulec, to dążenie do reelekcji, a aby to osiągnąć poddają się presji mass mediów, które ze swej strony, kształtują na swoją modłę opinię publiczną. Nasze liberalne, „mediokratyczne” społeczeństwa są szczególnie bezsilne wobec nowych form psychologicznej i kulturowej dywersji, przed którymi już wielokrotnie ostrzegaliśmy. Nie możemy liczyć na to, że obecni przywódcy polityczni podejmą wyzwanie i będą przeciwdziałać poważnym zagrożeniom, którym nasze starzejące się i osłabione społeczeństwa tak czy owak będą musiały stawić czoła w nadchodzącym stuleciu [36].

U najbardziej radykalnych spośród tych ogarniętych obsesją na punkcie bezpieczeństwa islamofobów, jak René Marchand, krytyka republikańskich elit zamienia się w otwarty antysemityzm:

Czy można nie pomyśleć tu o francuskich Żydach, którzy popierają wspólnotowe partykularyzmy przeciwko Republice, nie rozumiejąc, że w zdestabilizowanej Francji to właśnie społeczność żydowska będzie pierwszą ofiarą nieuchronnego starcia między dwiema głównymi wspólnotami? [37]

Pseudoteoria o ogólnym rozkładzie (narodu oraz wartości) przechodzi stopniowo w populistyczne załatwanie porachunków z „elitami rządzącymi” obarczonymi odpowiedzialnością za „francuską dekadencję”, której objawem i jednocześnie siłą sprawczą jest islamizacja przedmieść.

W rezultacie nowa skoncentrowana na kwestii bezpieczeństwa islamofobia przynosi odwrócenie roli ofiary. Dyskurs szerszych strach ekspertów od geopolityki oraz wpisujących się w nurt „narodoworepublikański” badaczy przenosi ciężar odpowiedzialności na francuskich muzułmanów, oskarżanych o „antyfrancuski rasizm”. Francja nie byłaby islamofobiczna – jeśli przyznamy, że taka jest – gdyby nie zachwianie dyskurs skrajnej prawicy (FN, Narodowy Ruch Republikański) i niektórych nurtów suwerenistycznej prawicy (Ruch dla Francji Philippe’a de Villiers, CNI itp.), przekonującej o istnieniu antyfrancuskiego rasizmu, który miałby być znacznie poważniejszym problemem niż wszelkie inne formy dyskryminacji społecznej czy etnicznej, bo przecież najbardziej zagrożoną grupą etniczną są ich zdaniem właśnie Francuzi.

Fragment książki Vincenta Geissera „Nowa islamofobia”, która ukaże się wkrótce w Bibliotece Le Monde diplomatique.

[1] Fatiha Kaoues, „Le cas Del Valle” *Arabesques*, 24 czerwca 2002 (www.arabesques.org). Szczegółowa biografia, patrz René Monzat, „L’étonnant parcours d’Alexandre Del Valle”, *Ras l’front*, nr. 87, 2002, s. 10-11.

[2] Podczas kongresu założycielskiego UMP w Bourget w 2002 r. Del Valle był kandydatem z listy firmowanej przez Rachida Kaci do kierownictwa partii.

[3] L’Âge d’Hommes, Lozanna 1997.

[4] Ibid., s. 275.

[5] René Monzat, „L’étonnant parcours de Del Valle”, *op. cit.* s. 11.

[6] Alija to w judaizmie powrót Żydów do Ziemi Obiecanej (Izraela). Wyraźnie widać, że islamofobia ściśle łączy się u tego autora z judeofobią.

[7] René Marchand, *La France en danger d’islam. Entre Jihad et Reconquista*, L’Âge d’Homme (seria „Mobiles géopolitiques”), Lozanna 2002.

[8] Postscriptum *Islamisme et États-Unis. Une Alliance contre Europe*, *op. cit.*, s. 321-324.

[9] Des Syrtes, Paryż 2002.

[10] W podziękowaniach na początku swojej książki Del Valle pisze: „dziękuję [...] również innym funkcjonariuszom i obserwatorom francuskim i zagranicznym, których wskazówki były dla mnie bardzo cenne, ale których nazwisk, ze względu na charakter ich pracy, nie mogę tutaj wymienić”, *Islamisme et États-Unis. Une Alliance contre Europe*, *op. cit.*, s. 1.

[11] Del Valle był zaproszony do programu „C’est dans l’air” 18 kwietnia, 10 maja, 17 października, 13 listopada 2002 r. oraz 12 lutego i 5 marca 2003 r. Wziął także udział w programie Serge’a Moati „Riposte” wyemitowanym 7 października 2001 r. na kanale *France 5*.

[12] Po 11 września 2001 r. wiele tekstów Del Valle’a pojawia się na proizraelskich stronach internetowych, takich jak www.aipj.net, www.antisemitisme.info (w rzeczywistości to strona o proizraelskich treściach), www.objectif-info.com, www.revue-politique.com, www.procheorient.info, www.reinfo-israel.com itp.

[13] Za R. Monzat, „L’étonnant parcours de Del Valle”, *op. cit.*, s. 10.

[14] General J.-G. Salvan, przedmowa do książki Ibn Warraqa *Pourquoi je ne suis pas musulman*, *op. cit.*, s. 16.

[15] Ibn Warraq, „Une idéologie totalitaire”, *Marianne*, rubryka „Forum”, nr 231, 24-30 września 2001.

[16] Saddek Rabah, *L’Islam dans le discours médiatique. Comment les medias se représentent l’islam en France*, *op. cit.*, Jean-Robert Henry, Franck Frégosi, *Les medias sataniques*, *op. cit.*, s. 86-87.

[17] Autor m.in. *Les Filières islamistes en France et en Europe. La nébuleuse*, Plon, Paryż 1997 oraz *Dictionnaire mondial de l’islamisme*, Plon, Paryż 2003.

[18] Frédéric Encel, *Géopolitique de l’apocalypse. La démocratie à l’épreuve de l’islamisme*, Flammarion, Paryż 2002.

[19] F. Encel jest również autorem książek *Géopolitique de Jérusalem*, Flammarion, Paryż 2000, *Le Moyen-Orient entre paix et guerre. Une géopolitique du Golan*, Flammarion, Paryż 2001 oraz *L’Art de la guerre par exemple*, Flammarion, Paryż 2002.

[20] Yves Lacoste, *Périls géopolitiques en France*, *Hérodote*, pierwszy trymestr 1996, s. 14-16.

[21] F. Encel, *Géopolitique de l’apocalypse. La démocratie à l’épreuve de l’islamisme*, *op. cit.*, s. 157.

[22] Dla przykładu por. *Hérodote* nr 77, „Maîtriser ou accepter les islamistes”, 1995, nr 80, „Périls géopolitiques en France”, 1996, nr 88, „Indonésie, L’Orient de l’Islam”, 1998, nr 90, „Méditerranée: nations en conflits”, nr 106, „Religions et géopolitique”, 2002 itd.

[23] Laurent Mucchielli, *Violences et insécurité. Fantômes et réalités dans le débat français*, *op. cit.*

[24] E. Said, *Orientalism*, *op. cit.*, s. 32-33.

[25] S. Huntington, *Zderzenie cywilizacji*, *op. cit.*

[26] A. Del Valle, *Islamisme et États-Unis. Une alliance contre Europe*, *op. cit.*, s. 20-21.

[27] Del Valle na określenie świata arabsko-muzułmańskiego używa zresztą terminu „blok islamski”.

[28] Del Valle, *Le Totalitarisme islamiste à l’assaut des démocraties*, *op. cit.*, s. 25.

[29] Ibid., s. 107.

[30] Nie dotyczyło to F. Encela, który zawsze zajmował przyjazne Izraelowi stanowisko.

[31] Dla tych wywodzących się ze skrajnej prawicy lub prawicy suwerenistycznej Stany Zjednoczone nie tworzą cywilizacji, lecz rodzaj zdegenerowanej pod-kultury, kształtowanej przez dawnych wyrzutków z Europy.

[32] A. Del Valle, *Islamisme et États-Unis. Une alliance contre l’Europe*, *op. cit.*, s. 17-18.

[33] R. Marchand, *La France en danger d’islam*, *op. cit.*, s. 116.

[34] E. Said, *Orientalism*, *op. cit.*

[35] A. Del Valle, *Le Totalitarisme islamiste à l’assaut des démocraties*, *op. cit.*, s. 105.

[36] A. Dell Valle, *Islamisme et États-Unis. Une alliance contre l’Europe*, *op. cit.*, s. 29.

[37] R. Marchand, *La France en danger d’islam*, *op. cit.*, s. 118.

Od Marksa przez marksizm do altermarksizmu

SOCYALIZM miało być imię przyszłości. Inną nazwą przyszłego ładu był komunizm. Marksizm zaś głosił się jego prorokiem. Jednak zdaje się, że to formuła Wittgensteina – „O czym nie da się nic powiedzieć, o tym trzeba milczeć” – zdominowała dzisiejsze myślenie. Powoływanie się na idee „nowego świata” nie jest zakazane, jeśli zgadzamy się, że jego treść nie będzie odnosić się do żadnej pozytywniej powszechności. Marksizm zapoczątkował myślenie o stworzeniu wspólnego świata. Wyszedł od hasła nowoczesności – wolności, równości i innych, które wypisywane były na sztandarach różnych narodów. Chciał odnaleźć sposób na realizację tej obietnicy, z której kpił kapitalistyczny wyzysk. Wiemy jednak, że historia wybrała inny kierunek.

JACQUES BIDET, GERARD DUMENIL*

Skąd ta porażka? Czy możemy na nowo podjąć się tej misji? Niniejsza książka jest próbą zmierzenia się z tymi budzącymi wątpliwości kwestiami.

Czy możemy na nowo wyznaczać drogi przyszłości? To zadanie wymaga najpierw zrozumienia naszej teraźniejszości, która jawi się nam jako płatanina ciągle zmieniających się ścieżek, w której próbuje odnaleźć się każdy człowiek. Takie jest zadanie, które stawia sobie altermarksizm: nowy marksizm dla nowego świata, ostateczny cel naszych poszukiwań. Przyjdzie nam zmierzyć się z klasycznym marksizmem, w wersji samego Marksa lub tych, którzy się do niego później odwoływali, a także określić naturę i źródła jego niedoskonałości, które sprawiły, że okazał się niewystarczający. Spróbujemy im zaradzić. Oto wstępne zadanie „neomarksizmu”, którego główny cel stanowi analiza struktury klasowej.

Marksizm Marksa

Znana jest odpowiedź Marksa, że on sam „nie jest marksistą” wystosowana do rosyjskich rewolucjonistów, poszukujących intelektualnego mistrza. Niemniej jednak, Marks jest założycielem „marksizmu”.

Marksizm początkowo wpisuje się w dziedzictwo wielkiego ruchu społeczno-politycznego, który zatryumfował wraz z rewolucją francuską i, na przestrzeni XIX stulecia, ogarnął całą Europę. Ruch ten, wiążąc sferę polityczną z ekonomiczną, rozszerzył perspektywę emancypacji o sferę ekonomiczną. Marks walczył u boku czartystów o prawo do powszechnego głosowania i stawał równość polityczną na pierwszym planie. Podkreślał, że należy jednocześnie do „partii demokratycznej” i „partii komunistycznej”, rozumiejąc przez to, że opowiada się jednocześnie za każdą z nich [1], że przystępuje do każdego z tych obozów. Poprzez „komunizm” rozumiał skuteczną realizację porządku społecznego dostosowaną do „liberalnych” zasad proklamowanych w sferze politycznej.

Marks stara się oderwać socjalizm od jego pierwotnych, utopijnych sformułowań. Nie próbuje od razu konstruować projektu społecznego, lecz stara się najpierw zrozumieć współczesną gospodarkę, jej główne tendencje oraz przyszłe możliwości, jakie stwarza jej dynamika. Podejmuje klasyczne analizy ekonomiczne zapoczątkowane przez Smitha i Ricarda, by je następnie skrytykować. Pokazuje, że społeczeństwo, w którym żyjemy opiera się na społecznie nierównej wymianie wartości. Robotnik produkuje więcej niż otrzymuje w formie płacy. A wskutek wyzysku bogactwo kapitalistów wciąż się zwiększa. System jako taki stale się odtwarza, nawet jeśli niektóre jednostki zmieniają własną pozycję społeczną. Klasa panująca w sferze ekonomicznej wciąż się zwiększa, jednocześnie klasą rządzącą w sferze politycznej, ideologicznej i kulturowej.

Ta radykalna analiza krytyczna wpisuje się jednak w wizję historii rozumianej w kategoriach postępu. Kapitalizm, system bardziej produktywny niż wcześniejsze, dla którego polem rozwoju jest wielkie przed-

siębiorstwo, dąży do zwiększenia liczby zatrudnionych, którzy są wciąż lepiej wykształceni i jednoczą się poprzez społeczny udział w procesie produkcji. Nieuchronnie wytwarza więc swoich własnych „grabarzy”. Zbliża się chwila, w której społeczeństwo będzie w stanie wyzwoleć się ze ślepych mechanizmów własności prywatnej i rynku. Można jednak osiągnąć ten cel jedynie poprzez społeczną i polityczną organizację klasy robotniczej i innych klas wyzyskiwanych, na szczęble, który, podobnie jak rynek, przekroczy granice państw i narodów: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”

Oto, ujęta bardzo schematycznie, koncepcja, która od czasów Marksa zdobywała stopniowo hegemonię w ruchu robotniczym, najpierw w Niemczech, później w całej Europie, a pod koniec XIX w. obszar jej wpływów rozszerzył jeszcze bardziej.

Marksizm w historii XX w.

Epoka naznaczona przez tryumf kapitalizmu przemysłowego w Europie i Ameryce Północnej oraz podział reszty świata pomiędzy imperialistyczne potęgi to jednocześnie okres, w którym formuje się ruch robotniczy, tworząc związki zawodowe i partie o charakterze masowym. Dążą one do ustanowienia ustroju socjalistycznego zgodnego z zaproponowanym przez Marksa ujęciem: planowa organizacja produkcji zorientowana na zaspokajanie podstawowych potrzeb materialnych i kulturowych, w warunkach demokracji społecznej i politycznej. Główną wyrazicielką tych dążeń stanie się Druga Międzynarodówka.

I wojna światowa, będąca efektem sprzeczności pomiędzy wielkimi potęgami imperialnymi, spowoduje w łonie marksizmu zasadniczy kryzys, który zapoczątkuje rozłam między prądem *reformistycznym* i prądem *rewolucyjnym*. Ten pierwszy zgadza się postępować zgodnie z narodową logiką państw panujących. Lenin przeciwstawia mu logikę oporu przeciwko wojnie i wywołanego powstania podporządkowanych i wyzyskiwanych mas ludzkich, zarówno w krajach centralnych, jak i peryferyjnych. W tym kontekście marksizm stopniowo zaczyna być utożsamiany z teorią rewolucji społecznej i politycznej, zacznie również powoływać się na kategorie zaczerpnięte ze sztuki wojennej, takie jak stosunek siły, awangarda, taktyka i mobilizacja mas.

Rewolucja tego typu, taka jak rewolucja bolszewicka w Rosji, okazała się zdolna do zniszczenia dawnych, przedkapitalistycznych społeczeństw i – na pewien czas – kielkujących na tych terenach struktur kapitalistycznych. Zmienił też cel wyznaczony marksizmowi. Dotychczas miał on za zadanie opisać nowy porządek, teraz ma go pod wodzą proletariatu stworzyć. Efektem tej rewolucji jest kolektywizacja potężnych środków produkcji i zastąpienie rynku systemem ogólnego planowania sterowanego przez jedną partię, zarządzającą formalnie nowoczesnym aparatem państwowym. Zgodnie z kategoriami teorii nazywanej przez władzę stalinowską „marksizmem-leninizmem”, wybiła godzina „realnego socjalizmu”. Jest to termin dyskusyjny, lecz od tamtego czasu znajdujący się w powszechnym użyciu.

Rewolucja zapoczątkowana przez Lenina będzie miała jednak powszechny odźwięk. Zainspiruje wielkie ruchy wyzwolenie, które odtąd pojawiać się będą w każdej części świata. Przede wszystkim w Chinach. Pojawienie się Związku Radzieckiego, jako wielkiej potęgi w kresu II woj-

ny światowej, stworzy świat dwubiegowy. W związku z takim rozkładem sił kraje Trzeciego Świata nieprzypadkowo sięgnęły po socjalizm w tym samym momencie, co po wyzwolenie narodowe. Co do marksizmu na Zachodzie, gra on odtąd decydującą rolę w społecznych i demokratycznych zdobyciach stulecia. W łonie socjaldemokracji będzie stopniowo tracił swój doktrynalny status. Najbardziej radykalne ambicje marksizmu zachowa, często skonfliktowany z „ojczyzną socjalizmu”, ruch komunistyczny. Ale nawet on zostanie w końcu porwany przez liberalny huragan.

Kulturowy wymiar klasycznego marksizmu

Wiadomo, że marksizm zapoczątkował patrzenie na politykę w kategoriach walki klasowej. Kto jest wyzyskiwaczem? Kto wyzyskiwanym? Kim są nasi wrogowie? Kto może stać się naszym sprzymierzeńcem? Te pytania wyznaczyły historyczne strategie rewolucji XX w.: powstań, walk antykolonialnych i innych walk w krajach Trzeciego Świata, oraz, bardziej ogólnie, organizacji, które odnoszą się do marksizmu.

Ale marksizm jest czymś więcej niż zwykłą doktryną polityczną. Wspiera się na analizie ekonomicznej, która nie przestała się rozwijać, poczynając od czasu przeprowadzonych przez Hilferdinga i Lenina analiz kapitału finansowego i imperializmu, aż po współczesne opracowania teoretyczne wypracowane przez neoliberalizm, nie zapominając o prowadzonych przez badaczy Trzeciego Świata analizach zależności i nierównej wymiany. Nosi także znamiona prądów nieortodoksyjnych, kontestujących ustalony porządek, by wspomnieć choćby francuską szkołę regulacji lub lewicowych keynesistów. A ideolodzy prawicy są zawsze gotowi go demaskować – często tam, gdzie wcale go nie ma.

W XX w. marksizm głęboko przeniknął wszystkie gałęzie nauk społecznych. Nazwał teorię socjologiczną, od Webera, który nie odwoływał się do socjalizmu, po Bourdieu, który pokusił się o własne rozszerzenie analizy stosunków klasowych. Marksizm wpłynął na rozmaite szkoły historyczne, np. szkołę *Annales*. Zainspirował nowe ujęcia w różnych dyscyplinach, od prawa po antropologię, jak również krytyczną teorię kultury. Stanowił natchnienie dla literatury i filmu. Wykorzystywany był, na przestrzeni wieku, przez różne prądy i awangardowe nurty współczesnej sztuki: ekspresjonizm, surrealizm i... realizm. Wzbogacał je, choć czasem, trzeba przyznać, szkodził.

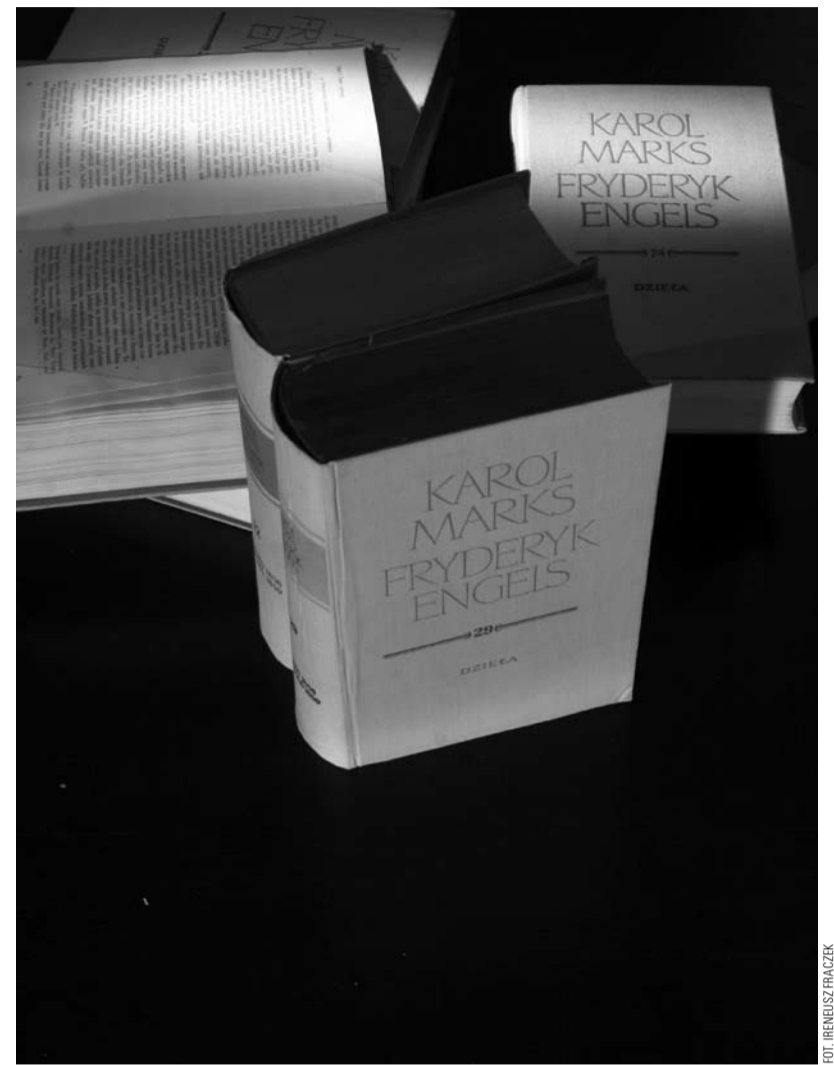
Jako „wizja świata” marksizm może zostać sformułowany w językach różnych systemów filozoficznych. Początkowo związany z heglowską dialektyką, dał się również poznać w różnych wersjach fenomenologicznych, w spinojańskim materializmie, anglosaskiej filozofii analitycznej, czy wreszcie w teologii wyzwolenia. Zainspirował grońo takich intelektualnych osobowości, jak Gramsci, Adorno, Althusser, Benjamin i wielu innych, wokół których rozwinęły się poszczególne szkoły. Chętnie sprzymierzały się z nim nawet postacie jawnie się odeń odcinające, jak Rawls, i zdystansowane, jak Habermas czy Foucault. Zawsze asymilował się w danym środowisku.

Jeśli w istocie tak jest, jeśli termin „marksizm” ma sens tylko w relacji do wszystkich tych splatających się ze sobą pól, to ambicja stworzenia „neomarksizmu” czy „altermarksizmu” podsumowującego w krytyczny sposób dziedzictwo marksizmu okazuje się nieskończenie problematyczna.

Zważyć trzeba również, że pada nań cień doktryny propagowanej przez stalinowskie podręczniki pod nazwą „marksizmu-leninizmu”. Cięży również na nim podwójne podejście: w najgorszym razie, że jest ideologicznym szumem wokół przedsięwzięć totalitarnych, w najlepszym – że jest przestarzałą utopią.

Porażki projektów podejmowanych w imię marksizmu

Istotnie, trzeba uznać, że projekty historyczne podejmowane w imię marksizmu zakończyły się mniej lub bardziej oczywistą klęską. Chodzi nie tylko o tragiczne skutki



FOR: HENRIUSSEFRANCAZ

i nieszczęsny koniec radzieckiego eksperymentu, całkowite odwrócenie się od marksizmu w Chinach czy w rejonach nazywanych do niedawna Trzecim Światem. Lecz również, jednocześnie, o ogólnosiwiatowy tryumf neoliberalizmu pod egidą Stanów Zjednoczonych, o to, że niemal znikły już partie i związki odwołujące się do Marksa; i o klęskę idei socjalistycznych i socjalnych w sercu kontynentu, gdzie się narodziły. Nie dziwi nas, że zdaniem wielu marksizm należy już do przeszłości.

Odrobina uwagi wystarczy oczywiście, by pojąć, że to, co rozwijało się pod banderą marksizmu – analiza wyzysku, krytyka dominacji i dyskryminacji, zbiorowe walki o emancypację różnych grup, społeczne praktyki organizacji, wizja uniwersalistyczna – znajduje obecnie swoje przedłużenie w innych paradygmatach: ekologii, feminizmie, radykalnej demokracji i alterglobalizmie. Ale to prowadzi radykalną lewicę do przekonania, że można się obejść bez marksizmu. Czy można jednak zrozumieć upowszechnienie różnych form niepewności na rynku pracy albo katastrofalny stan środowiska naturalnego abstrahując od „logiki zysku”? Czy można pojąć problem rasizmu postkolonialnego albo konfliktów między Północą a Południem, nie odnosząc się do „imperializmu”? W chwili, gdy najbardziej klasyczne pojęcia marksistowskie w tak wyraźny sposób wracają do porządku dziennego, jak krytyczni myśliciele i działacze mogą sobie wyobrazić, że mogą sobie poradzić bez marksizmu?

Byłoby jednak naiwne kontentować się tym „powrotem Marksa” i widzieć w tym wszystkim jedynie sygnał, że wystarczyłoby „wrócić do Marksa”. Albowiem częścią marksizmu rzeczywiście umarła. Jednak próba dokonania selekcji pomiędzy tym, co jest *martwe* i tym, co pozostało *żywe*, również nie jest postępowaniem stosownym do wagi problemu. Boviem poza przemianami kapitalizmu musimy wziąć również pod uwagę to, co *prawdziwe* i to, co *falszywe*. To, co było niewystarczające od samego początku. Pozostaje tylko kwestia ustalenia, jakie treści powinna zawierać ta niezbędna krytyka klasycznego marksizmu.

Spadkobiercy Marksa z pewnością uznali fiasko realnego socjalizmu. Zgodnie pochwalają również upadek muru berlińskiego, symbolizujący koniec pewnej epoki: rewolucja proletariacka, jak wszyscy dziś przyznają, szybko zbroczyła z kursu. Pozostaje jeszcze udzielić kilku niezbędnych wyjaśnień. Nie wystarczy bowiem, rzecz jasna, zadowolnić się stwierdzeniem, że budowa socjalizmu jest trudna, że zdarzyły się po-

myłki i błędy oraz że można na nowo podjąć to wyzwanie, tym razem w sposób demokratyczny, pośród ludzi dobrej woli. „Marksściści” powinni sobie uświadomić, że awangardowi rewolucjonści dążący do ustanowienia społeczeństwa bezklasowego sami podlegali określonym stosunkom klasowym, ciężącym na ich praktyce. Czy za hasłem „cała władza w ręce rad” nie kryły się aby uwarunkowania klasowe? I jakie? Oto na co trzeba odpowiedzieć: jaki potencjał społecznego wyzysku był w ukryty sposób wpisany w rewolucyjny proces prowadzony w imię marksizmu.

Ale krytyce poddać należy nie tylko to, co czyniono „w imię marksizmu”. Sam marksizm również należy przemyśleć na nowo. Nigdy bowiem, naszym zdaniem, nie przeprowadził swojej samokrytyki, nigdy nie był zdolny spojrzeć na siebie z dystansem. Nie potrafił nigdy rozpoznać realnych ograniczeń wpływających z jego historii i, mówiąc ściślej, swoich dokonań. A jedynie z takiej samokrytyki może zrodzić się neomarksizm, pierwszy etap gruntownej przebudowy.

Teza neomarksizmu

Oczywiście, wielu marksistów, m.in. w ruchu trockistowskim, walczyło przeciwko stalinizmowi. Klasyczny marksizm zachodni sam sobie udzielał licznych napomnień. Partie i organizacje marksistowskie nigdy nie zaniechały prób swojego *aggiornamento*, adaptacji do zmieniającej się rzeczywistości. Nie brakowało również krytyki z zewnątrz, nieraz mocno uzasadnionej. Wszystko to jednak nie wystarczy, by przeprowadzić krytykę marksizmu w jego klasycznej formie, której okres dobiegł już końca. Nie możemy tego dokonać inaczej, jak tylko pod warunkiem wyjaśnienia historycznych i społecznych uwarunkowań jego powstania.

Jednym z zamiarów tej książki jest udo- wodnienie, że marksizm, będąc dyskursem o *klasie*, jest jednocześnie ważnym dyskursem o *sojuszu klas*. Przedmiotem jego badań są zarówno „masy ludowe” (we współczesnym kształcie społeczeństwa *klasy fundamentalne*, według terminologii, którą przyjęliśmy w niniejszej książce), jak również inne kategorie społeczne, które grają kluczową rolę zwłaszcza w XX w. – różnego rodzaju *kadry* i *specjaliści*. Tezą tej książki jest pogląd, że marksizm w klasycznej formie jest dyskursem zajmującym się problematyką tego historycznego sojuszu. A nie tylko dyskursem wyzyskiwanych. Wynika z tego pewna dwuznaczność, która musi zostać sprecyzowana.

* Odpowiednio filozof i teoretyk społeczny, profesor na wydziale filozofii Uniwersytetu Paris X – Nanterre oraz ekonomista, dyrektor ds. badań w CNRS (MODEM, Uniwersytet Paris X – Nanterre).

Ale perspektywa przyjęta tutaj nie jest perspektywą postmarksistowską. Projekt ten jest w stanie podjąć Marksowskie wyzwanie, nawet bez Marksa. Chcemy wszcząć tę walkę teoretyczną na etapie podobnym do tego, gdzie zaczął ją sam Marks – proponując nową teorię klas społecznych. Spróbujemy na nowo podjąć się tego przedsięwzięcia teoretycznego. Historia nauki uczy nas, że najbardziej płodne teorie kończą się, ukazując swoje niedoskonałości. Ich względną prawdę można więc przechować, jedynie wpisując ją w bardziej ogólne rozważania, które są w stanie zinterpretować wyznaczony im obszar. W tym znaczeniu, nasz projekt wpisuje się w historię nauk społecznych.

Pod tym względem, niniejsza praca wynika ze szczególnej zbieżności pomiędzy filozoficzną a ekonomiczną krytyką teorii marksistowskiej. Podejmuje ją, poczynając od jej podstawowych pojęć. Stara się je na nowo rozwinąć w ich wszystkich wymiarach: ekonomicznym, filozoficznym, politycznym, prawnym, historycznym i socjologicznym. Z drugiej strony nasza praca przybiera postać konkretnych, empirycznych, globalnych badań: proponuje nową zasadę odczytania historii ekonomicznej i społecznej XX w., obejmując kapitalizm i socjalizm, kompromisy, zwycięstwa i klęski, by wreszcie osiągnąć punkt kulminacyjny – interpretację współczesnej globalizacji neoliberalnej, zarówno jej strategii jak i trwającego już procesu przekraczania jej.

Pojęcie altermarksizmu

W istocie, świat się zmienia. I neomarksizm byłby niewystarczający, gdyby się nie rozwinął i nie przekształcił w altermarksizm, czyli zarazem narzędzie opisywania nowych zjawisk, charakterystycznych dla współczesnego świata i, w perspektywie politycznej, nadzieję na zmienianie świata.

Altermarksizm jest nową teorią świata odnoszącą się do klasycznych ujęć imperializmu i do nowych informacji dostarczonych przez badaczy Trzeciego Świata z lat 60., opisujących świat kapitalistyczny jako „system”. Zamierza ona od nowa przeprowadzić te analizy, pokazując, że teoria klas społecznych proponowana przez neomarksizm jest warunkiem zrozumienia współczesnego państwa narodowego. Od tego momentu asymetryczna przemoc między narodami stanowić będzie centrum jej analiz, dzięki którym wypracowane zostaną narzędzia potrzebne do określenia czym jest kapitalizm i „nowoczesność”. Altermarksizm jednocześnie poszerzy naszą perspektywę, ukazując, że zza horyzontu ponownie wyłania się figura państwa narodowego, przybierając formę rodzącego się państwa światowego, głęboko wplecionego w hierarchiczne struktury neoliberalnego imperializmu.

Polityka, która jest odpowiednia dla tej wizji społeczeństw i świata przybiera cztery formy: Polityka *jedności* w łonie klas fundamentalnych. Konfliktowa polityka *sojuszu* pomiędzy partnerami klasowymi, których najpierw należy określić. Polityka *ludów* wobec imperialnej przemoc. Nowym podmiotem, który powinien zostać powołany jest polityka *ludzkości*, zdolna do stworzenia takiego „my”, w którym wszyscy mogą się odnaleźć, biorąc na siebie ciężar obietnic czasów współczesnych, z którymi miał się zmierzyć komunizm Marksa.

Niniejsze studium nie żywi szalonego zamiaru opracowania wszystkich zagadnień składających się na program takiej odnowy, chcemy jedynie otworzyć pewne perspektywy. Należy wspomnieć zwłaszcza jedną kwestię, która będzie przywoływana jedynie mimochodem, mianowicie problematykę *gender*, czyli „społecznych stosunków płci”. Powodem jest fakt, że to ogromne pole problemów nie może być poruszane bez odwoływania się do wielu źródeł innych niż marksizm: wymaga wielodyscyplinarnego zaangażowania antropologicznego i krytyki innej niż ta, jaką mogą przeprowadzić filozofia polityczna i współczesne nauki społeczne. Powiązanie jej z naszym studium, które jest przede wszystkim pracą o aparacie pojęciowym marksizmu, implikowałoby konieczność rozległych badań. Ograniczyliśmy się do zasugerowania kilku związków (w sprawach stosunków klasowych, płci i rasy) z aktualnymi pracami w badaniach feministycznych

Polityczna stawka teoretycznej odnowy

Wbrew przyjętym we współczesnym dyskursie tendencjom do kompromisu i rezygnacji, chcieliśmy napisać książ-



FOT. HEINRICH TRAPPEK

kę zbójczą. Nie utopię, lecz nasz wkład w potężną walkę, która rozgrywa się na progu nowego stulecia.

Dawne rewolucje, wielkie wystąpienia ludowe pod przywództwem burżuazji pokonały dawny porządek przedkapitalistyczny. Rewolucje XX w. pod wodzą oświeconych, zorganizowanych elit wyzwoliły skolonizowane ludy, lecz ostatecznie, podporządkowane woli swoich przywódców, nie dotrzymały swych obietnic ustanowienia społeczeństw alternatywnych względem kapitalizmu. Rewolucje XXI w. będą zaś dziełem klas, które nazywamy „fundamentalnymi”, tej rzeszy pracującej „na dole” i gwarantującej wspólne życie. Przywrócić naszemu światu cywilizowane oblicze.

Oto teza, którą pragniemy udowodnić. Marks i Lenin pozostawili nam potężne i obfite dziedzictwo. Nie moglibyśmy jednak z niego czerpać inaczej, niż poddając je radykalnej krytyce i próbując odpowiedzieć na wzniecone przez nie wątpliwości. Taki jest wątek przewodni, który prowadził nas będzie aż do końca książki, aż do próby sformułowania od nowa zadań politycznych właściwych naszym czasom.

Pierwszym wyzwaniem, stojącym dziś przed grupą, którą Marks nazywał proletariatem, a która przybrała od tamtego czasu niejednorodną formę klasy ludowej, której członkowie zajmują różne pozycje w społeczeństwie kapitalistycznym, jest *zjednoczenie się*. Od kiedy neoliberalizm dokonał podziału wielkiego przedsiębiorstwa, w wymiarze narodowym i międzynarodowym, oraz zniszczył władzę związków zawodowych, klasy te mają tendencję do tworzenia całości niestałej, kruchej, rozbitnej. Ich walki spletają się z innymi – walką kobiet przeciwko wciąż odradzającemu się patriarchatowi, walką ludów zmuszonych do migracji, walką wykluczonych i mniejszości wszelkiego rodzaju – z którymi są mocno splecione. Trzeba jednak w różnorodności problemów zauważyć te same ogólne przyczyny. Bowiernie to właśnie logika zysku kapitalistycznego stworzyła tygiel, w którym spotkały się wszystkie charakterystyczne cechy naszych czasów: od niepewności zatrudnienia, dyskryminacji i braku zabezpieczeń społecznych w krajach centralnych aż po wykorzenianie mas na peryferiach, nie zapominając o niesłychanej wprost możliwości eksterminacji i niszczenia środowiska dla własnych zysków.

Neoliberalizm próbuje zniszczyć mechanizmy solidarności stworzone przez siły ludowe w ubiegłym wieku wokół państwa narodowego. Kapitałiści odzyskują swoją władzę i dochody, na nowo uzyskują też przywileje. Zarówno na forum międzynarodowym, jak i wewnątrz państw wiodą bezlitosną walkę klasową. Nie wystarczy więc powiedzieć, że klasa posiadająca jest pasożytnicza. Funkcje społeczne, które skupia w swoich rękach, mogliby przejąć i wypełnić inni. Powinna więc zostać wyparta. To dlatego drugim wyzwaniem jest zawiązanie sojuszu pomiędzy wszystkimi siłami, które mogą się do tego przyczynić. Współczesne klasy fundamentalne, odkał są aktywne, wiedzą, że mogą znaleźć partnerów jedynie po stronie „kadr i specjalistów”. Jedynie w tych warunkach może nastąpić historycznie trwa-

ły postęp, czy to w formie rewolucji, czy reform. Z drugiej strony ważne jest, abyśmy nie zapomnieli, że ten sojusz pozostaje walką, stosunkiem klasowym, stale gotowym by się odwrócić. Widzieliśmy to w historycznym impasie realnego socjalizmu. Dziś widzimy to samo w innej formie: elity, które pochłonęła służba na rzecz rentowności kapitału, porzuciły za-

dania państwa socjalnego. Trzecim wyzwaniem, jakie czeka klasy fundamentalne, jest upodmiotowienie się *na szczeblu światowym*. Imperializm tworzy rdzeń neoliberalizmu, który zmusza do nierównej konkurencji robotników całego świata, narzucając z odnowionym rygiorem czystą logikę produkcji, wbrew wszystkim solidarnościom narodowym. Klasy ka-

pitalistyczne i wielkie potęgi pod wodzą najpotężniejszej z nich, Stanów Zjednoczonych, stojących na pozycji superpaństwa, wytyczają się by uczynić to prawem powszechnym i nowym obyczajem. Ale wraz z powszechną integracją gospodarki i ułatwieniami komunikacyjnymi na obszarze całej planety, w nieunikniony sposób utrwała się państwowość światowa. Rodzące się państwo światowe zapowiada się jako ostatni akt historii nowożytnej, zapoczątkowanej przez powstanie państw narodowych. Rozpoczyna swoje istnienie w wyalienowanej formie, podporządkowane centrum władzy kapitalistycznej, która czyni swoje główne instytucje (Organizację Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Światową Organizację Handlu) instrumentami imperialnego panowania. Ale już w tych warunkach jego istnienie oznacza, że rodzaj ludzki tworzy odąd wspólnotę polityczną. Tworzy ośrodek stanowienia prawa, w którym społeczeństwo światowe wobec wspólnych dla wszystkich zagrożeń i wobec wyzwań wspólnego odłamu powinno znaleźć siły do walki w nadchodzącym wieku.

tlum. Maria Więckowska

Fragment książki Jacquesa Bideta i Gerarda Dumena *Altermarksizm*, której polski przekład ukaze się wkrótce nakładem w Wydawnictwa Akademickiego Dialog.

[1] Woryginalie – podkreślona przez autorów gra słów: słowo „parti” oznacza m.in. partię polityczną, zaś wyrażenie „prendre un parti” – opowiedzieć się za czymś, zdecydować się na coś. (przyp. tłum.)

woda pitna
ZBIERAM WODĘ

7 złotych wystarczy, żeby zapewnić jednej osobie dostęp do wody przez sześć tygodni. Przyłącz się i pomóż zbudować Polskiej Akcji Humanitarnej studnie w Afryce. Możesz wpłacić dowolną kwotę na nasze konto 65 1060 0076 0000 3310 0016 0860 lub kupić Kroplę* za pośrednictwem strony www.wodapitna.pl

*Kropla to tzw. stress ball – miękka, plastyczna zabawka, którą ugniata się w dłoni i obraca palcami. Działa od stresujących i pomaga zmniejszyć napięcia mięśni ręki.

Projekt przygotowany i rozpowszechniany bezpłatnie.

Polska Akcja Humanitarna



Pinterlandia w filmie

KATARZYNA SZUMLEWICZ
JAKUB MAJMUREK*

Niedawno zmarły Harold Pinter znany był głównie z twórczości dramatycznej, za którą otrzymał w 2005 r. Literacką Nagrodę Nobla. Miał on jednak także ogromny i trudny do przecenienia wkład w kinematografię. Pinter współpracował jako scenarzysta z wieloma reżyserami, z których każdy miał swój własny, osobisty styl, program estetyczny, zainteresowania etc. Byli to twórcy tak różni jak Karel Reisz, Volker Schlöndorff czy Joseph Losey. W dodatku pisząc dla kina Pinter na ogół adaptował prozę innych autorów, np. Johna Fowlesa, Margaret Atwood czy Franza Kafki. Na ekran przeniesiono także wiele jego sztuk – od zaadaptowania dla kina dramatu *Dozorca* w 1963 r. zaczyna się zresztą przygoda Pintera z kinem. Jednak jeśli gdzie szukać na ekranie Pinterlandii, to nie w adaptacjach jego sztuk, które na ogół są dość przeciętne, ale w filmach, które Pinter robił razem z Josephem Loseyem. Losey i Pinter nękcili wspólnie trzy filmy: *Wypadek*, *Postanieniec* i *Służący*. Wszystkie trzy to bardzo wyrafinowane dramaty psychologiczne, podobne do siebie pod względem formy.

Służący to portret brytyjskiego systemu klasowego w pigułce, ukazany przy pomocy technik wywiezionych z teatru absurdu i teatru okrucieństwa. Film jest precyzyjnym studium sadomasochistycznych relacji mikrowładzy rozgrywających się między dwoma młodymi mężczyznami; Tonym, przedstawicielem klasy wyższej, i jego lokajem Hugonem Barettem. W tle tej relacji są jeszcze dwie kobiety; narzeczona „pana” Susan (dziewczyna z górnych warstw klasy średniej, aspirująca do klasy wyższej), oraz narzeczona „sługi” Vera, obie służące mężczyznom jako narzędzia w ich walce o władzę. Film stanowi adaptację minipowieści Robina Maughama. W powieści relację między lokajem i jego pracodawcą obserwujemy z punktu widzenia trzeciej postaci, przyjaciela Tony’ego, pochodzącego

z tej samej co on klasy społecznej. Proza Maughama zbudowana jest z opisu kolejnych spotkań przyjaciela z Tonym, który ze spotkań na spotkanie coraz bardziej się zmienia, aż w końcu wydaje się być zupełnie we władzy swojego demonicznego sługi. Scenariusz Pintera zupełnie zmienia perspektywę narracyjną, film pokazuje dokładnie to, czego nie było dane poznać czytelnikowi w literackim pierwowzorze filmu. Pinter z Loseyem zabierają widza w sam środek relacji między panem a sługą, ukazując jej dynamikę.

Jednak co tak naprawdę dzieje się w filmie na poziomie politycznym? Bez wątpliwości na ekranie toczy się wojna klasowa. Hugo chce się zemścić na Tonym za przywileje, których sam był zawsze pozbawiony i o których wie, że nigdy ich nie posiadał. Ale jednocześnie działania sługi nie prowadzą do zniesienia dyktando panowania i niewoli, sługa zadawała się tym, że tak naprawdę kieruje panem, że zajmuje (jak mu się wydaje) jego miejsce. Poza tym wszystkim jest to niewątpliwie film o męskości. Bohaterów wszystko różni poza wspomnieniami z wojska, które mają podobne – i obaj je sobie chwala. Stąd ich autorytaryzm i sadomasochizm. Warto też zwrócić uwagę, że ich hipermęska gra o panowanie jest podszyta homoseksualizmem, bez którego nie mogłaby się obejść.

Wypadek i *Postanieniec* mają wyrafinowaną strukturę narracyjną, opartą na licznych, słabo sygnalizowanych widzowi retrospekcjach, są obrazami pracy pamięci swoich głównych bohaterów, próbujących odzyskać przeszłość i nadać ponownie sens wydarzeniom, jakie miały w niej miejsce. Jest to przy tym kino jak najbardziej polityczne, choć oczywiście nie w tym sensie, co powstające w tym samym czasie na Wyspach kino Młodych Gniewnych. Losey i Pinter upolityczniają widza w zupełnie odmienny, mniej bezpośredni sposób. Narratorami tych filmów są osoby należące do warstw średnich, obce w świecie arystokracji, do którego udało się im dostać i na który patrzą tyłem z estetyczną fascynacją, co zazdrością i resentymentem. Jednak Loseyowi nie chodzi o prostą „krytykę zepsutych elit”. Przeglądając się górnym warstwom społeczeństwa robi przy okazji dwie rzeczy: z jednej strony bada ukryte w kulturze mechanizmy przemocy i władzy, ciągle obecne w – jak by się mogło wydawać – zupełnie od nich wolnych in-

stytucjach, z drugiej rysuje społeczną ekonomię pragnienia, pokazuje w jaki sposób krąży ono w organizmie społecznym, jak się w nim obsadza, jak działa przy tym resentment. Ten drugi motyw widoczny jest zwłaszcza w *Wypadku*.

Pozornie fabuła jest prosta. Stephen wyklada filozofię na Oksfordzie, ma dwójkę dzieci, młodą żonę oczekującą trzeciego i piękny, stary dom na angielskiej wsi. Jest przy tym erotycznie zafascynowany jedną ze swoich studentek, austriacką arystokratką Anną von Graz und Loben. Jej narzeczonym jest inny student Stephena, William, syn Lorda Cordington. Stephen zostaje zaproszony na przyjęcie do domu arystokraty. Całe przyjęcie, wszystkie towarzyskie rytuały są tak naprawdę formą pojedynku Williama i Stephena o Annę. Film Loseya nie idzie jednak konserwatywnym tropem przeciwstawiania przemocy kulturze, która ma tę przymoc sublimować i kielznać. Twórcy filmu skupiają się na tym, jak instytucje kultury tworzą i wyrażają przemoc, dyssymulując ją przy tym.

Z kolei *Postanieniec* jest wspomnieniem starszego człowieka, Leo Colstona, na temat wakacji, jakie spędził mając 13 lat w pałacu swojego kolegi ze szkoły, Marcusa. Wspomniane wydarzenia mają miejsce w epoce edwardiańskiej, Leo pochodzi z klasy co najwyżej średniej, wychowywany jest w dodatku w dodatku przez samotną matkę. Pałac zamieszkuje liczna rodzina Marcusa, która z arystokratyczną gościnnością przyjmuje Leo, co chłopak – nie znający reguł świata klas wyższych – bierze za dowód prawdziwych uczuć. Rzeczywistość pałacu jawi się mu jako świat harmonijny, zamknięty i arkadyjski. Ten obraz rozsypane jest wraz z pracą pamięci dorosłego Leo, pojawiają się w nim napięcia, nierówności, konflikt. *Postanieniec* mówi o podwójnej inicjacji Leo w dwie różniące się społecznie i seksualnie, różniące klasową z jednej strony i seksualną z drugiej. Świetna jest tu scena wspólnego meczu krykieta rodziny Marcusa i jej dzierżawców. Pozornie jest ona wyrazem jedności wiejskiej wspólnoty pod przewodnictwem parafudalnej elity, ale tak naprawdę stanowi bardzo subtelną manifestację władzy i systemu klasowych dystansów.

Innym niezwykle ciekawym filmem napisanym przez Pintera jest *Kochanica Francuza* (1981), którą zrobił razem z Karem Reiszem. O ile swoista „trylogia” duetu Pinter-Losey to filmowy wysoki modernizm w najczystszej postaci, to *Kochanica...* jest kinem postmodernistycznym. Taką estetykę narzuca oczywiście literacki oryginał, powieść Johna Fowlesa, pastisz prozy Thomasa Hardy’ego przetykany licznymi para-eseistycznymi wtrętami. Jest to jedna z najważniejszych powieści postmodernistycznych w literaturze brytyjskiej. By ocalić na ekranie ten postmodernistyczny dystans wobec fabuły, Pinter wpadł na pomysł, by *Kochanica...* była filmem o kręceniu kostiumowego, wiktoriańskiego dramatu, którego fabuła pokrywa się oczywiście z fabułą samej powieści. Jeremy Irons i Meryl Streep występują w podwójnych rolach aktorów i postaci z XIX-wiecznego romansu.

Pinter występował także jako aktor, zwłaszcza w latach 90. Na uwagę zasługuje szczególnie jego rola Thomasa Bertrama w bardzo oryginalnej (i wzbudzającej wielkie kontrowersje wśród fanów i fanek pisarki) adaptacji powieści *Mansfield Park* Jane Austen. Autorką filmu jest Patricia Rozema, która zaślęta na początku lat 90. jako jedna z głównych autorek kina lesbijskiego w Kanadzie. Rozema odczytuje Austen bardzo przewrotnie i Pinter jako aktor jest do tego doskonałym narzędziem. Jego rola w filmie jest jedną z kluczowych. Od początku wiemy, że odgrywany przezeń sir Thomas Beltram handluje niewolnikami i że z jego dochodów żyje całe liczne towarzystwo zamieszkujące tytułową posiadłość. Rozema jednak skonstruowała film w ten sposób, że widzimy, jak na swoistym zdjęciu roentgenowskim, szkielet władzy ekonomicz-

nej i społecznej, która zachodzi między bohaterami. Nikt nie chce wiedzieć nic bliższego o tym, czym trudni się sir Thomas; Fanny i w mniejszym stopniu Edmund są wręcz oświeconymi przeciwnikami niewolnictwa.

Bliższa wiedza o tym, co robi patriarcha rodu, owocuje szaleństwem: jego żona jest narkomanką, a starszy syn Tom zapija się nie mogąc znieść wspomnień z wyprawy z ojcem. To właśnie ich zapis w postaci rysunków znajdzie Fanny. Mamy tam tortury dokonywane na czarnych mężczyznach i czarne kobiety gwałcone przez białych; na jednym z rysunków widać sir Beltrama wykorzystującego niewolnicę. Jest to swoiste objawienie, na czym opiera się porządek społeczny Mansfield Park. Wszyscy żyją z handlu żywym towarem, także relacje erotyczne podporządkowane są logice kupna i sprzedaży. To właśnie sir Thomas zmienia pozycję Fanny obwieszając, że wyrosła z niej atrakcyjna kobieta, którą należy zaprezentować na balu, by mogła znaleźć zamożnego męża. Spełniający te kryteria Crawford posługuje się tą samą logiką; straszy Fanny biedą, w jaką popadnie bez niego, a po odmowie rujnuje życie kochance, z którą nie chce wiązać ślubu. Pinter fantastycznie wychwyłił cechę swojego bohatera, jaką jest ogniskowanie władzy ekonomicznej i seksualnej. Pomimo że lubi inteligencję Fanny, poniz ją publicznie sprawdzając jej zalety do pięknej figury. A przy tym nie jest ukazany jako potwór, ma kilka niewątpliwych zalet. Po prostu posiada ludzi i może z nimi robić, co mu się żywnie podoba.

Wątki feministyczne są obecne także w zrobionym z Volkerem Schlöndorffem filmie *Opowieść Podręcznej* (1990), opartym na książce Margaret Atwood pod tym samym tytułem. Kanadyjska pisarka stworzyła antyutopię, która rozgrywa się w Republice Gileadzie, utworzonej po ekologicznym kataklizmie na dawnych terenach Stanów Zjednoczonych przez ultraortodoksyjne siły purytańskie, pragnące żyć według dosłowne interpretowanych nauk zawartych w Księdze Rodzaju. Bohaterką i narratorką powieści jest młoda dziewczyna, która utraciwszy męża i dziecko, pełni funkcję reproduktorki (ma urodzić dziecko gubernatorowi) w świecie ogarniętym plagą bezpłodności i jednocześnie obsesją na punkcie rodziny. W filmie Schlöndorffa/Pintera najmocniej zaakcentowany został wątek krytyki fundamentalistów religijnych; rodzina gubernatora do złudzenia przypomina ludzi z kręgów republikańskiej prawicy ery Reagana. Uchwycony został także klimat koszmarnego snu, matni, w jaką dostała się bohaterka.

Jak wynika z tego skrótego opisu, filmy, przy których współpracował Pinter mają zupełnie inne, a przy tym bardzo różnorodne, tematy i sposoby budowania narracji niż jego sztuki. Łączy je z nimi jednak niezwykle subtelna i wnikliwa analiza struktury i oddziaływania władzy, zarówno tej oficjalnej, jak i sprawowanej nie wprost. Drugie podobieństwo to formalna doskonałość, wyprzedzanie szczegółów, które zresztą czasami dawało efekt słabszy, niż można by się spodziewać: tak dzieje się chociażby w adaptacji *Procesu* Franca Kafki (w reżyserii Davida H. Jonesa, z doskonale dobranym Kylem MacLachlanem w roli głównej), która oddaje wprawdzie niezwykle wiernie pierwowzór, ale nie dyskutuje z nim, nie interpretuje go na nowo. Pinterlandia w tych filmach jest także obecna w postaci atmosfery niepokoju, podpełzającego z wolna przerażenia. Tak jak w jego sztukach, wywołane jest ono rozpoznaniem tego, z czym mamy do czynienia tu i teraz. Innymi słowy, mimo nieraz fantastycznych fabuł, filmy współtworzone przez Pintera nie były eskapistyczne, za każdym razem poruszały aktualne kwestie. Nie da się ich jednak sprowadzić do dorywczych interwencji, ponieważ ujmowały rzeczywistość w całym jej skomplikowaniu, nie podsuwając gotowych rozwiązań. To my sami mamy zmierzyć się ze stawianymi przez nie pytaniami.

Stefan Zgliczyński
Hańba iracka
Zbrodnie Amerykanów
i polska okupacja Iraku 2003-2008

Już w Empikach
i księgarniach
cena 25 zł

Książkę można też zamawiać
w wydawnictwie Książka i Prasa
ul. Twarda 60 • 00-818 Warszawa, tel. 22-624-17-27
e-mail: kip@medianet.pl, redakcja@monde-diplomatique.pl

PROWOKACJA CZY NORMALIZACJA?

Eytan Fox i tolerancja jako ideologia... okupacji

Reżyser filmowy Eytan Fox (ur. 1964 w Nowym Jorku) jest jedną z gwiazd liberalnego nurtu współczesnej kultury izraelskiej, jak również wschodzącą gwiazdą międzynarodowej kultury gejowskiej. Warto się przyjrzeć dwóm jego sztandarowym filmom, nie wydanym jeszcze w Polsce, ale cieszącym się już statusem kultowych w światowym obiegu kina o tematyce LGBT. Warto – ze względu na ich poważne ideologiczne implikacje wskazujące szersze problemy współczesnej kultury.

JAROSŁAW PIETRZAK*

Filmy Foxa charakteryzuje prowokacyjne (?) upodobanie do tematyki związanej z homoseksualizmem połączone ze strukturyzowaniem świata przedstawionego wokół wielokierunkowych osi złożonych i ostro zarysowanych konfliktów oraz raczej „przeźroczy” styl konotujący „normalność” pragnienia homoseksualnego oraz zdefiniowanego przez to pragnienie podmiotu. *Yossi and Jagger* (2002) to melodramat gejowski zainscenizowany w otoczeniu izraelskiego posterunku wojskowego na okupowanych Wzgórzach Golan. *Walk on Water* (2004) to z kolei historia funkcjonariusza Mossadu, który podaje się za przewodnika i zaprzyjaźnia się z niemieckim rodzeństwem – po to, by dotrzeć do ich dziadka, który w III Rzeszy był aktywnym nazistą (z poglądów swoich zresztą – jak się potem widzi dowiaduje – nigdy nie zrezygnował).

Yossi i Jagger

Uderzającym rysem pierwszego z tych filmów jest kompletna deproblematyzacja i zapoznanie samej funkcji posterunku wojskowego, w którym rozgrywa się ukrywana przed światem romans zewnętrznie chłodnego i zdystansowanego Yossiego z rozbrajającym i zabójczo przystojnym Loirem (ze względu na „showmańską” osobowość zwanym Jaggerem). Arabowie są tam jedynym widmem, które nie pojawia się nawet w kadry, oddając za to strzały, od których zginie jeden z kochanków, dzięki czemu historia ma uzyskać wymiar „tragizmu”, choć w istocie osiąga jedynie melodramatyzm.

Przypomniało mi się, co Slavoj Žižek napisał o *Monachium* Stevena Spielberga:

„W przeciwieństwie do prostackiego przeciwstawienia bohaterów dobrych bohaterom złym thrillerzy szpiegowskie z artystycznymi pretensjami pokazują „realistyczną złożoność psychologiczną” postaci z „naszej” strony. To „uczciwe” uznanie naszej własnej „mrocznej strony” nie tylko nie jest oznaką wyważonego ujęcia, ale wprost przeciwnie, skrycie uznaje naszą wyższość: jesteśmy „psychologicznie złożeni”, pełni wątpliwości, podczas gdy nasi przeciwnicy to jednowymiarowe, fanatyczne maszyny do zabijania. Na tym polega kłamstwo *Monachium* Spielberga – film ten chce być „obiektywny”, przedstawić moralną złożoność i ambiwalencję, psychologiczne wątpliwości strony izraelskiej, problematyczną naturę zemsty. To „realistyczne” podejście jeszcze bardziej oczyszcza agentów Mossadu: „patrzcie, nie są tylko chodnymi zabójcami, ale istotami ludzkimi ze swoimi wątpliwościami – to oni wątpią, a nie palestyńscy terroryści...”[1]

Czy to nie właśnie z tego rodzaju strategią mamy do czynienia w filmach Foxa? Za pozorami obrazoburczego ataku na konserwatywne składniki żydowskiej (czy izraelskiej) kultury [2], wynikającej z tych konserwatywnych składników hipokryzji (rodzona matka Loira – jak sama mówi – nie nie wiedziała o swoim synu i jego życiu) kryje się tu zbiorowy narcyzm dziubdziania w psychologicznej złożoności „naszych”. Wpisany w film postulat „tolerancji” wobec homoseksualizmu zaciągnięty jest tu na służbę ideologicznego zadania wypierania winy za okupację terytoriów arabskich i zbrodni popełnianych na arabskiej ludności, na których opiera się izraelska prosperość. Wymazana odpowiedzialność za przemoc wobec Arabów redukuje tu ich cierpienie do zadania dramaturgicznego: bezpośrednio spowodują oni śmierć Loira, z której widzi izraelski wyciąga taki pożytek, że – zamiast czuć się politycznie winny – może się wzruszyć złożonością emocjonalnej sytuacji „swoich”.

Jest jeszcze jeden poziom, na którym ten oficjalnie „obrazoburczy” film pełni funkcję ideologicznej autoafirmacji Izraela i wypierania jego winy. Umieszczenie akcji w urzędowym według „patriarchalnych” współczesnych środowisk armii (która w Izraelu, co zresztą w filmie widać, nie jest wcale otoczeniem tak zamaskulinizowanym, jak w innych krajach) służy rozmyciu dość oczywistego faktu, że Izrael ma co prawda swoje hałaśliwe szereg politycznie wpływowych grup ultrakonserwatywnej prawicy religijnej, *suma*



DINO DI NOLLE / YHUIDA LEVIANO / YOSSEI JAGGER

sumarum pełnią tam one jednak funkcję raczej kulturowej dystrakcji i atrakcji, przede wszystkim generującej efektowne medialnie starcia o składniki nadbudowy, bo w rzeczywistości społeczeństwo to plasuje się w rzędzie najbardziej zsekularyzowanych i obyczajowego wyzwolenia stanowiącego składnik kulturowej samodefinicji Tel Awiwu) mogą również pełnić niejawną funkcję ideologiczną: „zobaczcie, jak nasza kultura szanuje wolność jednostki (każdy może spać z kim chce)! – a jak to wygląda u Arabów? kto tu jest więc dobry, a kto zły?” Pociąga to za sobą cały łańcuch ideologicznych konsekwencji, u których kresu okupacja i „polityka planowego zniszczenia” (mówiąc tytułem książki Michela Warschawskiego) jawią się jako uzasadnione mocą cywilizacyjnej, kulturalnej i etycznej przewagi nad dzikimi i fundamentalistami.

Spacer po wodzie

Samą pracę ideologicznego wypierania najlepiej jednak ujawnia drugi ze wspomnianych filmów Foxa, *Walk on Water*, do którego uwagi słoweńskiego laconisty na temat *Monachium* Spielberga odnoszą się nawet jeszcze bardziej dosłownie, bo główny bohater, Eyal, pracuje tu w Mossadzie, a film zaczyna się sceną, w której z zimną krwią zabija on palestyńskiego tzw. terrorystę dosłownie na oczach jego dziecka i żony. Wątek palestyński powraca co jakiś czas w pierwszych partiach filmu. Będący pod uporzokowanym na turystyczną opiekę szpiegowskim nadzorem bohatera młody niemiecki gej Axel (wnuk nazisty) ma romans – czy może raczej flirt – z młodym Palestyńczykiem. Temat ataków „terrorystycznych” ze strony Palestyńczyków powraca a to w telewizji, a to, gdy okazuje się, że z ich powodu jakaś droga jest zamknięta, itd. Im dalej w film, tym wątek palestyński ulega coraz wyraźniejszemu spychaniu, aż z czasem znika całkowicie.

Dokładnie tak, jak to Žižek opisał na przykładzie *Monachium*, bohater, jeden z „naszych” – który w inicyjnej sekwencji zabił Palestyńczyka bez zmużenia oka – zaczyna przeżywać różne rozterki. Samobójstwo żony sprawia, że nie potrafi już zabijać i nie będzie w stanie wykonać polecenia zabicia starego nazisty. Przewycięża swoją niechęć i lęk przed homoseksualizmem, by zaprzyjaźnić się z niemieckim gejem, a potem dzięki temu znaleźć kobietę i założyć z nią nową rodzinę – film kończy się takim happy endem, zgodnie z klasycznym ideologicznym mechanizmem hollywoodzkiego „produktowania” pary i rodziny[3]. Wątek konfrontacji agenta Mossadu z flirtem bogatego Niemca z biednym Palestyńczykiem mógłby być wykorzystany do zmuszenia (izraelskiego) widza do konfrontacji z niewygodną prawdą rzeczywistości społeczeństwa ufundowanego na eksploatacji podbitych ziem i ich poniewieranych mieszkańców. Palestyńczyk wykonuje (jedyną dostępną mu) prostą pracę usługową, a jego wujek, handlarz odzieżą, jest bezbronny wobec wybuchu agresji dobrze sytuowanego Izraelczyka – kilka takich motywów dobrze dramatycznie skondensowanych mogłoby być znakomitą punktem wyjścia uruchamiającym prawdziwą krytykę społeczną, „krytykę krytyczną”, jak powiedziałby klasyk. Foxowi udaje się jednak rozmyć to do kulturalnie w logice sprowadzającej wszystko do niedogodności konfrontacji różnic międzykulturowych, z których najlepiej wyjść opierając się o zaklęcia „tolerancji wobec odmienności”. Eyal ostatecznie zdaje

egzamin z tego przedmiotu, bo zaprzyjaźnia się z gejem-wnukiem nazisty, a z wnuczką nazisty się ożeni i będzie miał dziecko. Zanim do tego dojdzie, w filmie dosłownie wszyscy całkowicie zapomną o Palestyńczykach. Dążeniem filmu jest uzyskanie dokładnego tego samego po stronie widza.

Film jest symptomatyczny także ze względu na inne ideologiczne „przeniesienia”, które się w nim dokonują. Chodzi mianowicie o perwersję etyki ponowoczesnej wcielonej w figurę Nazisty jako negatywnego *sacrum*, „Zła Absolutnego”. Nazizm był oczywiście złem krańcowym, problemem naszej współczesnej kultury jest jednak ideologia jego metafizycznej, negatywnej sakralizacji, która ma poważne konsekwencje. Należy do nich ukrywanie i rozmywanie wiedzy o tym, czym nazizm był naprawdę (a więc ekstremalną – ale wynikającą logicznie z mechaniki systemu – formą kapitalizmu w warunkach kryzysu tak głębokiego, „że stawiającego pod znakiem zapytania samą reprodukcję prostą istniejącego kapitału” [4]), a także funkcja etycznego wytrychu, który pozwala egzorcyzmować „nadwyżkę zniszczenia” kapitalistycznej formy uspołecznienia (a chodzi przecież o tę samą „nadwyżkę zniszczenia” tej samej formy uspołecznienia, która się ujawnia także w rasistowskim zarządzaniu Palestyńczykami za pomocą nadzwyczajnych dekretów i przez „politykę planowego zniszczenia”, którego padają ofiarą) w na politycznej figurze hitlerowca, zwykle oczyszczonej z odniesień do funkcji, jaką ideologia NSDAP pełniła dla wielkiego niemieckiego kapitału i klasy jego posiadaczy, a sprowadzonej do kulturowej cechy „braku tolerancji”, tyle tylko, że najdalej posuniętego. To też i wszelkie Zło Braku Tolerancji zostanie w finale przepędzone w akcie przywracającego ład symboliczny rytualnego kolektywnego (bo dokonanego we dwójkę) mordu na starym nazistcie. Żeby sprawa nabrała „mitopodobnej” gestości, dobrze się rymującej ze strategią negatywnej sakralizacji Nazisty, ostateczny gest odebrania mu życia wykona jego wnuk.

Nazista jest tu (co nawet w pierwszej chwili zaskakuje) przedstawiony jako przedstawiciel wielkiej burżuazji, a jego przyjęcie urodzinowe znów mogłoby być zarysem „krytycznej krytyki”, gdyby nie... No właśnie: gdyby nie to, że ów „moment antyburżuazyjny” wydaje się w filmie możliwy tylko dzięki temu, że zawężony jest wyłącznie do społeczeństwa niemieckiego. Problem klas posiadaczy wielkiego kapitału, które – kiedy tego wymaga reprodukcja poszerzona tegoż kapitału – gotowe są finansować i realizować politykę systematycznej eksterminacji, został po prostu przeniesiony na zewnątrz, na Obcego. Kiedy Fox opisuje społeczeństwo izraelskie, pomija tę kwestię całkowicie; społeczeństwo to wydaje się u niego nie składać w ogóle z klas społecznych. Ciekawe, dlaczego...

Film ujawnia jeszcze jeden problem – i po raz kolejny czyni to nieświadomie, nie problematyzując go w najmniejszym stopniu. Problem ów to ideologiczna fikcja Izraela na imperatywne ściganie nazistów. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie należy dążyć do ukarania winnych zbrodni przeciwko ludzkości, takich jak Holocaust niezależnie od tego, jak dawno zostały popełnione. O co mi chodzi? O to, że Eyal dostaje od swoich przełożonych kategoryczny i bezwarunkowy rozkaz zabicia starego Himmelmanna – zamiast próbować go aresztować i doprowadzić przed sąd. Jakby był wciąż śmiertelnie niebezpiecznym szkodnikiem, który w każdej chwili może kontynuować swoje dzieło zniszczenia. Tymczasem jest on już jedną nogą (i palcami drugiej) w grobie, niezdolny zrobić kroku bez kropłówki i asysty. Trudno sobie właściwie wyobrazić, dlaczego nie dąży się postawić go przed sądem. Przyglądając się temu z perspektywy krytycz-

nej zaczynamy się zastanawiać, czy aby ta fikcja nie służy wypieraniu innego ludobójstwa, jak najbardziej teraźniejszego, które odbywa się na raty tuż za oknem; czy aby nie służy ona kompulsywnemu dorabianiu Państwu Izrael transcendentnej dziejowej misji Sędziego Historii, dzięki której ono samo może uniknąć znalezienia się w stanie oskarżenia.

Konformizacja kultury gejowskiej

To, co się odbywa na ideologicznym poziomie filmów Foxa, jest dla mnie ważne jako objaw szerszego problemu konformizacji kultury gejowskiej i jej akcesu do ideologii dominujących. „Przeźroczy” styl Foxa, niespecjalnie w sensie stosowanych środków formalnych odbiegający od zwykłego filmu telewizyjnego, nie rzucający widzowi wyzwania w zakresie kodów estetycznych, wydaje się być także tego znakiem. A przecież nie tak znowu dawno temu gejowski komponent w kulturze miał solidny potencjał subwersywny i często angażował się w kwestionowanie *status quo*, łącząc problemy opresji obyczajowej i postulaty seksualnej emancypacji w łańcuchy ekwiwalencji z innymi postulatami i ruchami równościowymi (pouczający jest w tej kwestii *Milk* Gusa Van Santa). Dziś wydaje się, że kultura ta została w ogromnej mierze przechwycona przez elity, klasy dominujące i „średnie”, że postawy konformistyczne wzięły w niej górę i zdoinowały tendencje wyrotowe. Euroatlantycka kultura gejowska, gdyby próbować spojrzeć na nią *en masse*, niespecjalnie wydaje się dziś stać po stronie słabszego. Postulaty emancypacji ustąpiły miejsca czasem pokrętnym, ale jednak afirmacji *status quo* i moszczeniu gniazda wśród uprzywilejowanych – przez tych gejęw, którym się „udało”. Ich kultura zdaje się nadawać następnie ton całej kulturze gejowskiej, choć – tak jak w każdej innej grupie określonej wedle apriorycznego, „esencjonalnego” wyznacznika tożsamości – beneficjanci neoliberalnego *status quo* znajdują się w niej w mniejszości. Większość osób homoseksualnych, zwiedziona fantazmatem wspólnej *gay identity*, kupuje ten konformizm jako swoją kulturę, z którą się identyfikuje. Jednocześnie neoliberalne elity włączają tę kulturę do nowych strategii legitymizacji swego ekonomicznego uprzywilejowania, strategii opartych na afirmacji „różnorodności” i „kulturowego otwarcia” elit[5], ożenionych ze zmanipulowanym przez twórców myśli neoliberalnej pojęciem wolności[6].

Jest rzeczą zdumiewającą, że dokładnie tak samo zachowuje się polska kultura gejowska, choć polskie elity polityczne i ekonomiczne w tej jednej kwestii bynajmniej nie spieszą się naśladować Zachodu i trzymają się starej, sprawdzonej metody zarządzania za pomocą opresji i represji. Jak politycznie środowiska LGBT zdominowane są przez neoliberalów w rodzaju Krystiana Legierskiego, tak kulturze artystycznej tych społeczności ton nadają postmodernistyczni reakcyjniści pokroju Michała Witkowskiego (*Lubiewo* to jedna z najbardziej konserwatywnych, w tym homofobicznych, książek, jakie w życiu czytałem). Polska jest jednocześnie jednym z tych miejsc, w których najwyraźniej było (?) przeciwieństwo, jaką cenę środowiska LGBT mogą być zmuszone płacić za manowce kulturowego mariażu z ideologiami tych, którzy mają w późnym kapitalizmie władzę: cenę łatwości, z jaką owe elity mogą w razie potrzeby właśnie na mniejszości seksualne przekierowywać gniew pokrzywdzonych, mobilizując ich wokół innych fantazmatów tożsamościowych, np. tych oferowanych przez prawicę religijną. Ci nieliczni geje, którym się „udało”, w razie czego zamkną się przed tym gniewem w strzeżonych osiedlach, ale reszta nie będzie miała tej opcji.

[1] Slavoj Žižek, *W obronie przegranych spraw*, przeł. Julian Kutyła, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008, s. 19.

[2] W kategoriach ataku czy dekonstrukcji konserwatywnych składników żydowskiej kultury znacznie ciekawiej zapowiada się zaprezentowany w sekcji Certain Regard festiwalu w Cannes w 2009 r. film *Einaym Phukot* (*Oczy szeroko otwarte*) Haima Tabakmana.

[3] Zob. np. S. Žižek, op. cit., s. 61-70; Jakub Majmurek, „Filmowa produkcja pary”, *Krytyka Polityczna* nr 16/17, s. 144-156.

[4] Piotr Kendzior, *Antysemityzm a społeczeństwo mieszczańskie. W kręgu interpretacji neomarksistowskich*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2004, s. 30.

[5] Zob. Walter Benn Michaels, „Wolność, braterstwo... różnorodność?”, *Le Monde diplomatique edycja polska*, luty 2009, s. 1, 14-15.

[6] Zob. Alain Bihr, *Nowomowa neoliberalna*, przeł. Agata Łukomska, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008; David Harvey, *Neoliberalizm. Historia katastrofy*, przeł. Jerzy Paweł Listwan, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008, s. 13-53.

PRZEMYSŁEĆ MYŚLENIE

Przeciw amerykańskiej nauce

Nauka w widoczny sposób uczestniczy w kryzysie myśli świata zachodniego. Jest doprowadzana do technologicznego upadku, a jednocześnie nadal pozostaje przedmiotem kultu. Jej postępowanie obwinia się o plądrowanie planety i wielkie zagrożenia ciążące nad rodzajem ludzkim. Jednakże czy czyniąc tak, nie mamy na myśli karykatury nowożytnej nauki, karykatury narzuconej przez amerykański sposób myślenia i organizacji badań? I czy historia nie pozwala na identyfikację europejskiego „stylu” myśli naukowej, zadaniem którego byłoby pobudzenie badaczy do popierania nowego filozoficznego wysiłku, mającego na celu zbiorową emancypację?

DOMINIQUE LECOURT*

Nauka nowożytna zrodziła się w Europie ze wspólnego wysiłku intelektualnego, który, dzięki potężnej ekspansji ekonomicznej, ignorował granice narodowe: o ile Francis Bacon, poczynawszy od pierwszych lat XVII w., ogłaszał w Anglii czas końcowego natarcia przeciw ostatnim scholastykom, to Galileusz, znający pisma Bacona, czynił we Włoszech pierwszy decydujący krok, kiedy przystępował do matematyzowania ruchu, udowadniając tezę heliocentryczną sformułowaną przez Kopernika, Polaka. We Francji Kartezjusz otwiera dla tej matematyzacji nowe horyzonty, tworząc „geometrię analityczną”. Leibniz przejmując pałeczkę w Niemczech i tworzy fundamenty rachunku różniczkowego i całkowitego, przystępując do surowej krytyki kartezjańskiej metafizyki. Bez badań nad ruchem wahadłowym, prowadzonych w tym samym czasie w Holandii przez Christiana Huyghensa, ucznia Kartezjusza, Isaak Newton nie mógłby dokonać w Anglii, w roku 1687, procesu unifikacji fizyki ciał niebieskich i fizyki Ziemi w postaci teorii powszechnego ciążenia. Nie obyło się w tym przypadku, oczywiście, bez podpartego argumentami oporu ze strony zwolenników Leibniza, jaki rozgorzał na kontynencie.

Nauka nowożytna występuje jako taka od razu jako międzynarodowa. Zapożycza obficie z bogatej twórczości nauki arabskiej i indyjskiej, szczególnie w obrębie matematyki i optyki, odnawia więzy z tradycją grecką, która sama stanowi córę Egiptu i Babilonii, odkrytą na powrót w XII w. po Chrystusie. Tak jak nie znała granic wczoraj, nauka nowożytna nie zna ich dziś. Jednakże nazajutrz po II wojnie światowej, biegun zasadniczych badań naukowych uległ silnemu przemieszczeniu ku Stanom Zjednoczonym, zwłaszcza za sprawą licznych europejskich „mózgów”, które wyemigrowały w warunkach nazizmu, następnie zaś, po zakończeniu konfliktu, dzięki badaczom, których przyciągały lepsze warunki pracy. Projekt Manhattan, program badań sfinalizowany w celu wyprodukowania pierwszej bomby atomowej, dostarczył modelu organizacji, który następnie narzucony został wspólnotom badawczym na całej planecie. W ten sposób procedury i normy badań uległy standaryzacji. Nauka od tego momentu, zorientowana i administrowana w zależności od celów wydajności, o których zakłada się, że są jednolicie mierzalne w terminach eksperymentu, zasadniczo wiedzie swoje życie w innym świecie myślowym.

Ameryka zapragnęła odwrócić się plecami do Anglii dokładnie w tym momencie, gdy nauka nowożytna przeżywała swój wzlot. Zachowała empirystyczną wizję nauki, którą zawdzięczała starej Europie, w połączeniu z odnowioną teologią naturalną. Oto rezultat: argumentacja filozoficzna, która jednoczyła uczonych europejskich w rozległej debacie, z której wywodzi się ta nauka, i która w następstwie stanowiła intelektualny bodziec jej najważniejszych dokonań, w Ameryce tak naprawdę nigdy nie odnalazła swojego miejsca. Alexis de Tocqueville miał rację notując, iż nie było „w cywilizowanym świecie kraju, w którym mniej by się zajmowano filozofią, niż w Stanach

Zjednoczonych” [1]. Dalsza historia w istocie tylko potwierdziła tę diagnozę.

Jest prawdą, że Ameryka wydała oryginalną filozofię – pragmatyzm – w dziele Williama Jamesa (1842-1910), po tym jak z pasją rozpoznała siebie w maksymie Ralphe W. Emersona (1803-1882): „Licząc na siebie samego”. Pragmatyzm nie wytrzymał jednak zbyt długo sukcesu pozytywizmu logicznego, wprowadzonego przez emigrantów austriackich i niemieckich, takich jak Carnap, Reichenbach, Feigl i Hempel. Skutkiem tego była profesjonalizacja filozofii, która, obwarowana na wysocy wyspecjalizowanych uniwersyteckich wydziałach filozofii, ma już tylko do czynienia z technicznym rozwiązywaniem problemów formalnych, nie mając związku z ożywionym badaniem naukowym. Okazało się, że sytuacja ta sprzyja ekspansji filozofii milczącej, filozofii bez nazwisk, organizującej kult „faktu”, „postępu” i „wydajności” wokół zmitologizowanej postaci Francisca Bacona.

Ceną za to milczenie jest ciągłe ścieranie się, utajone bądź jawne, technologicznego triumfalizmu i, jako reakcji na niego, utrzymującej się, popołudniowej wrogości wobec nauki, wyrażanej w imię wartości religijnych. Niemiłych losów darwinizmu w Stanach Zjednoczonych nie można wyjaśnić inaczej: „naukowy kreacjonizm”, popierany przez protestancki fundamentalizm, okazuje się repliką na redukcjonistyczny materializm, głoszony przez socjologów w końcu lat 70. [2]

Jeśli powrócić do warunków, jakie umożliwiły dwie ostatnie wielkie rewolucje, które naznaczyły fizykę i nauki o organizmach żywych, odkrywa się Europę w pełni intelektualnego wrzenia – wrzenia drugiej połowy XIX w., zadającego pytanie o filozoficzne podstawy sukcesów i porażek fizyki newtonowskiej, przystępującego do opracowania słownika, za pomocą którego rozprzestrzenia się ono ponad granicami. Dzieła największych filozofów – zwłaszcza Kanta, ale również Berkeley’a, Hume’a, Platona, itd. – stanowią przedmiot uważnych analiz, drobiazgowych i namiętnych. Od Wiednia po Berlin, od Berlina po Pragę, Londyn i Paryż widać Ernesta Macha, Ludwiga Boltzmanna, Heinricha Hertza, Jamesa C. Maxwella, Henriego Poincaré i innych, ustanawiających kategorie, z których czerpać będzie teoria względności i teoria kwantów.

Rozumie się samo przez się, że to samo należy powiedzieć w przypadku nauk o organizmach żywych. Biologia molekularna, od momentu swoich narodzin, nie wydaje się być żadną miarą dłużniczką jedynie następstw rewolucji kwantowej w fizyce, rewolucji, którą do jej dziedziny wniósł Erwin Schrödinger, gdy w roku 1944 opublikował swoją książkę pt. *Czym jest życie?* [3]

Została ona w rzeczywistości przygotowana w długim planie w obrębie biologii przez szczegółowo opracowaną argumentację Ernsta Haeckela (1834-1919), przez Augusta Weismanna (1834-1914) idącego w ślad za Darwinem, następnie przez Hugo De Vriesa (1848-1935), jednego z tych, którzy „na nowo odkryli” Gregora Mendla (1822-1884), ale również, i to w sposób bardziej przełomowy, niż się zazwyczaj myśli, w Paryżu przez Claude’a Bernarda i Louisa Pastera, współczesnych autora *O powstaniu gatunków* (1859). Tezy filozoficzne Leibniza, Kanta, Schellinga i Comte’a, dotyczące stosunku pojęcia i życia, poddane zostają u jednych próbie, a w przypadku innych stanowią podporę dla myśli.

Jeśli chodzi o nauki społeczne i humanistyczne, baza teoretyczna ich działania pozostaje w Europie, i to do ostatnich lat,

przedmiotem otwartych pytań. Choć tak silny okazuje się powab empiryzmu i mimo że tak szanowana – całkiem słusznie – jest praca „w terenie”, to jednak debaty, które odcisnęły swoje piętno we Francji, Anglii i Niemczech, stosownie do różnych orientacji, na przykład na narodziny socjologii, nie przestały być ożywiane przez różne szkoły fenomenologiczne, przez Szkołę Frankfurcką, przez strukturalizm...

Choć z pewnością nie istnieje „nauka europejska” w takim sensie, w którego odwołanie heroicznie wierzył w roku 1935 Edmund Husserl (1859-1938), pragnący ocalić pewną ideę człowieczeństwa w obliczu zagrożenia, to istnieje jednak europejska koncepcja i praktyka nauki, które zawsze w jej sercu zakładały argumentację filozoficzną regulującą relacje poznania naukowego do innych modalności myśli i działania.

Ten europejski styl znajduje się na drodze zaniku pod naporem zglobalizowanego imperium technologicznego. Deskryptywny punkt widzenia w obrębie wiedzy i praktyka badań prowadzona niczym księgowość panują w większości laboratoriów i instytucji nauczających. Są one wzmacniane przez media audiowizualne, które gustują jedynie w najbardziej spektakularnych rezultatach z tych, które mają miejsce, i zajmują się rozprzestrzenianiem entuzjazmu albo rozsiewaniem terroru. Roszczą sobie przy tym prawo do usprawiedliwiania, w imię instrumentalistycznej koncepcji racjonalności, stanowiącej dla nich natchnienie, wszystkich spustoszeń społeczno-naturalnego środowiska życia ludzkiego, zasadniczo ze szkodą dla tych populacji, których warunki egzystencji są najcięższe.

Czy zatem potrzeba przemyslenia filozoficznego wymiaru myśli naukowej i uwolnienia jej z pozytywistycznej otoczki nie jest nagląca? To właśnie powinno stanowić główny kierunek w obrębie próby oczyszczenia kształcenia naukowego. Pół wieku temu Gaston Bachelard wyraził swoje pragnienie „kształcenia umysłu naukowego”, które łączyłoby naukę równą i teorii z konfliktową historią śmiałych myśli, której tamte zawdzięczają swoje istnienie.

To gruntowne przekształcenie pozwoliłoby na nowo otworzyć pytanie, pod wieloma względami kluczowe dla przyszłości, o istnienie i sposób postępowania właściwy dla myśli technicznej, której nie sposób zredukować do zastosowania wiedzy naukowej, a tym bardziej nie stanowi ona, w ujęciu odwrotnym, niewypowiedzianej wprost istoty nauki.

To właśnie jest dziedzictwo, którego docenienie może zjednoczyć europejskich intelektualistów: przywrócić cały blask wspólnemu sposobowi myślenia, uniwersalnemu powołaniu, które opiera się na wolnej argumentacji, poddanej próbie odpowiednio kontrolowanego eksperymentu, przywrócić do życia pomysłowość techniczną i tworzenie form życia zróżnicowanych już w samym procesie ich racjonalizacji [4]. W przeciwnym razie obserwować będziemy rozprzestrzenianie się praktyk paranaukowych, które – w nauczaniu New Age – łączą i mieszają nauki z teologią, tym samym w największym stopniu działając na rzecz ponadnarodowej naiwności.

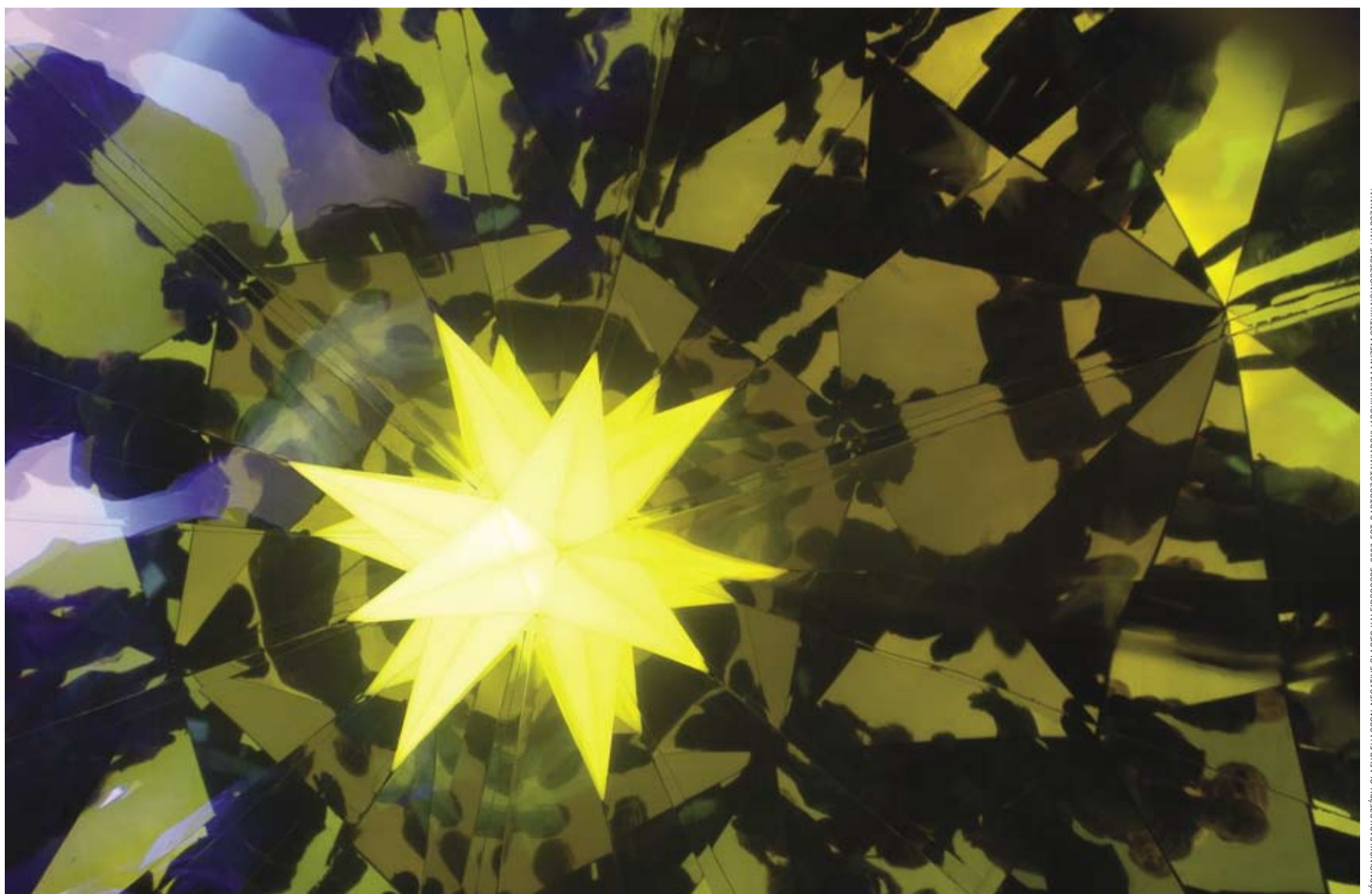
tłum. Maciej Kropiwnicki

[1] *De la démocratie en Amérique*, Gallimard, Paryż 1961, tom II, s. 13.

[2] Zob. Dominique Lecourt, *Amerique entre la Bible et Darwin*, PUF, Paris 1992 oraz *Darwinisme et société*, red. Patrick Tort, PUF, Paryż 1992.

[3] Erwin Schrödinger, *Czym jest życie?*, przeł. Stefan Amsterdamski, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

[4] *Association pour la nouvelle Encyclopédie Diderot* rozpoczyna pracę w tym kierunku od prawie dziesięciu lat. Proponuje ono promocję europejskich fundamentów dla wiedzy naukowej i technologicznej. (Aby uczestniczyć w opracowaniu jego karty, należy zwrócić się do: Association pour la nouvelle Encyclopédie Diderot, Cité des sciences et de l'industrie (Halle aux cuirs), 30, avenue Corentin-Cariou, 75930 Paris Cedex 19.)



* Profesor na uniwersytecie Paris-VII, autor *Amérique entre la Bible et Darwin*, PUF, Paryż 1992.